SEKRETY HISTORII

Snajperzy drugiej wojny światowej

Pełne dramatyzmu relacje z pierwszej ręki
o najzuchwalszych akcjach wojennych

Praca zbiorowa

RM

SEKRETY HISTORII

Snajperzy drugiej wojny światowej

Pełne dramatyzmu relacje z pierwszej ręki
o najzuchwalszych akcjach wojennych

**Adrian Gilbert, Tom C. McKenney,
Dan Mills, Roger Moorhouse, Tim Newark,
Martin Pegler, Charles W. Sasser, Mark Spicer,
Leroy Thompson, John B. Tonkin**

Wstęp autorstwa: Johna L. Plastera

RM

Sekrety historii. Snajperzy drugiej wojny światowej

Martin Pegler et al.

Tłumaczenie: Anna Puziewicz, Anna Sobolewska

Copyright © 2014 by Wydawnictwo RM

Original edition: *The Sniper Anthology* published in 2012 by Frontline Books, an imprint of Pen & Sword Books Ltd., UK.
Copyright © 2011 Martin Pegler
Copyright © 2011 Pen & Sword Books Ltd., UK.
Copyright © 2011 Dan Mills (chapter 9)
All rights reserved.

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl
www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

ISBN 978-83-7773-046-1
ISBN 978-83-7773-272-4 (e-Pub)
ISBN 978-83-7773-273-1 (mobi)

Redaktor prowadzący: Longina Rutkowska-Kalisz
Redakcja merytoryczna: Wojciech Markert
Redakcja: AD VERBUM Iwona Kresak
Korekta: Longina Rutkowska-Kalisz
Projekt okładki: Wiktor Jędrzejec
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

Spis treści

Autorzy

Wstęp

SIMO HÄYHÄ
Biała Śmierć

LUDMIŁA PAWLICZENKO
Najgroźniejsza kobieta świata

BERT KEMP
Żołnierz z przymusu i jego śmiercionośny talent

OPERACJA FOXLEY
Brytyjscy snajperzy i polowanie na Hitlera

JAPOŃSKI SNAJPER
Długa droga do krótkiego życia

WASILIJ ZAJCEW
Marynarz Stalingradu

CLIFFORD SHORE
Brytyjski snajper, szkoleniowiec, teoretyk i historyk

SEPP ALLERBERGER
Snajper Wehrmachtu

PATRICK DEVLIN
Waleczny Irlandczyk

HARRY M. FURNESS
Mistrz kamuflażu

Przypisy

Autorzy

Adrian Gilbert
Adrian Gilbert zajmuje się historią wojskowości XX wieku. Wśród książek jego autorstwa znajdują się między innymi: *POW: Allied Prisoners in Europe 1939–1945*, *The Imperial War Museum Book of the Desert War*, przedstawiająca historie żołnierzy brytyjskich sił zbrojnych walczących w Afryce Północnej w latach 1940–1942, oraz zapisy ustnych relacji dotyczących francuskiej Legii Cudzoziemskiej: *Voices of the Legion*. Gilbert szczególnie interesuje się zagadnieniami związanymi ze snajperstwem i jest autorem dwóch bestsellerów na ten temat: *Sniper: One-on-One* oraz *Stalk and Kill: The Sniper Experience*.

Tom C. McKenney
Podpułkownik Tom C. McKenney ukończył Uniwersytet Kentucky i Uniwersytet Północnej Karoliny (Chappel Hill). Był oficerem piechoty, spadochroniarzem i oficerem do zadań specjalnych w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, służącym jednocześnie w brytyjskiej dywizji w strefie zdemilitaryzowanej Panmundżom w Korei oraz w Wietnamie. W konsekwencji ran odniesionych w Wietnamie został w 1971 roku przeniesiony w stan spoczynku. Jest autorem nagradzanych książek i artykułów dotyczących historii wojska. Najnowsza, *Battlefied Sniper*, dotyczy historii amerykańskiej wojny secesyjnej.

Dan Mills
Dan Mills wstąpił do armii brytyjskiej, mając 16 lat. Zaciągnął się do lokalnego pułku piechoty, Królewskiego Pułku Piechoty, który później przekształcono w The Princess of Wales’s Royal Regiment (Królewski Pułk

Księżnej Walii). Podczas 24-letniej służby w piechocie służył w Irlandii Północnej, Bośni, Kosowie, Iraku i Afganistanie, a także podróżował po całym świecie. Został uhonorowany najstarszym wyróżnieniem brytyjskim, Mentioned in Despatches (MID, ang. *wymieniony w sprawozdaniu*) za odwagę w marcu 2005 roku podczas działań w Iraku. Jego pierwsza książka, *Sniper One: The Blistering True Story of a British Battle Group Under Siege* (2007), stała się bestsellerem. Dan Mills opuścił armię w 2010 roku.

Roger Moorhouse
Roger Moorhouse jest historykiem i pisarzem specjalizującym się w historii nazistowskich Niemiec i drugiej wojny światowej w Europie. Zna biegle niemiecki, jest autorem książek *Killing Hitler* i przyjętej krytycznie *Berlin at War*, a wraz z Normanem Daviesem współautorem dzieła *Microcosm* (wydanie polskie: *Mikrokosmos*, Znak 2002). Historią Simy Häyhä zainteresował się podczas gromadzenia materiałów do kolejnej książki, *The Devils' Alliance*, dotyczącej paktu Ribbentrop-Mołotow. Jest autorem i recenzentem artykułów pojawiających się w specjalistycznych czasopismach historycznych. Opatrzył wstępami wiele publikacji dotyczących okresu drugiej wojny światowej, w tym wspomnienia Ericha Kempki, Christy Schroeder, Heinza Lingego oraz Heinricha Hoffmanna. Mieszka w Buckinghamshire.

Tim Newark
Tim Newark jest autorem kilku dobrze przyjętych książek historycznych, w tym pozycji *The Mafia and War* oraz *Highlander*. Wcześniej był redaktorem naczelnym magazynu *Military Illustrated*. Pracował także jako scenarzysta i konsultant historyczny programów dokumentalnych w BBC Worldwide i History Channel,

a także 13-częściowego programu *Hitler's Bodyguard*. Recenzuje książki historyczne dla *Financial Times*. Więcej informacji można znaleźć na stronie www.timnewark.com (w języku angielskim).

Martin Pegler
Martin Pegler przez 20 lat był kustoszem zbioru broni palnej muzeum Royal Armouries – w tym okresie mógł strzelać z prawie wszystkich historycznych i współczesnych karabinów snajperskich. Jest autorem wielu książek na temat broni palnej, ale specjalizuje się w rozwoju i technologii snajperstwa. Posiada bogaty zbiór sprawnych karabinów snajperskich pochodzących z czasów od XIX wieku. Wiele z nich udostępniał telewizjom i wytwórniom filmowym, dla których pracuje także jako konsultant ds. historycznych. Regularnie występuje jako specjalista w zakresie militariów w programie BBC *Antiques Roadshow*. Mieszka z żoną we Francji.

Charles W. Sasser
Autor ponad 50 książek, wśród których znajdują się bestsellery takie jak *One Shot – One Kill*, *First SEAL* oraz *Raider*. Charles W. Sasser jest określany jako jeden z najlepszych pisarzy militarnych na świecie. Weteran, służący wcześniej w amerykańskiej marynarce wojennej (dziennikarz) i w jednostkach specjalnych armii (Zielone Berety), przeszedł w stan spoczynku po 29 latach służby czynnej i rezerwy. Przez 14 lat służył w policji (w Miami na Florydzie i w Tulsie w Oklahomie, gdzie pracował w wydziale ds. zabójstw). Jego książki zostały przetłumaczone m.in. na chiński, rosyjski, serbski, francuski, hiszpański.

Mark Spicer

Mark Spicer jest weteranem; ma za sobą 25-letnią służbę w armii brytyjskiej w jednostkach specjalnych, jako snajper i dowódca plutonu snajperów. W okresie służby napisał podręcznik dla snajperów armii brytyjskiej, a także trzy znane na świecie książki o snajperstwie. Po przejściu w stan spoczynku brał udział w szkoleniach jednostek wojskowych i ochrony porządku publicznego z krajów skandynawskich, Ameryki i Bliskiego Wschodu, a także brał udział w rozprawach kryminalnych jako ekspert.

Leroy Thompson

Leroy Thompson przez ponad 30 lat szkolił policyjne i wojskowe jednostki taktyczne, w tym snajperów. Pisze także do wielu magazynów artykuły na temat broni taktycznej, co wymaga testowania nowych karabinów snajperskich i optyki. Jest autorem 48 książek i ponad 2000 artykułów o wojskowych operacjach specjalnych, uwalnianiu zakładników, działaniach taktycznych i broni.

John. B. Tonkin

Urodzony w Ohio, zapalony student historii, John B. Tonkin w 1955 roku zaciągnął się do Korpusu Piechoty Morskiej i został wcielony do 10 Pułku 2 Dywizji Piechoty Morskiej. Służył także w jednostce ochrony tajnego obiektu podczas zimnej wojny. Po zakończeniu kariery wojskowej związał się z biznesem i przez 40 lat pracował na stanowiskach dyrektorskich związanych z zarządzaniem pracownikami i pracą. Obecnie jest na emeryturze, zajmuje się hobbystycznie stolarstwem i cieszy się czwórką dzieci i dziewięciorgiem wnuków. Jest dożywotnim członkiem stowarzyszenia Marine Corps League i aktualnym członkiem Marine Corps Association.

Wstęp

Za chwilę zaczniesz czytać fascynującą książkę – niezwykłe historie dziesięciorga snajperów z czasów drugiej wojny światowej. Należą do nich: najznakomitszy snajper drugiej wojny, Fin Simo Häyhä, najlepszy strzelec niemiecki, Sepp Allerberger oraz sławni Rosjanie: Wasilij Zajcew i Ludmiła Pawliczenko. Ich historie, wnikliwie opisane, zawierające detale i wspomnienia wojenne, są znacznie bogatsze od wcześniejszych publikacji w czasopismach i na stronach internetowych.

Książka zawiera także historie kilku wcześniej nieznanych, lecz równie znakomitych snajperów, takich jak Brytyjczyk Patrick Devlin i Amerykanin Bert Kemp.

Dlaczego pozostali nieznani? Choć weterani drugiej wojny światowej ze wszystkich krajów napisali tysiące książek, pierwsze wspomnienia snajpera pojawiły się dopiero 10 lat temu, a i wtedy ich autor, Sepp Allerberger, początkowo utajnił swoją tożsamość. Siedemdziesiąt lat temu snajperzy byli uważani za zabójców, którzy z zimną krwią odbierali życie innym, nie ryzykując własnego – podejście to nie zmieniło się od czasów napoleońskich. Snajperzy czasów drugiej wojny światowej często ukrywali swój udział w walkach, nie mając ochoty ujawniać swych doświadczeń odbiorcom, którzy ich nie rozumieli. W przypadku Japonii bardzo niewielu (jeśli w ogóle) snajperów ocalało z działań wojennych w upalnej dżungli, a ich ostatnim marzeniem było opisanie swoich doświadczeń.

Taki powojenny sposób postrzegania snajperów pozostaje w sprzeczności z brytyjską dyrektywą z 1940 roku dotyczącą tworzenia grup snajperów i wymagań wobec kandydatów, którzy powinni być „doborowymi,

wysportowanymi mężczyznami, dumnymi z tego; najlepszymi strzelcami wyborowymi, niezależnymi, umiejącymi przetrwać w trudnych warunkach, o niebywałej odwadze i nieskończonej cierpliwości”.

W ostatnich latach zaczęto wreszcie podchodzić z szacunkiem do snajperów i ich rzemiosła, oceniając je zgodnie z brytyjską dyrektywą. Dzisiejsi snajperzy, ale także ci z przeszłości, są obecnie postrzegani jako osoby prezentujące najwyższe umiejętności bojowe, jako cenna elita wyposażona w unikalne umiejętności.

Właśnie z taką świadomością autorzy opowiadają o historycznych postaciach snajperów, a my możemy na nie spojrzeć z ich perspektywy.

* * *

Sylwetki autorów tej książki wywierają nie mniejsze wrażenie niż opisywani przez nich bohaterowie. Są to bowiem osoby należące do najlepszych ekspertów w dziedzinie snajperstwa. Kilku z nich znam osobiście. Na przykład starszy sierżant Mark Spicer jest emerytowanym instruktorem snajperów brytyjskich, uważanym za jeden z największych na świecie autorytetów w tej dziedzinie. Leroy Thompson to weteran z Wietnamu i aktywny pisarz zajmujący się bronią palną, strzelaniem i operacjami specjalnymi. Charles Sasser jest weteranem z jednostek specjalnych armii Stanów Zjednoczonych Ameryki i autorem wielu książek na tematy związane z wojskiem. Adrian Gilbert napisał kilka ważnych książek o snajperach i snajperstwie.

Któż mógłby lepiej przedstawić te świadectwa? Autorzy nie tylko świetnie je napisali, ale także wykorzystali własne doświadczenia, aby zaprezentować sylwetki i zrozumieć

działania snajperów tak, jak to mogą zrobić tylko inni snajperzy i weterani. Ich opisy są skrupulatne pod względem technicznym, ale ujawniają też charaktery i osobowości bohaterów, nadając ludzki wymiar postaciom, które w innych publikacjach bywają przedstawiane jednowymiarowo.

Dzięki temu czytelnik niemal odczuje przenikliwy ziąb, w jakim często walczyli snajperzy frontu wschodniego, Zajcew i Allerberger, a także cuchnącą, parną dżunglę, w której japońscy snajperzy ginęli w koronach drzew. Lepiej zrozumie osobistą zemstę, którą kierowała się Ludmiła Pawliczenko, i sposób, w jaki Simo Häyhä wykorzystał swoje umiejętności myśliwego polującego na łosie i narciarza, aby stać się najbardziej zabójczym snajperem podczas drugiej wojny światowej.

Jestem przekonany, że czytelnik doceni tę książkę i przedstawione w niej relacje o odwadze i umiejętnościach prezentowanych w sytuacjach wielkiego zagrożenia. Wierzę, że jej przeczytanie zrodzi szacunek dla snajperów, niezależnie od tego, jakie nosili mundury.

John L. Plaster
Major, wojska specjalne
armii Stanów Zjednoczonych Ameryki (w stanie
spoczynku)

Rozdział 1

SIMO HÄYHÄ
Biała Śmierć

To może wprawiać w zakłopotanie. Twarz, która spogląda z fotografii, wydaje się należeć do kogoś, kto dopiero co przestał być dzieckiem. Gładka, chłopięca buzia, o wyglądzie niemal aniołka, oczy osadzone blisko siebie, pełne usta. Zdjęcie całej sylwetki nie zmienia tego wrażenia młodości i niewinności. Simo Häyhä, mierzący 160 cm wzrostu, a więc niewiele więcej niż jego karabin, wygląda jak chłopiec, któremu kazano wykonywać zajęcie przeznaczone dla mężczyzn. Trudno uwierzyć, że stał się jednym z najgroźniejszych snajperów drugiej wojny światowej, człowiekiem, któremu – spośród uczestników wszystkich ważniejszych wojen – przypisuje się największą liczbę potwierdzonych zabitych. Jego współcześni nadali mu przydomek „Biała Śmierć”.

Mimo całej swojej późniejszej sławy Simo Häyhä był prostym człowiekiem. Urodził się jako siódmy z ośmiorga dzieci w 1905 roku blisko miasta Rautjärvi na południu Wielkiego Księstwa Finlandii, wówczas części Imperium Rosyjskiego. Dzieciństwo spędził na rodzinnej farmie hodującej kilka koni i inne zwierzęta, w skromnych warunkach, w otoczeniu pól buraków cukrowych i lasów. W takim środowisku uczył się niezależności i sztuki przetrwania, które później tak skutecznie wykorzystywał.

Podobnie jak wielu innych z jego pokolenia, Häyhä upajał się patriotycznym zapałem, towarzyszącym odzyskaniu niepodległości przez Finlandię w wyniku upadku władzy carskiej w 1917 roku. Kilka lat później został powołany do

osobistej służby na rzecz nowego państwa – w wieku 17 lat zgłosił się do Gwardii Cywilnej. Cichy, opanowany i nierzucający się w oczy, Häyhä szybko ujawnił zdolności w posługiwaniu się bronią, osiągając kilka znaczących sukcesów i zdobywając tytuł najlepszego strzelca w lokalnych i regionalnych zawodach strzeleckich. W roku 1925 Häyhä został powołany do fińskiej armii, w której służył 15 miesięcy, awansując do stopnia kaprala. W 1927 roku zrezygnował z wojska i wrócił na rodzinną farmę. Nie mógł wówczas podejrzewać, co szykuje mu los.

W okresie międzywojennym istnienie Finlandii, podobnie jak innych państw powstałych w wyniku rozpadu Imperium Rosyjskiego, było raczej niepewne. Sowieci postrzegali sąsiednie kraje głównie przez pryzmat ideologii, jako wrogów, których należy nawrócić, i jako terytoria, które należy zająć. Wynikało to z przemieszania dawnego rosyjskiego nacjonalizmu z myśleniem rewolucyjnym. Obszary, które wcześniej stanowiły część Imperium Rosyjskiego, takie jak Finlandia, były zagrożone w pierwszej kolejności próbą zmiany sowieckich granic.[1]

Relacje Finlandii ze Związkiem Sowieckim były pozornie poprawne, a nawet niekiedy serdeczne, ale w kraju panowały nastroje antykomunistyczne. Pakt o nieagresji został podpisany między dwoma krajami w 1932 roku i odnowiony dwa lata później, ale do połowy lat 30 Związek Sowiecki nieustannie zaznaczał swoją obecność i prężył muskuły, na przykład ograniczając ruch fińskich statków handlowych na wodach między jeziorem Ładoga i Zatoką Fińską. Do końca dekady strach przed sowiecką ekspansją stał się we wschodnich krajach bałtyckich powszechny. Wpływy Moskwy dawało się odczuć na ogromnych obszarach.

Wraz z inwazją niemiecką na Polskę we wrześniu 1939 roku i wybuchem wojny światowej jawna agresja stała się codziennością. Finlandia, tak jak jej bałtyccy sąsiedzi, szybko stanęła do konfrontacji z nową polityczną rzeczywistością. W postanowieniach tajnego protokołu niemiecko-sowieckiego, który ujawniono dopiero w 1945 roku, Finlandia i kraje bałtyckie zostały uznane za „sowiecką strefę wpływów". W związku z tym pod koniec września 1939 roku ministrowie spraw zagranicznych Łotwy, Litwy i Estonii zostali zaproszeni do Moskwy na „rozmowy", które zaowocowały w następnym miesiącu podpisaniem układów o „wzajemnej pomocy", wiążących te kraje ze Związkiem Sowieckim i zapoczątkowujących proces wchłaniania ich przez wielkiego sąsiada. Finlandia była następna w kolejce.

Dokładnie tego samego dnia, w którym Hitler odbierał defiladę swoich zwycięskich oddziałów w Warszawie, czyli 5 października 1939 roku, Stalin rozszerzył swoje „zaproszenie do rozmów" w Moskwie o Finlandię. Finowie przyjęli je z rezerwą. Wysłany do Moskwy doświadczony negocjator Juho Paasikivi wysłuchał sowieckich żądań, obejmujących przesunięcie na północ granicy w Przesmyku Karelskim, niedaleko od Leningradu, oraz 30-letnią dzierżawę portu Hanko u wejścia do Zatoki Fińskiej. Sowiecka logika była przejrzysta. Podczas wybuchu drugiej wojny światowej współdziałali z Niemcami nawet w jesiennej inwazji na Polskę. Zamierzali poczekać i popatrzyć, jak siły kapitalistycznego Zachodu wykrwawiają się wzajemnie – jak podczas pierwszej wojny światowej – przyspieszając w ten sposób „nieunikniony" tryumf komunizmu. Do tego czasu Moskwa musiała wzmocnić obronę, rozlokować siły i wprowadzić pewne zmiany w granicach.

Finowie nie mieli jednak zamiaru przystać na sowieckie żądania, które uznali za delikatną zapowiedź tego, co nastąpi później; nie przekonywała ich oferowana rekompensata. Do tej pory otrzymali niewielkie wsparcie od swoich sąsiadów ze Skandynawii i od sojuszniczych Niemiec, które zresztą nalegały na podporządkowanie się sowieckim warunkom. Po trzech tygodniach bezowocnych negocjacji delegacja fińska wróciła do kraju w połowie listopada, nie osiągnąwszy porozumienia. Ponieważ próby zastraszenia i „negocjacje" nie powiodły się, Moskwa musiała znaleźć inny sposób, aby zmusić sąsiadów do podporządkowania. Przed końcem miesiąca Związek Sowiecki i Finlandia znalazły się w stanie wojny.

Teoretycznie inwazja sowiecka na Finlandię zimą 1939 roku powinna być prostym przedsięwzięciem: 26 dywizji i 1 000 000 żołnierzy przygotowanych przez Armię Czerwoną powinno wystarczyć, aby zmieść zaledwie 10 dywizji i 300 000 żołnierzy armii fińskiej. Jakkolwiek by oceniać, przewaga Sowietów była przytłaczająca – mieli trzykrotnie więcej żołnierzy, trzydziestokrotnie więcej samolotów i sto razy więcej czołgów niż Finowie. Na głównej linii frontu, biegnącej przez Przesmyk Karelski, siły sowieckie liczyły 120 000 ludzi, 1400 czołgów i 900 dział artyleryjskich, podczas gdy fińscy obrońcy mieli do dyspozycji 21 000 ludzi, 71 dział artyleryjskich i 29 dział przeciwpancernych. Poza tym Moskwa była przekonana, że fińska klasa robotnicza wesprze komunistycznych „wyzwolicieli" i posłuży jako piąta kolumna za liniami wroga.

Rzeczywistość okazała się inna. Sowiecka przewaga liczebna i sprzętowa niewiele znaczyła w ekstremalnych warunkach fińskiej zimy. Większość terenów, przez które maszerowali żołnierze Armii Czerwonej, była pozbawionym dróg pustkowiem, pokrytym śniegiem i gęstymi lasami,

porozcinanym siatką zamarzniętych jezior, rzek i bagien, stanowiących dla zmechanizowanej armii przeszkodę nie do przejścia. Ponadto na południu, po drugiej stronie Przesmyku Karelskiego, na północ od Leningradu – a więc tam, gdzie spodziewano się ataku sowieckiego – fińscy inżynierowie zbudowali rozległą sieć bunkrów, okopów, przeszkód i szańców, nazwaną linią Mannerheima. Warunki terenowe neutralizowały techniczną przewagę sowiecką.

Nie można zapominać, że jakość oddziałów obrońców była znacząco różna od spodziewanej przez Moskwę. Finowie nie zamierzali witać Armii Czerwonej. Przeciwnie – byli zdecydowani bronić swojego kraju. Ich morale było wysokie, co ilustruje dowcip, który krążył owej zimy: „Jest ich tak dużo, a nasz kraj taki mały… Gdzie my ich wszystkich pochowamy?”[2]. Finowie mogli także powołać do wojska znaczną liczbę rezerwistów, takich jak Simo Häyhä, aby wzmocnić swoje siły. Choć dla wielu z nich brakowało nowoczesnego sprzętu, a czasem nawet karabinów, byli członkowie Gwardii Narodowej dysponowali cenną znajomością swoich terenów, a także umiejętnościami niezbędnymi do przetrwania.

Armia sowiecka była natomiast źle przygotowana. Wciąż podnosiła się po brutalnych czystkach sprzed kilku lat, które doprowadziły do usunięcia z jej szeregów 80 procent starszych oficerów i dowódców. Była poważnie osłabiona o morale nadszarpniętym przez kiepskie wyszkolenie i słabych dowódców. Mimo że w porównaniu z przeciwnikami Sowieci byli dobrze wyposażeni, żołnierzom brakowało zimowych ubrań i ekwipunku maskującego, mających podstawowe znaczenie przy prowadzeniu działań w podbiegunowych warunkach. Większość czołgów i pojazdów, które przekroczyły tej zimy fińską granicę, była pomalowana ochronnym kolorem khaki

– takim, jaki miały też mundury żołnierzy. Trudno było ich nie zauważyć na tle oślepiającej bieli fińskiej zimy.

Sowieci zawinili także, wykazując się zaskakującym brakiem przebiegłości i inwencji taktycznej. W większości wypadków usiłowali po prostu zmiażdżyć przeciwników zmasowanym atakiem frontalnym. W efekcie działali z nadmierną ostrożnością, tracąc dynamikę, a najmniejszy opór Finów mógł ich powstrzymać na wiele godzin. Taka taktyka bardzo odpowiadała Finom. Biorąc pod uwagę warunki, a więc niewielką liczbę dróg i szlaków umożliwiających przejście przez lasy, szturmy sowieckie szybko zmieniały się w nieprawdopodobne korki, pozwalające fińskim obrońcom na prowadzenie ataków angażujących względnie niewielu ludzi.

Ponieważ sowieckie natarcie utknęło, Finowie przystąpili do kontrataku, wykorzystując małe oddziały narciarzy do oskrzydlania najeźdźców i odcinania ich od kolumn z zaopatrzeniem. Długie noce skandynawskiej zimy także pomagały fińskim wojskom, wyspecjalizowanym w nękaniu wrogów i tworzeniu zasadzek. Pozwalały bowiem działać pod osłoną ciemności, często z wykorzystaniem improwizowanych materiałów wybuchowych lub słynnego koktajlu Mołotowa. Finowie nie stronili także od metod niekonwencjonalnych. Ich oddziały często wybierały jako cel kuchnie polowe wroga, co prowadziło do szybszego wyniszczenia atakujących głodem. Z czasem fińskie metody zmieniły się w uznaną taktykę, polegającą na rozcinaniu grup sił sowieckich i okrążaniu ich, a następnie niszczeniu za pomocą ciągłych ataków, wykorzystując surowość zimy, podczas której temperatura spadała do –25°C. Taktykę tę nazwano *motti*, od fińskiego słowa określającego jednostkę miary pociętego drewna przygotowanego na opał.

Sugerowało to dość ponuro, że otoczonym siłom sowieckim pozostaje tylko czekać na spalenie.

Działając w ten sposób, Finowie odnieśli kilka istotnych sukcesów: w wigilię Bożego Narodzenia 1940 roku sowieckie dywizje 139. i 75. zostały doszczętnie rozbite. To samo stało się z dywizjami 163. i 44. w początkach stycznia[3]. Ta ostatnia została wysłana z pomocą dla 163., która napotkała silny opór w pobliżu Suomussalmi. Dywizję 44 szybko spotkał taki sam los. Rozciągnięta na długości 30 kilometrów wąskiej drogi otoczonej jeziorami i gęstymi lasami, nie mogła się przebić przez umocnioną blokadę na drodze. Kolumna, nękana przez szybko poruszające się oddziały na nartach, rozpadała się stopniowo na coraz mniejsze części, a zimno i głód dopełniały dzieła zniszczenia otoczonych oddziałów. Kolejne grupy zmiatane były jedna po drugiej[4]. To zwycięstwo istotnie poprawiło wyposażenie Finów, którzy zdobyli 43 czołgi, 50 dział polowych, 270 pojazdów motocyklowych i ponad 6000 karabinów. Uważa się, że poległo około 40 000 żołnierzy sowieckich[5].

Kolejna taktyka będąca fińską specjalnością polegała na wykorzystaniu snajperów. Biorąc pod uwagę w większości statyczny charakter konfliktu po zatrzymaniu ruchu wojsk sowieckich, snajperów wykorzystywano zarówno do zwiększenia efektu działań na linii frontu, jak i do zmniejszania liczby okrążonych *motti*. Ich użycie przy likwidowaniu *motti* miało duże znaczenie taktyczne, ale i psychologiczne: snajperzy mogli znacząco zwiększać cierpienia otoczonych oddziałów, biorąc na cel na przykład dowódców lub koncentrując ogień na podchodzących do obozowego ogniska. Jednym ze snajperów był właśnie Simo Häyhä.

Po powrocie do armii fińskiej Häyhä został przydzielony do 34. Pułku Piechoty (34. Jäger Regiment), stacjonującego w silnie zalesionym terenie na północny wschód od jeziora Ładoga, około 280 kilometrów na północ od Leningradu. Był to niezwykle ważny obszar, chroniący Przesmyk Karelski przed atakiem wzdłuż północnego brzegu jeziora, który oskrzydliłby fińskich obrońców na linii Mannerheima. Mimo że siły sowieckie były znacznie liczniejsze, Finom udało się ustabilizować linię frontu w kierunku z północy na południe wzdłuż rzeki Kollaa i zatrzymać Sowietów po wschodniej stronie. Choć ten obszar działań miał w porównaniu z Przesmykiem Karelskim znaczenie drugorzędne, stał się symbolem fińskiego oporu.

Początkowo Häyhä walczył na froncie Kollaa jako zwykły żołnierz piechoty, ale nie trzeba było wiele czasu, aby jego nadzwyczajne umiejętności strzeleckie zostały zauważone przez przełożonych. Wcześniej doświadczony myśliwy i strzelec, został szybko przeniesiony do bardziej specjalistycznych działań. W jednej z pierwszych swoich akcji otrzymał rozkaz zlikwidowania sowieckiego snajpera, który zdążył już zabić trzech fińskich dowódców plutonów i podoficera. Przyjmując wyzwanie, Häyhä zademonstrował całą swoją cierpliwość i skrupulatne przygotowania, które stały się jego znakiem firmowym. Po wyszukaniu odpowiedniego stanowiska strzeleckiego pozostał niemal bez ruchu, owijając się ciepło w strój maskujący i prowadząc obserwacje przez przyrządy celownicze karabinu. Kilka godzin później, kiedy się nieco ściemniło i dzień dobiegał końca, pojawiła się wyczekiwana możliwość. Odbłysk słońca w lunecie na sekundę zdradził pozycję celu i Häyhä dostrzegł Rosjanina, dość nieostrożnie podnoszącego się z ukrycia, niewątpliwie przekonanego, że zapadający zmrok nie skrywa żadnego niebezpieczeństwa.

Jeden strzał w głowę z karabinu snajpera dowiódł, jak bardzo mylne było to przeświadczenie[6].

Z biegiem czasu Häyhä rozwinął swą technikę snajperską. Pod wieloma względami przypominało to sytuację innych strzelców wyborowych, doskonalących swoje umiejętności i zdobywających doświadczenia poprzez życie na wolnym powietrzu, polowanie i traperkę. Istnieje znaczące podobieństwo między historią Häyhy i jego wielkiego sowieckiego rywala, Zajcewa – obaj dorastali na wsi, blisko natury, obaj byli utalentowanymi tropicielami i myśliwymi. Dzięki takiemu przygotowaniu umiejętność obserwacji i ukrywania się stała się drugą naturą Häyhy. Szczególną uwagę zwracał na przykład na znalezienie dobrej pozycji strzeleckiej – miejsca z widokiem na pozycje lub drogi wroga, z którego mógł obserwować, nie będąc zauważonym, i w którym jego sylwetka nie mogła się zarysować na tle otoczenia ani uwidocznić w zmieniającym się świetle. Niewielki wzrost Fina ułatwiał wykorzystywanie naturalnych leśnych kryjówek.

Nie można tu pominąć znaczenia kamuflażu. Häyhä nosił biały kombinezon narciarski, a kolbę i lufę karabinu owijał białą gazą. Preferował pozostawianie swoich kryjówek w jak najbardziej naturalnym stanie, wykorzystując do maskowania jedynie otaczający śnieg, który pracowicie ubijał przed kryjówką, aby obłok puchu po wystrzale nie zdradził jego pozycji.

Kolejną istotną cechą była cierpliwość. Häyhä często spędzał całe krótkie zimowe dni na pozycji, podchodząc do kryjówki i wychodząc z niej jedynie pod osłoną ciemności. Za pożywienie służyły mu jedynie kostki cukru, unikał niepotrzebnych manewrów, siedząc w bezruchu godzinami. Dokładnie obserwował wrogów, poznawał ich zachowania, zwyczaje i nawyki, czekając na odpowiedni moment,

w którym cel znajdzie się w polu widzenia. Do chwili pierwszego strzału wrogowie nigdy nie zdawali sobie sprawy z jego obecności.

Obok tych wszystkich typowych umiejętnościach nie brakowało mu dziwactw. Rzadko korzystał z pomocy obserwatora, którym był kapral Malmi – wolał pracować w pojedynkę. Na podstawie niewielu tekstów o życiu Häyhy trudno powiedzieć, dlaczego tak się działo. Prawdopodobnie chodziło o łatwiejsze opanowanie sztuki poruszania się i ukrywania w pojedynkę niż we dwójkę.

Zaskakująca jest także broń, której używał Häyhä. Karabin M/28-30 był fińską wersją starego samopowtarzalnego karabinu Mosin-Nagant, skonstruowanego pod koniec XIX wieku. Co ważniejsze, był pozbawiony celownika optycznego. Choć wyposażenie tego rodzaju było już w 1940 roku dobrze rozwinięte, armii fińskiej brakowało wyspecjalizowanego sprzętu. Dlatego Häyhä musiał wyrzec się technologicznych osiągnięć na rzecz celownika mechanicznego umieszczonego na kolbie karabinu. Tę konieczność przekształcił jednak w zaletę, twierdząc, że mechaniczny celownik pozwala mu być celem mniej wyraźnym niż przeciwnik – snajper korzystający z celownika optycznego musiał trzymać głowę wyżej, co było bardziej niebezpieczne.

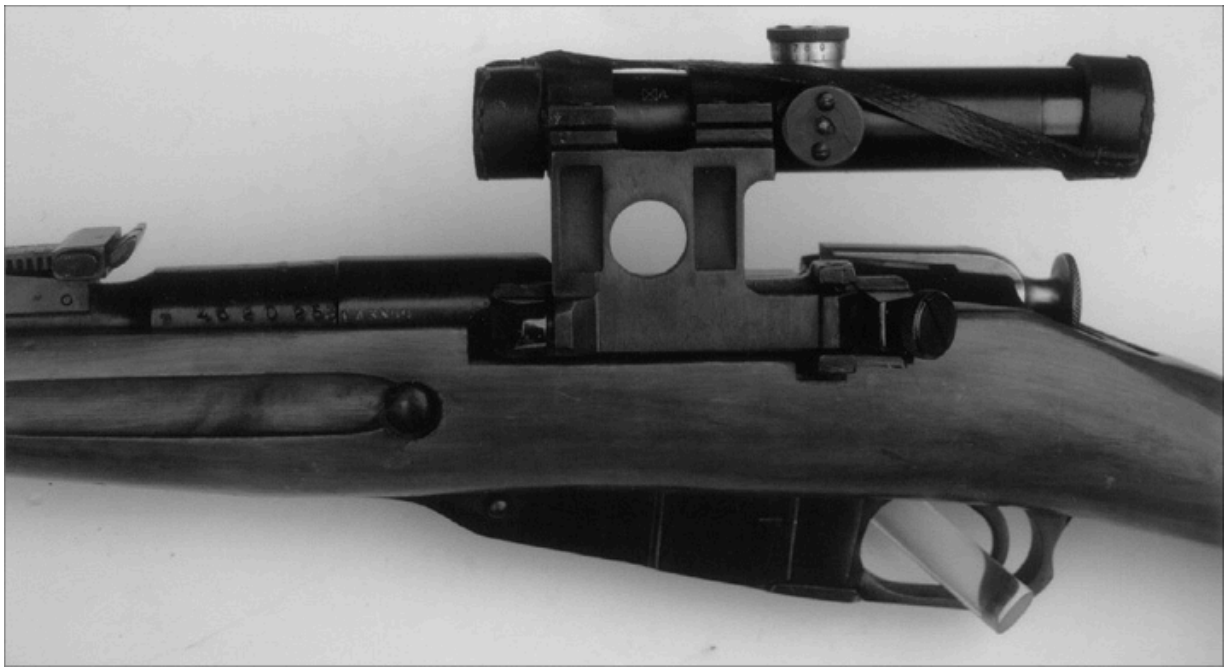

Sowiecki karabin Mosin-Nagant 1891/30 z celownikiem PE – najczęściej używany zestaw karabinu i celownika na froncie wschodnim. Karabin ten był również powszechnie stosowany przez fińskich snajperów.

Kompensując sobie technologiczne niedostatki, Häyhä obsesyjnie podchodził do konserwacji swojego karabinu. Kiedy nie przebywał w polu, poświęcał całe godziny na czyszczenie i oliwienie broni, aby utrzymać ją w doskonałym stanie. Skrupulatnie podchodził do zerowania broni dla różnych odległości. To zadanie wykonywał oczywiście w polu; miało ono zasadnicze znaczenie dla precyzji snajpera.

Stosując te techniki, Häyhä odniósł szereg sukcesów, często eliminując więcej niż 10 żołnierzy wroga jednego dnia. Czasem, kiedy nadarzyła się okazja i szczęście mu sprzyjało, liczby były znacznie wyższe. W ciągu trzech dni w grudniu 1939 roku zabił 51 żołnierzy sowieckich, a później w tym samym miesiącu osiągnął swój najwyższy wynik: 25 potwierdzonych zabitych jednego dnia. Wykorzystywał także swoje umiejętności myśliwego i człowieka natury. Na przykład któregoś dnia na początku

lutego 1940 roku zauważył nową sieć bunkrów mieszkalnych blisko linii frontu, ale niezbyt daleko od jego posterunków obserwacyjnych. Posuwając się ostrożnie przez zarośla wraz ze swoim obserwatorem, utworzył punkt ogniowy około 150 metrów od bunkrów. Później wspominał: „Spędziliśmy cały dzień na pozycji i udało mi się zabić 19 Rosjan. Nigdy się nie dowiedzieli, gdzie byliśmy”[7].

W pewnych sytuacjach jednak Sowieci świetnie się orientowali w położeniu Häyhy i robili, co mogli, żeby go zabić. Ze względu na swoje osiągnięcia Häyhä szybko stał się znany; później podejrzewał, że wyznaczono cenę za jego głowę. W konsekwencji w czasie pobytu na froncie brał udział w wielu pojedynkach snajperskich. Nierzadko zdarzało się, że Sowieci reagowali na jego działania atakami artyleryjskimi lub moździerzowymi, mając nadzieję, że uda się go wyeliminować. W jednym przypadku Häyhä znalazł się pod ciężkim ogniem artyleryjskim, próbując zniszczyć sowiecki posterunek obserwacyjny wyposażony w peryskop. Mimo że zasypały go odłamki, ziemia i gruz, ocalał i wycofał się bez uszczerbku. Jeszcze tego samego dnia wrócił w to miejsce, ale podchodząc z innego kierunku, i znalazł sobie nową pozycję. Tym razem się udało – peryskop został zniszczony[8].

Z czasem Häyhä zyskiwał coraz lepszą reputację i wśród swoich. Zdobywał uznanie i otrzymywał prezenty. Wiele z tych darów zostało ufundowanych przez zwykłych fińskich cywili, którzy usłyszeli o jego wyczynach. Otrzymywał także oficjalne i nieoficjalne nagrody, w tym obie klasy Medalu Wolności oraz dwie klasy Orderu Wolności. Być może najsławniejszą jego nagrodą był ufundowany przez szwedzkiego ofiarodawcę honorowy karabin M/28, który Häyhä otrzymał w połowie lutego 1940 roku od fińskiego producenta, firmy Sako. Mimo to Häyhä nadal używał

swojego zaufanego M/28-30, za którego pomocą wysłał na tamten świat 542 żołnierzy sowieckich.

Podejście Häyhy do jego zabójczego rzemiosła było zdumiewająco beznamiętne. Nie czuł osobistej nienawiści do najeźdźców i nie poświęcał uwagi swojemu rosnącemu rejestrowi zabitych, a w późniejszych latach odmawiał rozmów na ten temat. Traktował swoje działania jak zadanie, które wykonywał najlepiej, jak umiał. Zdecydowanie nie przejmował się śmiercionośną rolą, jaką odegrał w zimowej wojnie, a w każdym razie nie spędzała mu ona snu z powiek ani w czasie konfliktu, ani później[9].

Pomimo wysiłków Häyhy wojna powoli przybierała niekorzystny obrót dla niego i jego towarzyszy broni, gdyż wciąż rosnące posiłki sowieckie zagrażały przełomem. Na froncie Kollaa, jak wszędzie, liczba Sowietów znacząco przewyższała liczbę żołnierzy fińskich. Na zaledwie cztery bataliony Finów przypadały dwie pełne dywizje sowieckie, wyposażone w pojazdy pancerne i artylerię[10]. Ta nierówność sił pogłębiła się w styczniu 1940 roku, gdy dzięki dwóm dodatkowym bateriom artyleria sowiecka w tym sektorze osiągnęła liczbę 200 sztuk, 10-krotnie więcej niż po stronie fińskiej. Mimo jednak przewagi Sowietów w ludziach i sprzęcie ich taktyka pozostała uparcie banalna. Sprowadzała się do frontalnych ataków na ufortyfikowane fińskie pozycje. Być może najbardziej znanym przykładem takiego podejścia była bitwa na tzw. Morderczym Wzgórzu, w czasie której jeden fiński pluton, liczący zaledwie 30 ludzi, powstrzymał sowiecki pułk 4000 żołnierzy[11].

Mimo jednak całej swej determinacji i pomysłowości Finowie nie byli w stanie długo się przeciwstawiać tak przeważającym siłom. Pod koniec lutego, kiedy liczebność wojsk fińskich niebezpiecznie spadła, a początkowo

nieprzebyte lasy zmieniły się w księżycowy krajobraz kraterów i powyrywanych, połamanych drzew, przewaga liczebna Sowietów zaczęła mieć znaczenie. W takich warunkach wojna pozycyjna, w której wyspecjalizowali się Finowie, stawała się coraz bardziej się dynamiczna. Pomimo utrzymania linii obronnych na rzece Kollaa i na froncie karelskim izolowane stanowiska je tworzące były coraz częściej forsowane, co zwiastowało ostateczne załamanie.

Simo Häyhä, co jest wymowne, zakończył swoją karierę jako zwykły żołnierz piechoty, nie snajper. Dowodząc oddziałem w początkach marca 1940 roku otrzymał rozkaz powstrzymania natarcia 128 Dywizji sowieckiej w lasach Ulismainen na froncie Kollaa. Dość typowo obrona fińska przerodziła się w kontratak. Häyhä wspominał:

> Zajęliśmy stanowiska o świcie, jakoś o piątej czy szóstej rano. Były tam bagna na 300 metrów szerokie, które udało nam się przejść bez problemu, pod osłoną naszych własnych karabinów maszynowych. Zaraz po przejściu bagien zaatakowaliśmy wroga, który był naprawdę blisko. Mój karabin spisywał się znakomicie, odległość od wrogów chwilami wynosiła około 2 metrów. Przeciwnicy musieli się wycofać, ale niektórzy ich żołnierze, odważniejsi, zostali z tyłu, żeby dezorganizować nasze siły. Nagle z odległości może 50–100 metrów padł strzał i poczułem, że dostałem. Poczułem po prostu stłumiony trzask w ustach i straciłem przytomność[12].

Häyhä został postrzelony w usta eksplodującą kulą, która weszła nad jego górną wargą i wyszła przez lewy policzek. Uderzenie oderwało mu lewą szczękę i strzaskało żuchwę po lewej stronie. Kiedy na krótko odzyskał przytomność, jak wspominał później, miał usta pełne odłamków kości,

połamanych zębów i krwi; pamiętał swojego człowieka, szaleńczo wzywającego pomocy sanitariusza, który ułożył go na zaimprowizowanych saniach i przetransportował na tyły. W chwilę później Häyhä stracił przytomność ponownie. Pozostawał w śpiączce przez tydzień, obudził się dopiero 13 marca, w dniu podpisania rozejmu między Związkiem Sowieckim i Finlandią.

Powrót Häyhy do zdrowia był niezwykle trudny. W którymś nawet momencie w szpitalu polowym, krótko po jego ewakuacji z frontu, pozostawiono go na stercie ciał, ponieważ sanitariusz błędnie uznał jego rany za śmiertelne. Kiedy stan zdrowia nie zagrażał już życiu, Häyhę przeniesiono do szpitala wojskowego w środkowej Finlandii, gdzie mogło się zacząć poważne leczenie. Odtworzenie twarzy wymagało 26 operacji. Należało zrekonstruować szczękę i podniebienie – dokonano tego za pomocą kości pobranych z biodra. Przez wiele miesięcy Häyhä nie mówił i przyjmował wyłącznie płynne pokarmy. Rany były tak poważne, że mimo wysiłków chirurgów zniekształcenie twarzy pozostało mu do końca życia. Został wypisany ze szpitala w maju 1941 roku, 14 miesięcy po odniesieniu rany. Wrócił na wieś i zamieszkał na farmie w wiosce Ruokolahti w południowej Karelii, gdzie zajął się hodowlą psów i polowaniem.

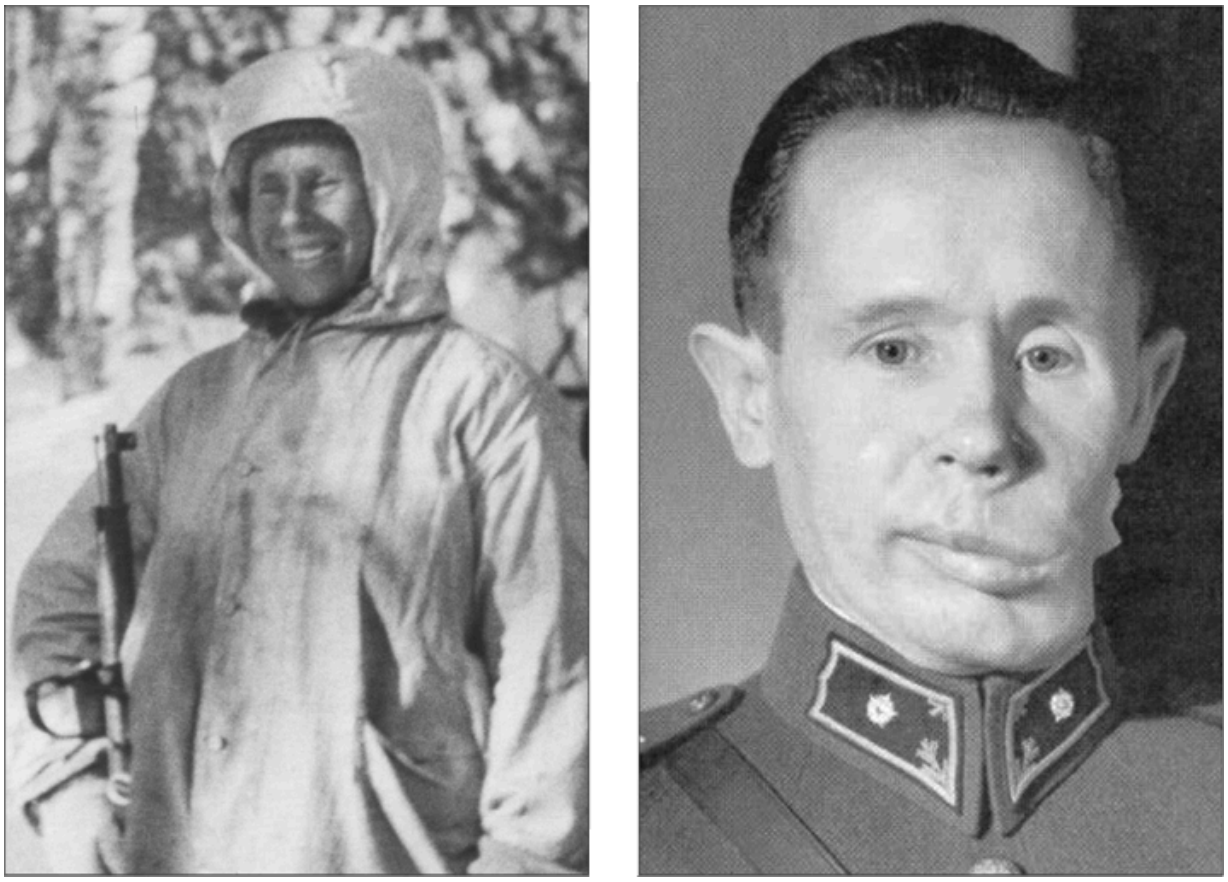

Simo Häyhä w okresie walk na froncie, a następnie z widocznymi skutkami ciężkiej rany.

Problemy Finlandii jednak się nie skończyły. Pokój moskiewski zawarty w marcu 1940 roku zmuszał kraj do oddania Związkowi Sowieckiemu 11 procent terytorium i 30 procent zasobów ekonomicznych. Co więcej, tylko nieliczni Finowie wierzyli, że żądania sowieckie zostały zaspokojone, wielu opowiadało się za wznowieniem działań wojennych i odzyskaniem utraconych ziem. Kiedy 22 czerwca 1941 roku nazistowskie Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki, Finowie poszli w ich ślady, zajmując tereny do linii granicznej z 1939 roku, co określono jako wojnę kontynuacyjną. Häyhä zgłosił się do służby jako ochotnik, ale ze względu na ciężki charakter obrażeń nie został do niej przyjęty.

W następnych latach Häyhä prowadził zwyczajne życie. Rodzinną farmę stracił po 1944 roku, kiedy cały region został oddany Związkowi Sowieckiemu, ale Häyhä pracował dalej na 50 hektarach własnego gospodarstwa w Utuli, 50 kilometrów od granicy sowieckiej, na północ od Leningradu. Zawsze był aktywny, polował, jeździł na nartach i łowił ryby. W gospodarstwie ukrytym w lasach nieustannie miał coś do roboty.

Nie chciał zainteresowania, trzymał się na uboczu. Na jego wrodzoną powściągliwość, skromność i nieśmiałość nałożyły się trudności w mówieniu wynikające z odniesionych obrażeń. Nigdy się nie ożenił, wolał towarzystwo psów i lasu, który zawsze był mu szczególnie bliski. Mimo to został uhonorowany przez fińską armię i przez Fińskie Stowarzyszenie Snajperów, które w 1978 roku zorganizowały na jego cześć zawody snajperskie. Zawody te odbywają się corocznie i gromadzą zarówno wojskowych, jak i cywilnych uczestników. W późniejszych latach Häyhę odwiedzali entuzjaści snajperstwa ze Stanów Zjednoczonych Ameryki i innych krajów, szukający informacji o jego technikach i doświadczeniach. Współpracował także z oficerem armii fińskiej, Tapio Saarelainenem, opowiadając mu historię swojego życia. Simo Häyhä zmarł w kwietniu 2002 roku w wieku 96 lat.

Zapewne można by pomyśleć, szczególnie biorąc pod uwagę skromność Häyhy, że jego osiągnięcia w wojnie zimowej nie były niczym niezwykłym. Ktoś mógłby dojść do wniosku, że Häyhä był skutecznym orędownikiem sztuki snajperskiej i nikim więcej. Jednak nie miałby racji. Wiele czynników – oprócz zadziwiającej liczby zabitych w jego rejestrze – przemawia za tym, że historia Häyhy jest rzeczywiście wyjątkowa. Po pierwsze, inaczej niż wielu jego rywali-snajperów z drugiej wojny światowej, zabił 500 ludzi

za pomocą karabinu wyposażonego jedynie w tradycyjne mechaniczne przyrządy celownicze. Po drugie, działał w najtrudniejszym otoczeniu, jakie można sobie wyobrazić, w czasie ciężkiej skandynawskiej zimy, w warunkach, które są ostatecznym sprawdzianem dla ludzi i sprzętu.

Nie można też zapominać, że wojna zimowa trwała niecałe cztery miesiące, od końca listopada 1939 roku do połowy marca 1940 roku, a Häyhä został zwolniony ze służby, spędziwszy mniej niż 100 dni na froncie. Daje to średnio pięciu zabitych każdego dnia walki. Przy całej swej skromności ten drobny mężczyzna o chłopięcej twarzy w pełni zasłużył na tytuł najskuteczniejszego snajpera drugiej wojny światowej.

Rozdział 2

LUDMIŁA PAWLICZENKO
Najgroźniejsza kobieta świata

Ostatni pociąg na zachód przejechał przez Bug na okupowaną przez Niemców stronę rosyjsko-niemieckiej granicy o godzinie 2.00 w nocy 22 czerwca 1941 roku. Godzinę później, kiedy krótka, letnia noc opuściła środkową Ukrainę, Hitler naruszył zawarty ze Stalinem pakt o nieagresji i rozpoczął operację Barbarossa. Ostrzał niemieckiej artylerii zagrzmiał wzdłuż 3200-kilometrowej granicy od Arktyki do Morza Czarnego. Trzy miliony żołnierzy Osi (182 dywizje), 6000 dział artyleryjskich, 2000 samolotów wojskowych Luftwaffe i tysiące czołgów zalały zachodnią część Związku Sowieckiego w ostatnim niemieckim blitzkriegu.

„Im szybciej zmiażdżymy Rosję, tym lepiej” – takimi słowami Hitler zagrzewał do walki swoich żołnierzy.

Kijów, stolica i największe miasto Ukrainy, był obok z Moskwy i Leningradu jednym z pierwszych celów Hitlera. Myśliwce Luftwaffe Me-109 i bombowce nurkujące Ju-87 Stuka zaczęły atakować i bombardować miasto krótko po rozpoczęciu inwazji. Ludmiła Michajłowna Pawliczenko, 24-letnia studentka historii Uniwersytetu Kijowskiego, szła na uczelnię, kiedy rój myśliwców pojawił się nisko nad jej głową i zaczął niszczyć budynki. Dziewczyna popędziła przed siebie, szukając schronienia. Tej nocy podjęła decyzję. „Będę walczyć – poinformowała rodziców. Jej ojciec brał udział w rewolucji październikowej po stronie zwycięskich Czerwonych. – Jutro idę do biura werbunkowego”. W ciągu roku ta drobna, ciemnooka

piękność stała się jedną z najniebezpieczniejszych kobiet XX wieku, najgroźniejszym snajperem-kobietą ze wszystkich armii świata.

Pawliczenko pojawiła się w biurze werbunkowym następnego ranka, na wysokich obcasach i w jedwabnej sukience. Jej paznokcie zdobił elegancki manicure, a ciemne, falujące włosy miała krótko obcięte. Była szczupła, zgrabna i piękna, o delikatnych rysach i ciemnobrązowych oczach, które zdawały się wżerać w męskie dusze. Ochotnicy stali w kolejce wokół budynku.

Rekrutację prowadził starszy żołnierz, wycofany z frontu ze względu na wiek lub stan zdrowia. Spojrzał zaskoczony, kiedy stanęła przed nim i zakomunikowała: „Chcę się zaciągnąć jako snajper". Ta elegancka kobieta wyglądała bardziej na modelkę niż na zabójczynię Niemców. Roześmiał się.

– Dlaczego nie pracujesz w fabryce, jak inne kobiety? – spytał. – Jesteś tam potrzebna, kiedy mężczyźni maszerują na front.

Choć zgodnie z duchem sowieckiej równości Rosja była znacznie mniej seksistowska niż jej zachodni alianci, armia sowiecka skrywała nadal głęboką niechęć do werbowania kobiet do walki. Kobiety w naczelnym dowództwie zajmowały się aprowizacją, nie walką. Służyły głównie w administracji, służbach medycznych i w charakterze różnego rodzaju pomocy. Jednak wyjątkowe okoliczności wojny na froncie wschodnim, gdzie Rosja walczyła o przetrwanie, stłumiły wątpliwości dotyczące frontowej służby kobiet. Do chwili zakończenia drugiej wojny światowej ponad 800 000 rosyjskich kobiet służyło jako piloci, strzelcy karabinów maszynowych, członkowie załóg czołgów, partyzanci i snajperzy. Prawie 200 000 z nich

zostało odznaczonych, a 92 otrzymały tytuł Bohatera Związku Sowickiego, najwyższe narodowe odznaczenie.

Szybki rozwój przemysłowy Związku Sowieckiego i kryzys światowy lat 20 i 30 spowodowały przeniesienie się wielu Rosjan z wiejskich gospodarstw do miast. W duchu egalitaryzmu zachęcano młode kobiety do pracy, studiowania i uczestnictwa w paramilitarnych szkoleniach. Kobiety uczyły się strzelać, pilotować samoloty, prowadzić ciężarówki i radzić sobie w walce. Ludmiła Pawliczenko była jedną z nich.

Rosyjska snajperka Jelizawieta Miranowa, która wystąpiła w filmie propagandowym. Według doniesień zabiła 34 Niemców.

Urodziła się 12 lipca 1916 roku, w ciężkich latach pierwszej wojny światowej w Białej Cerkwi. Kiedy miała 14 lat, przeniosła się wraz z rodziną w okolice Kijowa, gdzie ukończyła szkołę średnią, jednocześnie pracując jako szlifierz w fabryce broni Arsenał. Była zdolną, ale upartą

uczennicą, chłopczycą, która wolała bawić się procą niż lalkami. Uwielbiała czytać powieści przygodowe i podróżnicze.

Gdy Niemcy napadły na Ukrainę, Pawliczenko była studentką Uniwersytetu Kijowskiego. W ciągu roku stała się najgroźniejszą kobietą świata.

Jak wiele dziewcząt i chłopców w tamtych czasach, fascynowała się sportem i zajęciami o charakterze wojskowym. Jej poszukiwanie przygód znajdowało upust w skokach spadochronowych i lataniu małymi samolotami. Wyróżniała się jako zdumiewający talent strzelecki, zdobyła

upragnioną odznakę strzelca woroszyłowskiego i brała udział w lokalnych zawodach strzeleckich. Kiedy rozpętana przez Hitlera wojna zaczęła coraz bardziej zagrażać ZSRS, Pawliczenko wstąpiła do szkoły snajperów ochotników zorganizowanej przez miejscową komórkę Komsomołu. Swoje dyplomy strzeleckie odłożyła do pudełka i zapomniała o nich do 22 czerwca 1941 roku, kiedy to naziści przekroczyli Bug, aby zaatakować Ukrainę.

W tym czasie Pawliczenko była studentką czwartego roku historii i zajmowała się pracą magisterską. W biurze werbunkowym wyjęła swoje dyplomy, odznakę woroszyłowską i odznaczenia paramilitarne, po czym rzuciła to wszystko na biurko rekrutującego oficera, który wcześniej się z niej śmiał. Mina mu się zmieniła. Spojrzał na dokumenty, po czym podniósł oczy i z niechętnym szacunkiem przeniósł wzrok na młodą elegantkę z drugiej strony biurka.

– Zniszczysz sobie paznokcie – powiedział, przybijając pieczątkę na jej podaniu. Przyjęte.

Ludmiła Pawliczenko, najskuteczniejsza rosyjska kobieta-snajper drugiej wojny światowej z ponad 300 potwierdzonymi trafieniami.

W tym momencie Pawliczenko stanęła na początku drogi mającej uczynić ją jedną z 2000 kobiet-snajperów w Armii Czerwonej i jedną z zaledwie 500, które przeżyły wojnę.

* * *

Gorzkie doświadczenia z fińskimi snajperami, takimi jak Simo Häyhä, który zabił 500 żołnierzy rosyjskich podczas wojny zimowej 1939–1940, pokazały Związkowi Sowieckiemu wartość snajperów. W efekcie zaczęto zwracać większą uwagę na ich szkolenie. Specjalne oddziały snajperskie powstały przy wszystkich większych jednostkach wojskowych. Młodą Ludmiłę Pawliczenko przydzielono do 25. Dywizji Strzeleckiej im. Wasilija

Iwanowicza Czapajewa, wchodzącej w skład Samodzielnej Armii Nadmorskiej.

W ramach pobieżnego przeszkolenia zapoznano ją z podstawowymi zasadami taktyki i techniki snajperskiej, takimi jak techniki obserwacji, kamuflażu i ukrywania się, celowania i wybierania obiektów. Na nic więcej nie było czasu. Chociaż pięciomilionowa Armia Czerwona była najliczniejsza na świecie, brakowało jej wyposażenia i sprawności. Kiedy w ciągu pierwszego tygodnia ataku armia niemiecka posunęła się o 450 kilometrów, wśród Rosjan zapanował chaos. Do 8 lipca nieprzyjaciel podszedł pod Kijów, a walki toczyły się w lasach 150 kilometrów od miasta.

Kiedy Pawliczenko i jej towarzysze przygotowywali się do przeniesienia na front, aby dołączyć do 25. Dywizji Strzeleckiej, do Kijowa docierały opowieści pełne grozy i przykładów dzikiej odwagi – o płonącym sowieckim czołgu, którego załoga atakowała niemieckie pozycje, dopóki wszyscy nie spłonęli, o pilocie-kamikadze, który skierował uszkodzony samolot na konwój niemieckich ciężarówek, o tylnej straży, której żołnierze woleli zginąć niż poddać się lub wycofać...

Rosjanie powoływali do wojska kobiety i dzieci. Na polach bitew znajdowano martwe śliczne nastolatki, wciąż ściskające karabiny maszynowe. Żołnierze sowieccy, którzy poddali się panice i uciekali, byli zabijani przez własnych oficerów. Tych, którzy mieli nieszczęście dostać się do niewoli, obwoływano zdrajcami, a ich rodzinom odbierano racje żywnościowe, co często oznaczało śmierć głodową.

Przed wysłaniem na front Pawliczenko otrzymała standardową broń piechoty, kolejną wersję karabinu, który był na wyposażeniu armii rosyjskiej od 1891 roku – pięciostrzałowy powtarzalny Mosin-Nagant 91/30, 7,62

milimetra, który wystrzeliwał 9,59-gramowy nabój z szybkością 854 metrów na sekundę i był skuteczny na odległość do 550 metrów. Przystosowany jako standardowy karabin snajperski w 1932 roku, mógł być wykorzystywany do strzałów na odległość 1250 metrów po dodaniu celownika optycznego.

Luneta Pawliczenko, PE o stałym, 4-krotnym powiększeniu, była kopią lunet wytwarzanych w zakładach Carl Zeiss. Miała 4-stopniowe pole widzenia, niemal 30 centymetrów długości i dodawała około pół kilograma wagi do całkowitej wagi karabinu. Pokrętła umożliwiały ustawianie na niej siły wiatru, znoszenia, kierunku i kąta uniesienia.

Wyposażona w nowy karabin i 120 sztuk amunicji, już nie w stroju z żurnala, ale w za luźnym męskim mundurze khaki, w maskującym kombinezonie, w snajperskim kapturze i z siatkową maską na twarz w plecaku, młoda studentka historii stała się przyszłą zabójczynią Niemców. Wśród tysięcy rekrutów i zmienników czekała na dworcu w Kijowie na transport na front. Jej jednostka walczyła już desperacko w Mołdawii z rumuńskimi i niemieckimi wojskami, które starały się zablokować dojście od południa do Odessy nad Morzem Czarnym, bardzo ważnego portu handlowego i bazy sowieckiej marynarki wojennej.

Na dworcu panowało zamieszanie, żołnierze z plecakami i bronią tłoczyli się w wagonach towarowych, otwartych wagonach i wszystkim, co mogło poruszać się po szynach. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały dniem i nocą, ich stalowe koła i przenikliwe gwizdki sygnalizowały pośpiech, którego Rosja nie zaznała od czasów inwazji napoleońskiej.

Pełna obaw, w napięciu, Pawliczenko znalazła miejsce w wagonie pomiędzy niedźwiedziowatym sierżantem z zepsutymi zębami i dzieciakiem mniej więcej 17-letnim,

który strasznie płakał. Przez dwa dni pociąg telepał się przez Besarabię w kierunku Mołdawii i Dniestru, gdzie stacjonowała 25 Dywizja, zatrzymując się tylko w celu uzupełnienia paliwa i aby pozwolić oddziałom rozprostować nogi oraz ugotować kilka garnków ziemniaków i kapusty.

Mołdawia, wcześniej część Rumunii, była starym krajem, znanym z zamków i wina. Stalin ostatnio zagarnął ją, realizując pakt o nieagresji z Hitlerem. Granicę między Mołdawią i Ukrainą tworzył Dniestr. Rzeka wpływała do Morza Czarnego około 150 kilometrów na zachód od Odessy.

Chmury letniego kurzu przysłaniały horyzont, kiedy oddziały zbliżyły się do miejsca przeznaczenia. Siły rosyjskie poruszały się przy użyciu wszystkich możliwych środków, nie tylko pociągiem, ale i ciężarówkami, samochodami turystycznymi, konno i na wozach, furach, rowerach oraz pieszo. Późnym popołudniem drugiego dnia Pawliczenko i jej towarzysze usłyszeli odległy grzmot walk artyleryjskich.

„Wiedziałam, że moim zadaniem jest strzelać do ludzi – wspominała później Pawliczenko. – Teoretycznie wszystko było w porządku, ale wiedziałam, że rzeczywistość będzie całkowicie odmienna”. Miała odkryć, tak jak wcześniej inni, że między strzelaniem do tarczy na strzelnicy a strzelaniem między parę oczu, które nagle widać w lunecie, jest wielka różnica. Zadawała sobie pytanie, czy ma ten szczególny rodzaj odwagi. Odpowiedź poznała już po kilku dniach od przybycia do tego lesistego i górzystego kraju między Dniestrem i Odessą. Jej 2 Kompania 54 Pułku Strzeleckiego im. Stiepana Razina 25 Dywizji została wycofana z okolic rzeki Prut, aby zająć pozycje na odległych drogach w kierunku Odessy.

* * *

Kiedy rozpoczęła się operacja Barbarossa, rumuński Sztab Generalny wydał Rozkaz nr 31, przewidując, że 4. Armia rumuńska i częściowo 11. Armia niemiecka pokonają Rosjan pomiędzy Dniestrem a Tiligulskim Limanem i zajmą Odessę. Miasta broniły Dywizje Strzeleckie 25., 95. i 421., wspierane przez 2. Dywizję Kawalerii, a także pułk NKWD, trzy eskadry bombowców i myśliwców oraz artyleria. Na szczęście, dzięki przewadze sowieckiej Floty Czarnomorskiej, miasto nie zostało całkowicie otoczone.

Obrona rosyjska składała się z trzech oddzielnych linii. Pierwszą, usytuowaną około 50 kilometrów od miasta, stanowiły zasieki, bunkry i rowy przeciwczołgowe. Gdyby upadła, Rosjanie mieli się wycofać na drugą linię, w odległości 8 kilometrów od Odessy. Ostatnia linia obrony oznaczała walki w Odessie, historycznym mieście założonym przez carycę Katarzynę Wielką w 1794 roku.

Zgodnie z rozkazem Stalina, oddziały NKWD miały rozstrzeliwać tchórzy. W kompanii Pawliczenko nie wolno było nawet myśleć o śmierci, a co dopiero mówić o niej.

Snajper Ludmiła Pawliczenko przy pracy, niedaleko Odessy, wkrótce po ataku Hitlera na Ukrainę. Aktor Charlie Chaplin, spotkawszy ją później, wykrzyknął: „To nadzwyczajne, że te małe, delikatne dłonie zabiły setki nazistów”.

Kiedy 8 sierpnia 1941 roku rozpoczął się niemiecki atak na Odessę, 2. Kompania znajdowała się na środku pierwszej linii obrony. Atak poprzedzony był zmasowanymi działaniami artylerii, która ostrzelała wzgórza, pozostawiając roztrzaskane kępy drzew w ogniu i dymie. Pawliczenko i inni żołnierze wciskali się w ziemię, wypatrując wąskich, otwartych pól. Przez lunetę karabinu, na tle bladego porannego słońca, Pawliczenko widziała żołnierzy wroga poruszających się po zboczu pobliskiego wzgórza. Byli łatwym celem. Jednak z przerażeniem zauważyła, że nie jest w stanie nacisnąć na spust. Palec

wydawał się zesztywniały i nieruchomy. Może ma za mało odwagi, żeby być snajperem?

Obok niej leżał młody żołnierz, przy którym siedziała w pociągu jadącym z Kijowa. Miły chłopiec o pogodnym usposobieniu. Nagle odezwał się wystrzał karabinu i z pobliskiej linii drzew zaterkotał karabin maszynowy. Pawliczenko usłyszała dźwięk przypominający uderzenie młotka w arbuz, a potem krzyk bólu i zdumienia. Ku swojemu przerażeniu zauważyła, że jej kolega dostał w głowę, która eksplodowała różową chmurą krwi i mózgu. „Po tym – wspominała – nic nie mogło mnie zatrzymać".

Pierwszego Niemca zabiła mniej więcej dzień później, w czasie czterodniowej walki o wzgórze 54.2 koło Biełajewki, gdzie bronił się jej pułk. Wraz z obserwatorem przeczołgała się przez wątłe krzaki, poza linię obrony, i tam się ukryła, wypatrując wroga tam, gdzie mógł się pojawić z największym prawdopodobieństwem. Rosja była pierwszym krajem, który wprowadził dwuosobowe zespoły snajperskie, składające się ze strzelca i obserwatora.

Przez peryskop okopowy, model 40, obserwator Pawliczenko dostrzegł ruch na zalesionym obszarze w odległości około 300 metrów. Pawliczenko przesunęła się na lepsze miejsce, zarys jej sylwetki zniknął pod jednoczęściowym kombinezonem, który przykryła liśćmi.

W jej lunecie z 4-krotnym powiększeniem pojawili się trzej Niemcy, spokojnie poruszający się na granicy cienia, nieświadomi, że są obserwowani. Dziewczyna wyzerowała broń na 300 metrów dla celu i punktu trafienia. Biorąc pod uwagę zmienne takie jak szybkość wiatru (słaby), waga pocisku, oddech i nacisk na spust, przesunęła celownik nieco poza środek ciężkości prowadzącego żołnierza wroga. Wojskowi snajperzy zwykle celują w klatkę piersiową i liczą

na śmiertelne uszkodzenia tkanek i narządów oraz utratę krwi.

Pawliczenko była tak podekscytowana, że lufa karabinu tańczyła jej przed oczami. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i czekała na odpowiedni moment. Już się nie wahała. Kiedy jej cel przystanął, aby się rozejrzeć, nacisnęła spust. Siła uderzenia pocisku obróciła Niemca i rzuciła go na kolana. Jeszcze zanim upadł twarzą na ziemię, przeładowała i zabiła drugiego. Trzeci żołnierz uciekł w panice, zanim zdążyła do niego strzelić. Jak później opowiadał jej obserwator, „wyraz jej ślicznej twarzy nie zmienił się w najmniejszym stopniu". Później dodał: „Rosja będzie mówić o Ludmile Pawliczenko".

Wściekłość skierowana przeciw niemieckim napastnikom na jej kraj przerodziła się w nienawiść, kiedy wojska Osi przełamały sowiecką obronę i otoczyły miasto. Wróg dotarł do głównej linii rosyjskiego oporu po dwutygodniowej ofensywie i wzmocniony dziesięcioma bateriami ciężkiej artylerii rozpoczął ostrzeliwanie Odessy.

Piękna Ukrainka z Uniwersytetu w Kijowie stała się twardym snajperem i szybko przystosowała się do surowych i niebezpiecznych warunków bojowych. Zarówno ona, jak i inni sowieccy snajperzy cieszyli się niemal całkowitą swobodą podczas swoich misji, mających na celu tropienie, spowalnianie i nękanie atakujących, a także podkopywanie ich morale za pomocą niespodziewanych strzałów z dużej odległości do dobrze wybranych celów. Wycie artylerii, ryk nurkujących bombowców i terkot karabinów maszynowych nie słabły całymi dniami, chwilami tylko przerywały je chwile ciszy. Niebo zasnuły grube chmury dymu i pyłu.

Snajper musiał wykazać się cierpliwością, wytrwałością, stalowymi nerwami i pewnym palcem na spuście.

Pawliczenko dowiodła, że jest równie nieustępliwa jak atrakcyjna. Doskonała maszyna do zabijania. Dzień po dniu wraz z obserwatorem czołgała się na ziemię niczyją, żeby znaczyć swój krwawy szlak. Silna nienawiścią i poczuciem misji, często wpełzała w ukrycie i pozostawała tam nawet 18 godzin, mając do dyspozycji tylko suchy chleb i wodę, załatwiając na miejscu potrzeby fizjologiczne, a wszystko to dla jednego strzału, jednego zabitego na snajperskiej drodze. Liczba zabitych na jej koncie rosła prawie z każdym dniem.

Jej ulubionymi celami byli oficerowie wroga, radiotelegrafiści, podoficerowie, przewodnicy psów często używanych do tropienia snajperów, i – rzecz jasna – snajperzy wroga. Z tymi ostatnimi prowadziła śmiertelną grę w chowanego w wojennych gruzach i ruinach. Przegrani nie mieli drugiej szansy.

Chytra i przebiegła, o silnej woli przeżycia, wykorzystywała różne podstępy i triki, aby przetrwać, gdy średni czas życia snajpera wynosił trzy tygodnie. Schwytani snajperzy każdej strony byli na miejscu rozstrzeliwani.

Najbardziej lubiła polować w czasie ataków artyleryjskich, uniemożliwiających zlokalizowanie jej karabinu. Poza tym ataki sprawiały, że jej obiekty mniej interesowały się ewentualną obecnością snajpera. Rzadko strzelała więcej niż raz z jednego miejsca i nigdy nie wracała do wykorzystanej kryjówki. Na krzakach w niebezpiecznych obszarach rozwieszała strzępki tkanin, aby ich powiewanie rozpraszało obserwatorów wroga. Dodatkową ochronę przed intruzami zapewniały jej granaty, miny i dym z bomb-pułapek. Czasem snajperzy wroga ujawniali się dzięki manekinowi ze sklepu z ubraniami przebranemu za kuszący cel.

Pod względem zdolności do działania z zimną krwią w tej psychologicznej wojnie nikt nie mógł się z nią równać. Ponieważ stale wybierała na cel drugiego człowieka w kolumnie lub patrolu, w oddziałach najeźdźców każdy obawiał się zajmowania tego miejsca. Czasem rozmyślnie strzelała komuś w nogi, aby jego wołanie o pomoc doprowadziło inne cele w jej pole rażenia.

Jeden trzask 7,62-milimetrowego Mosina-Naganta Pawliczenko na ziemi niczyjej wystarczał, aby wzbudzić przerażenie w sercach niemieckich i rumuńskich żołnierzy. Jeśli pojawiała się na tyłach, żołnierze piechoty wpatrywali się w nią z niedowierzaniem, że ta chudzina może być bezlitosnym zabójcą, którego sława zaczyna docierać na całą Ukrainę. Do 29 sierpnia, dwudziestego ósmego dnia oblężenia Odessy, jej rejestr wzrósł do 100 zabitych, przy średniej dziennej około czterech. Niewielu snajperów w historii wojen mogło poszczycić się takimi sukcesami w tak krótkim czasie. Pawliczenko właśnie stawała się najznakomitszym zabójcą na świecie.

* * *

Ważnym punktem strategicznym był utrzymywany przez Rosjan mały cmentarz w pobliżu kołchozu Ilijcewka, ponieważ przez kołchoz przechodziła droga z Wozniesieńska do Odessy. Przed linią obrony rozmieszczono snajperów. Pawliczenko, pracująca samotnie, wspięła się na drzewo na cmentarzu, aby uzyskać lepszy widok. Sądziła, że liście ją zasłaniają.

Ledwie usadowiła się wygodnie, odezwał się ostry trzask karabinu, a pocisk przeleciał między liśćmi tuż nad jej głową. Niemal natychmiast pojawił się kolejny. Zdała sobie sprawę z grozy swojego położenia. Celowało do niej co

najmniej dwóch snajperów wroga. Bez zastanowienia puściła gałęzie i spadła z wysokości 3,5 metra na ziemię, na trawę między grobami. Poczuła przeszywający ból kręgosłupa. Zagryzła zęby i leżała bez najmniejszego ruchu, udając martwą, wiedząc, że jeśli poruszy choćby palcem, ogień wroga ją wykończy.

Mijały godziny. Południowe słońce spaliło jej ciało. Żądlące i gryzące owady chodziły jej po twarzy.

Wreszcie słońce zaszło. Wyczołgała się z cmentarza pod osłoną ciemności i wróciła do swoich. Dwa dni spędziła w łóżku, a ponad tydzień kuśtykała, opierając się na zaimprowizowanej lasce.

* * *

Oblężenie Odessy trwało. Nikt nie prosił o litość i nikomu nie była dana. Rosja otrzymała straszny cios, kiedy północno-zachodnie pozycje padły i Niemcy zajęli obszar na południe od zatoki Suchoj Liman, co umożliwiło ich artylerii ostrzeliwanie wszystkich rejonów Odessy i sowieckiej obrony.

Buty piechoty, konie i czołgi wzbijały duszący kurz, który wisiał w chmurach o wysokości budynków i zmieniał się w błoto, kiedy zaczęły się zimne deszcze późnego września. Wielodniowe ulewy zmieniły szlaki i drogi w niemożliwe do przejścia mokradła. Konie zapadały się po chomąta, ludzie po kolana, a pojazdy po osie.

Praktycznie żaden budynek w Odessie nie pozostał w nienaruszonym stanie. Walki toczyły się na placu Michajłowskim, na Schodach Potiomkinowskich i wokół imponującej kopuły największej cerkwi. Ogień płonął prawie bez przerwy. W tym otoczeniu snajper, taki jak Pawliczenko, awansowana do stopnia starszego sierżanta,

mógł z łatwością znajdować cele. Zaliczyła kolejnych 87 zabitych.

Podczas walk pod Odessą 9 października 1941 roku została ranna odłamkiem w głowę. Dowódca jej kompanii, podporucznik Petrenko, zginął. Starszy sierżant Leonid Kicenko, snajper i starszy podoficer oddziału snajperskiego Pawliczenko, został ranny. Dowodzenie objęła Pawliczenko, dzielna postać z brudnym bandażem owiniętym wokół głowy, z czapką nisko zsuniętą, aby utrzymać na miejscu opatrunek, z twarzą pokrytą krwią, z całych sił starająca się nie zemdleć.

– Tchórze! – wrzeszczał oficer polityczny w stronę jej kolegów. – Popatrzcie na tę kobietę. Pawliczenko ma jaja jak facet.

Ostatecznie trafiła do batalionu medycznego, skąd została zwolniona na kilka dni przed kapitulacją Odessy 15 października. Zgodnie z głoszoną przez Stalina polityką spalonej ziemi rosyjskie grupy sabotażystów zniszczyły tyle miasta, ile tylko były w stanie, i zaminowały resztę, podczas gdy Flota Czarnomorska ewakuowała pod osłoną ciemności ponad 350 000 żołnierzy i ludności cywilnej. Sowieci stracili w czasie oblężenia 16 578 ludzi, a 24 690 zostało rannych. Liczba ofiar po stronie niemieckiej i rumuńskiej wyniosła 63 345 rannych i 17 729 zabitych, wśród których 187 zabiła pojedynczymi strzałami sierżant Ludmiła Pawliczenko.

Jeszcze gorsze walki czekały ją w Sewastopolu, który wkrótce również został oblężony.

* * *

Nie można postrzegać snajpera Ludmiły Pawliczenko poza kontekstem czasu i okoliczności, które ją stworzyły. Gdyby

nie wojna, prawdopodobnie zostałaby nauczycielką historii na Ukrainie. W tym momencie jednak, ze 187 potwierdzonymi zabitymi, była fetowana na całym Krymie, do czasu, aż jej 25. Dywizja Strzelecka opuściła Odessę, aby wzmocnić obronę Sewastopola. Już niedługo świat miał usłyszeć o „najgroźniejszej kobiecie stulecia".

Sewastopol, leżący na końcu wcinającego się w Morze Czarne Półwyspu Krymskiego, był jednym z najważniejszych punktów obrony na froncie wschodnim. Otaczały go górzyste tereny, których poszarpane grzbiety zapewniały miastu i portowi naturalną osłonę. Siły niemieckie musiały się przeciskać przez wąski i spustoszony Przesmyk Perekopski, by następnie przeć w poprzek Półwyspu Krymskiego; często ukształtowanie terenu zmuszało je do prowadzenia frontalnych ataków wzdłuż wąskich pasów ziemi. Bitwa o przesmyk, a następnie atak na miasto i ukrytą w nim sowiecką flotę, rozpoczęła się 24 września 1941 roku i toczyła przez następnych dziewięć miesięcy. Zdobycie rosyjskiej enklawy wymagało zaangażowania sześciu dywizji niemieckich i dwóch brygad rumuńskich, wsparcia z powietrza i udziału najcięższej istniejącej artylerii.

Pawliczenko przedostała się tam wraz z 25. Dywizją statkiem, podczas przerwy w walkach. Wyczerpane walkami i osłabione liczebnie odziały z Odessy natychmiast rzucono do walki.

W walkach o Sewastopol podczas wojny krymskiej w XIX wieku (1853–1856) Rosjanie opracowali sztukę strzelania z „rowów strzeleckich" na ziemi niczyjej. Tak jak wówczas – i tak jak w Odessie – snajperzy rosyjscy w Sewastopolu w latach 1941–1942 zostali umieszczeni przed głównymi liniami obrony, w wąskim pasie zmodyfikowanych „rowów strzeleckich". Pawliczenko, czasem sama, a czasem

z obserwatorem lub innym snajperem, nadal praktykowała techniki, które przyniosły jej sukcesy w Odessie. Na ogół wczołgiwała się do kryjówki około godziny 3 nad ranem, a czasem czekała nawet dwa dni na możliwość oddania strzału.

Nadchodziła zima. Na brązowej trawie i nagich gałęziach drzew rano pojawiał się lód. Złe warunki spowodowały jątrzenie się jej wcześniejszych ran. Jeden dzień na froncie liczył się jak miesiąc lub nawet rok w czasie pokoju. Pawliczenko schudła i zmizerniała. Jej wzrok stał się nieobecny, co jest charakterystyczne dla weteranów. W jej kruczoczarnych włosach pojawiły się pasma siwizny.

Mimo to nie poddawała się. Ubrana w spodnie i workowaty kombinezon kamuflujący z wielkim kapturem i pętlami na liście, zabijała codziennie jednego lub dwóch wrogów. Była w nieustannym ruchu, przenosiła się z sektora do sektora, tam, gdzie jej oko i ręka mogły przynieść najwięcej korzyści. Nikt z dawnych kijowskich znajomych nie rozpoznałby w niej dawnej studentki uniwersytetu w jedwabnej sukience.

Nowa Pawliczenko, snajper, stała się bliska wszystkim Rosjanom, w miarę jak wieści o jej osiągnięciach stawały się coraz głośniejsze. Partia komunistyczna podawała ją jako przykład zwykłym ludziom, cierpiącym z powodu okrutnych wojennych warunków. „Jeśli ta młoda, piękna kobieta może to znieść – mówili – to jak my, którzy nie jesteśmy na froncie, możemy się skarżyć na racjonowanie żywności i inne utrudnienia”.

Nawet Niemcy mieli świadomość jej istnienia i jej bezbłędnego oka. Któregoś popołudnia zastrzeliła radiotelegrafistę w oddziale uciekającym ze zniszczonego pociskiem domu na wsi w kierunku stodoły pełnej siana. Był to długi strzał w zimnym deszczu, ograniczającym

widoczność. Taki mogła oddać tylko „ruska dziwka z piekła rodem”. Niemiecki oficer stał dość długo, aby krzyknąć: „Ludmiła, zostaw bolszewików i chodź do nas”. Zabiła go.

* * *

Sowiecka obrona zewnętrzna załamała się 28 października, pozostawiając cały Krym z wyjątkiem Sewastopola w rękach Niemców. Przez całą jesień i w czasie wczesnych zimowych śnieżyc trwała huśtawka ataków i kontrataków, a Rosjanie uparcie trzymali się kawałka ziemi nad Morzem Czarnym. Niemieckie moździerze i artyleria nieustannie bombardowały miasto, obracając je niemal doszczętnie w gruzy. Dzień po dniu siły sowieckie, pierwotnie liczące jakieś 235 000 żołnierzy, kurczyły się w starciu ołowiu i stali.

Jak zwykle, snajperzy stanowili istotny element obrony miasta. W czasie oblężenia Sewastopola, które trwało do lipca 1942 roku, rosyjscy snajperzy w liczbie około 300 starli z powierzchni ziemi niemal całą dywizję, około 10 000 żołnierzy niemieckich. Pawliczenko, awansowana na polu walki do stopnia podporucznika, była najlepszym strzelcem w czasie oblężenia. Kolejne miejsce zajmował starszy sierżant Leonid Kicenko, który wyleczył się już z rany otrzymanej w Odessie.

Po wycofaniu się Rosjan do miasta Pawliczenko i Kicenko stali się tak efektywnym zespołem, że dowódcy określali ich wartość jako równą wartości dywizji piechoty. Para często wracała z „polowania”, mając na koncie trzech lub czterech zabitych w ciągu dnia. Nierzadko wydawało się, że łączy ich coś więcej niż zapał towarzyszy walki.

Wściekłość Pawilczenko podsycały stale docierające opowieści o kolejnych zbrodniach niemieckich. Specjalne

Einsatzgruppen (grupy operacyjne) bez wytchnienia mordowały rosyjskich jeńców wojennych, cywili i Żydów. W Kijowie i innych miastach Żydów rozstrzeliwano i wrzucano do masowych grobów; ofiary liczono w setkach tysięcy. W Mińsku żołnierze SS wywlekli 280 rosyjskich cywili z więzienia, ustawili ich nad rowem i strzałami zrzucili w dół. Po upadku Kijowa 26 września 1941 roku 38 000 Rosjan wywieziono w wagonach bydlęcych do obozów pracy niewolniczej. Większość z nich nigdy nie wróciła do domu. Okupanci usiłowali wyludnić Ukrainę, aby zrobić miejsce dla niemieckich osadników. Miały im w tym pomóc głód i choroby, czemu sprzyjało zaniechanie działań sanitarnych i zakaz wysyłania jedzenia potrzebującym. „Wrogowie to nie żołnierze, ale zwierzęta – głosił Hitler. – To nie wojna, ale eksterminacja”.

Niemieckich snajperów zachęcały do działania nagrody za zabitych i ceny za głowy najlepszych rosyjskich snajperów, jak Pawliczenko, której sława doszła aż do Berlina. Nagrodą za 20 zabitych był kosztowny zegarek, za 40 karabin myśliwski, a za 60 polowanie w towarzystwie Hermanna Göringa. Kilku snajperów niemieckich biorących udział w oblężeniach Odessy i Sewastopola żyło dość długo, aby zasłużyć na tę ostatnią nagrodę. Sama Pawliczenko zabiła 36 snajperów wroga.

Jej działania były nie tylko śmiertelnie groźne, ale także upokarzające, ponieważ była przecież kobietą. Kiedy obręcz Wehrmachtu zacisnęła się wokół Sewastopola, niemieccy snajperzy przysięgli sobie, że wykończą tę „ruską dziwkę z karabinem dalekiego zasięgu”.

Dnia 11 listopada 60 000 żołnierzy Osi przypuściło czterodniowy szturm na sektor obrońców miasta w trudnym, górzystym terenie. Było to jedno z ulubionych terytoriów łowieckich Pawliczenko, ponieważ dawało jej

dobrą ochronę. Zgodnie ze swoim zwyczajem poczołgała się do ukrycia przed świtem czystego, zimowego poranka, kiedy powietrze było przesycone zapachem śniegu. Zajęła miejsce, czekając na pojawienie się celu. Kicenko, z którym zazwyczaj pracowała, został przydzielony gdzie indziej.

W świetle wczesnego poranka coś poruszyło się w młodym zagajniku, otaczającym ważne taktycznie wzgórze, około 400 metrów przed nią. Przez lornetkę dojrzała hełm. Snajperzy często nie potrafili oprzeć się pokusie łatwego strzału. Jednak Pawliczenko powstrzymała się i czekała. Ruch hełmu wyglądał nienaturalnie. W następnej chwili zauważyła ruch gałęzi na lewo od miejsca, w którym zniknął hełm – ruch niewielki, ale wystarczający, aby zwrócić jej uwagę. Ona sama czasami stosowała podstęp polegający na przywiązaniu liny do krzaka i szarpania nią z odległości, aby sprowokować ogień przeciwnika i w ten sposób odkryć położenie snajpera.

Czekała w napięciu, gotowa do działania. Słońce było coraz wyżej, a jego promienie odbijały się w kawałkach lodu jak w klejnotach. W ciągu następnych godzin Pawliczenko kilkakrotnie dostrzegała ruch, ale nigdy celu. Wiedziała, że chodzi o nakłonienie jej do zmiany położenia lufy karabinu albo przechylenia zamaskowanej głowy, do minimalnych ruchów, które może zauważyć tylko wprawione oko. Człowiek po drugiej stronie znał się na swoim fachu. Rozsądny snajper w takich warunkach mógłby się wycofać, aby spróbować następnego dnia. Ale nie Pawliczenko. Nie opuściła swojego miejsca nie tylko z powodu dumy, choć ta zapewne nie była bez znaczenia, ale także dlatego, że jej znakomity przeciwnik bez wątpienia zabił wielu jej towarzyszy i będzie zabijał dalej, jeśli ona go nie powstrzyma.

Gdzieś z boku pola widzenia uchwyciła podejrzane przesunięcie się cienia i w tym samym momencie dojrzała błysk lufy. Trzask wrogiego karabinu dalekiego zasięgu odbił się od odległej linii wzgórz. Kamień przy głowie Ukrainki zmienił się w fontannę ostrych kawałków.

Kolejny strzał znów minął jej głowę o kilka centymetrów. Wyczołgała się z ukrycia i, nisko schylona, ukryta za zboczem wzgórza, wspięła się na kamieniste wzniesienie. Tu schowała się w ciernistych zaroślach oplatających stare drzewa. Z tego miejsca mogła zobaczyć nizinę pomiędzy sobą a linią wzgórz, w których krył się śmiertelny wróg.

Nie poruszała się. Jej wzrok badawczo skanował teren. Leżała, znosząc zimno, stres, głód i pragnienie i czekając na Niemca – a on czekał na nią. Jak w partii pokera o wysoką stawkę, kiedy każdy czeka na mrugnięcie przeciwnika.

Trwało to całe popołudnie. W międzyczasie nadciągnęły chmury i zaczął sypać śnieg. Pawliczenko wiedziała, że nie chybi, jeśli zobaczy przeciwnika. Grali w cierpliwość połączoną z dokładnością.

Zza horyzontu doszedł grzmot artylerii. Obok przemknęły ptaki i małe zwierzęta.

W końcu cierpliwość Niemca okazała się mniejsza. Pod wpływem ciekawości popełnił błąd, podnosząc głowę, aby się lepiej rozejrzeć. Celownik Pawliczenko zatrzymał się na jego czole. Wydawało się, że patrzy wprost na nią, kiedy przesuwała palec po spuście. To był jej pierwszy strzał w tym pojedynku. Kolejny nie był potrzebny.

Później rosyjski patrol potwierdził, że zabity był znakomitym snajperem, którego rejestr liczył ponad 400 alianckich żołnierzy zabitych pod Dunkierką.

* * *

W czasie określanym przez Niemców jako „zimowy kryzys” Pawliczenko i jej partner Kicenko nadal wywoływali chaos wśród wroga. Głodni, zmarznięci i cierpiący na skutek starych i nowych ran, walczyli w śniegu. Wiosną 1942 roku Ludmiła była już weteranem, służącym jako frontowy snajper w pobliżu obleganego Inkermanu. Opiekowała się nowicjuszami i uczyła ich tajników sztuki snajperskiej. Mniej więcej w tym samym czasie, prawdopodobnie w maju 1942 roku, zginął starszy sierżant Leonid Kicenko, prawdopodobnie z ręki niemieckiego snajpera lub od odłamka. Wprawdzie niewiele wiadomo o związku Ludmiły i Leonida, jednak przypuszczalnie byli małżeństwem. Odnotowano, wprawdzie pobieżnie i bez nazwiska, że „mąż Pawliczenko, także służący w Armii Czerwonej, zginął w czasie oblężenia [Sewastopola]”.

Inni snajperzy zauważyli, że po śmierci Kicenki Ludmiła była bardzo rozgoryczona. Jej gniew stał się jeszcze większy. Pod koniec maja dowództwo armii południowej wymieniło jej nazwisko w związku z zabiciem 257 Niemców. W czasie spotkania ze swoim oddziałem snajperskim zobowiązała się do podniesienia wyniku do 300 w ciągu następnych kilku dni i dotrzymała słowa.

Od 2 do 6 czerwca 1942 roku Luftwaffe zrzuciła 570 ton bomb na oblegane ruiny Sewastopola i na zatokę. Przygotowując się do ostatecznego ataku, ciężka artyleria, korzystająca z największych spośród kiedykolwiek zbudowanych dział, takich jak superciężki moździerz 60-centymetrowy Karl i 80-milimetrowe działo kolejowe Gustaw, oddała 42 595 wystrzałów, co odpowiada 2449 tonom pocisków. Dnia 7 czerwca Niemcy zaatakowali i przerwali pierścienie obrony zewnętrznej wokół miasta, zajmując większość północnego wybrzeża zatoki. Wprawdzie na tyłach i na flankach twardo trzymały się

sowieckie punkty oporu, jednak nie było żadnych złudzeń co do dalszego przebiegu oblężenia. Walka zbliżała się do końca.

W piekle ognia Pawliczenko została raniona pociskiem odłamkowym. Niezdolna do kontynuowania swojej wendety, została przeniesiona do fabryki szampana nad zatoką Siewiernaja, zamienionej w skład amunicji i szpital polowy. Od tej pory nie uczestniczyła już w walce. Została ewakuowana okrętem podwodnym w nocy, zanim 1 lipca Niemcy weszli do miasta. Dokonania wojenne Pawliczenko to 309 zabitych, w tym ponad 200 oficerów i 36 snajperów wroga. Ponieważ często działała sama, a każdy zabity musiał uzyskać niezależne potwierdzenie, rzeczywista liczba mogła wynosić około 500. Dla porównania, kolejny sławny snajper rosyjski, Wasilij Zajcew, zabił podczas bitwy pod Stalingradem 225 Niemców.

Mimo że Niemcy ogłosili zdobycie Sewastopola 4 lipca 1942 roku, zniszczenie wszystkich punktów oporu zajęło im jeszcze 27 dni. Straty rosyjskie wyniosły 18 000 zabitych i rannych oraz 95 000 jeńców. Zaledwie 25 157 osób udało się ewakuować. Straty po stronie niemieckiej to 24 000 zabitych i rannych, po rumuńskiej 1597 zabitych i 6571 rannych. Następnie 25. Dywizja Strzelecka Ludmiły Pawliczenko została uznana za nieprzydatną do walki i rozformowana, jej sztandary zatopiono w Morzu Czarnym, a pozostałych żołnierzy wcielono do innych oddziałów.

* * *

Ludmiła Pawliczenko, ze względu na swą sławę, została pod koniec 1942 roku wysłana do Stanów Zjednoczonych i Kanady, aby uzyskać wsparcie dla wojny. Wygłosiła przemówienia w 43 amerykańskich miastach i była

pierwszym sowieckim obywatelem przyjmowanym w Białym Domu na obiedzie u prezydenta Franklina Roosevelta i Pierwszej Damy Eleonory Roosevelt. Sławni z całego kontynentu stali w kolejce do zdjęcia z Pawliczenko. Muzyk folkowy Woody Guthrie nagrał piosenkę poświęconą „Miss Pawliczenko". Została też uwieczniona w komiksie *War Heroes* w 1943 roku. Wraz z Laurence'em Olivierem zagrała w filmie dokumentalnym *Czarnomorcy*. Aktor Charlie Chaplin z galanterią całował każdy jej palec, mówiąc: „To niezwykłe, że ta mała, delikatna dłoń zabiła setki nazistów".

W wywiadzie dla tygodnika *Time* (z 28 września 1942 roku) subtelnie wyśmiewała Amerykanki i amerykańskie media:

> Zaskoczyły mnie pytania zadawane przez korespondentki prasowe w Waszyngtonie. Czy one nie wiedzą, że jest wojna? Zadawały mi pytania, czy używam pudru i różu, maluję paznokcie i kręcę włosy. Jedna z reporterek skrytykowała długość spódnicy w moim mundurze, stwierdzając, że Amerykanki noszą krótsze, a poza tym w mundurze wyglądam grubo.

„Najgroźniejsza kobieta świata" do końca wojny była instruktorem szkoły strzelców wyborowych niedaleko Moskwy. Nadano jej następujące odznaczenia: Order Lenina ze Złotą Gwiazdą, Medal za Odwagę, nagrody dla snajperów mających ponad 40 trafień i wreszcie tytuł Bohatera Związku Radzieckiego – najwyższe sowieckie odznaczenie. Spośród 11 635 tytułów Bohatera Związku Radzieckiego zaledwie 92 przyznano kobietom, przy czym 50 otrzymało je pośmiertnie.

Pawliczenko zakończyła karierę wojskową w 1945 roku w stopniu majora i wróciła na Uniwersytet Kijowski, aby

kontynuować studia podyplomowe. Na jej cześć wydano w Zwiazku Sowieckim dwa znaczki pocztowe, a jej imieniem nazwano statek Ministerstwa Rybołówstwa. Przez resztę życia pracowała jako historyk dla dowództwa Marynarki Wojennej; brała też udział w programach dla weteranów.

Przystrojona medalami Ludmiła Pawliczenko, po wojnie. Wśród jej odznaczeń jest odznaka Bohatera Związku Sowieckiego – najwyższe wyróżnienie, jakie mógł otrzymać sowiecki obywatel. Spośród 11 635 osób, które otrzymały tę odznakę w czasie wojny, 92 to kobiety. Zaledwie 42 z nich przeżyły wojnę.

W 1943 roku ponownie wyszła za mąż i urodziła syna. Zarówno syn, jak i mąż pozostali w jej cieniu. Praktycznie brak o nich wzmianek. Ludmiła rzadko mówiła publicznie o swojej snajperskiej karierze. Opublikowała w czasopismach kilka artykułów dotyczących roli jej dywizji w obronie Sewastopola, ale oprócz niewielkiego fragmentu w rosyjskiej książce (wydanej po jej śmierci), niewiele napisała o swoich działaniach. Jeden z jej niewielu zarejestrowanych komentarzy powstał po wizycie w Londynie w 1968 roku. Reporter zapytał ją o odczucia związane z Sewastopolem.

Odpowiedziała, że zabijała bez wahania, a później nie pojawiał się nawet cień żalu. „Gdybyś szedł drogą z dzieckiem i zobaczył węża, co byś zrobił?”.

Pawliczenko zmarła z przyczyn naturalnych 27 października 1974 roku w wieku 58 lat. Została pochowana na Cmentarzu Nowodziewiczym w Moskwie. Jej imię nosi jedna z ulic w Sewastopolu, niedaleko miejsca śmierci starszego sierżanta Leonida Kicenki.

Źródła

Ian Baxter, *Hitler’s Defeat on The Eastern Front* (Pen & Sword, 2009)

Kazimiera J. Cottam, *Women in War and Resistance* (Focus Publishing, 1998)

N. Krylov, *Glory Eternal: Defence of Odessa*, 1942 (Moskwa, 1972)

L. Ozerov, „The Girl with the Rifle”, w *Soviet Women in the War Against Hitlerism* (Moskwa, 1942)

L. M. Pavlichenko, „I was a Sniper”, w: I. M. Danishevskiy, *The Road of Battle and Glory* (Moskwa, 1977)

The World at War 1939–45 (Reader’s Digest Books, 1998)

Russia Besieged, The Soviet Juggernaut (Time/Life Books, seria *The Second World War*, 1980)
Magazyn *Time* (28 września 1942)
Wapedia, „Wikki: Snipers of The Soviet Union” (Wapedia. Mobi/en/Soviet_sniper – dostęp 13 sierpnia 2010)
Wikipedia, „Lyudmila Pavlichenko” (www.wikipedia.org – dostęp 27 lipca 2010)

Rozdział 3

BERT KEMP
Żołnierz z przymusu i jego śmiercionośny talent

Bert Wilson Kemp był dość typowym produktem czasu i miejsca, w których przyszedł na świat – a była to rodzinna farma w zachodniej części stanu Tennessee na początku XX wieku. Stał się jednak kimś o wiele większym, ponieważ urodził się z niebywałym talentem do precyzyjnego, niemal nadnaturalnego posługiwania się bronią. Jego zdolności dotyczyły w zasadzie wszystkich rodzajów broni: procy, łuku i strzał, pistoletu i karabinu. Bez względu na to, jaka kombinacja genów tworzy strzelca wyborowego, Bert Kemp należał do tego niewielkiego jednego procenta populacji ludzkiej, który ją ma. Jego mózg, wyposażony w specjalne obwody elektrochemiczne, niemal cybernetyczne programy, naturalnie i błyskawicznie obliczał odległość, trajektorię, ruch, wiatr i czas, wyznaczając wzrokowy obraz i punkt docelowy oraz wysyłając ścieżkami neuronów precyzyjny impuls, który w idealnym momencie uruchamiał mięśnie w palcu naciskającym spust.

Także wzrok i orientacja przestrzenna Berta były nadzwyczajne. Ten talent dawał mu dodatkowe możliwości, ponieważ podczas polowania zwykle zauważał zwierzę, zanim ono zauważyło jego. Także później, na wojnie, podczas zwiadu lub tropienia jakiegoś Niemca, Bert widział swój cel, zanim sam został zauważony. Jego cioteczny wnuk, Odie Kemp, który był później podopiecznym i towarzyszem polowań Berta, mówił o tym zwięźle i obrazowo: „Miał sokoli wzrok”.

Połączcie te zdolności i konieczność zdobycia pożywienia dla rodziny w latach poprzedzających wielki kryzys i samego wielkiego kryzysu na wiejskich obszarach stanu Tennessee, a otrzymacie rzadki wynik, którym jest Bert Kemp.

Bert urodził się w 1919 roku na odludnej farmie w okręgu Weakley w stanie Tennessee jako syn Whita Allena Kempa i Ludie Jean Nichols Kemp. Najbliższą osadą była wieś Cottage Grove, oddalona mniej więcej o sześć kilometrów, leżąca w sąsiednim okręgu Henry. Bert był przedostatnim z sześciorga dzieci, z których jedynie trójka osiągnęła wiek dorosły – co dla ówczesnej wiejskiej rodziny było raczej typowe. Kiedy Bert miał sześć lat, jego matka zmarła na gruźlicę. Ojciec nie ożenił się ponownie. Chłopiec dorastał na farmie, na której przyszedł na świat, wcześnie dowiadując się, że przetrwanie wymaga ciężkiej pracy, oszczędności i polegania na samym sobie. Podobnie jak inne dzieci, Bert przez cały rok ciężko pracował na farmie. Jednak jesienią i zimą przychodził czas na polowania, które stały się jego pasją i wyznaczyły przyszły kierunek jego życia.

Bert Kemp jako mały chłopiec, z siostrą Gertie na koniu.

Polowanie na pożywienie (i dla pieniędzy)

Tak jak na wielu odległych farmach w tych trudnych czasach, rodzina miała niewiele pieniędzy, a jeśli coś było potrzebne do pracy, należało to zrobić samodzielnie lub radzić sobie bez tego. W tej sytuacji proca, niewymagająca pieniędzy ani specjalnych materiałów, stała się w naturalny sposób pierwszą bronią Berta. Później zabrał procę na wojnę i też dobrze mu służyła. Nawet wiele lat później, już po wojnie, nie stracił sympatii do proc i zawsze miał jakąś przy sobie. W rodzinie krążyło powiedzenie: „Jeśli Bert ma na sobie spodnie, ma też procę”.

Głównym źródłem zaopatrzenia w mięso w tej rodzinie było polowanie. Jelenie stanowiły rzadkość, polowało się głównie na króliki i wiewiórki. Bert dorastał w lesie i w naturalny sposób uczył się poruszać po nim bez śladu i bezszelestnie. Szybko opanował umiejętność zabijania za pomocą procy wiewiórek na drzewach i biegnących królików. W tych okolicznościach mógł oddać tylko jeden strzał, a jeśli ten jedyny miał być śmiertelny, musiał to być strzał w głowę. Choć wtedy Bert jeszcze tego nie wiedział, to także miało swój wkład w wydarzenia z 1942 roku.

W wieku 9 lat Bert dostał swój pierwszy jednostrzałowy, powtarzalny karabin kalibru .22 (0,22 cala), co całkowicie odmieniło jego życie. Zabijał wiewiórki i króliki w coraz większych ilościach, a nadmiar sprzedawał panu Millerowi, właścicielowi miejscowego sklepu. Inni chłopcy z okolicy robili to samo, ale używali śrutówek lub strzelali z karabinu w ciało zwierzęcia. Bert zarabiał więcej na polowaniu, ponieważ strzelał w głowę i mięso nie było uszkodzone. Za zarobione pieniądze kupował więcej amunicji kalibru .22, żeby zabijać jeszcze więcej wiewiórek i królików. Jeśli jakieś pieniądze mu zostawały, oddawał je ojcu dla rodziny. Każde zakupione pudełko zawierające 50 sztuk amunicji sprawiało, że wrodzony talent Berta do trafiania małych celów w trudnych sytuacjach jeszcze bardziej się rozwijał. „Kiedy byłem chłopcem dorastającym w okolicy Cottage Grove, polowałem niemal cały czas – powiedział Bert po wojnie reporterowi miejscowej gazety. – Był kryzys, ciężkie czasy i trzeba było nauczyć się strzelać, żeby mieć co jeść”.

Kolejnym talentem Berta był baseball – był do niego stworzony. Mógł grać na każdej pozycji, wyrzucał naturalnie podkręcone piłki, ale ponieważ musiał pomagać na farmie, szybko zakończył naukę w szkole i treningi baseballu. Kiedy tylko mógł oderwać się od obowiązków,

chodził do szkoły w czasie przerwy i grał z chłopcami w baseball. Ale i to szybko się skończyło.

Zamiłowanie do baseballu nigdy go nie opuściło. Znacznie później patrzył, jak grają jego dzieci i wnuki, i cicho podpowiadał im rzeczy, których prawdopodobnie nie wiedzieli nawet ich trenerzy.

Umiejętność dostrzegania szczegółów

Bert dorastał w czasie wielkiego kryzysu, więc jego umiejętności życia w lesie i zdolności strzeleckie coraz bardziej się doskonaliły. Ojciec nauczył go trafiać ofiary bez wychodzenia z ukrycia. Jeśli przyjrzeć się temu dokładniej, nauczył go zauważać szczegóły, coś, czego nie powinno być w danym miejscu – mogło to być ucho, noga lub inna część ciała zwierzęcia, niedostatecznie ukryta. Jeśli w lesie było cicho, czasem można było usłyszeć kroki jelenia, nawet gdy był niewidoczny. Niekiedy dało się nawet wyczuć jego zapach.

Mała „firma łowiecka" Berta działała. Zabijał wiewiórki i króliki, sprzedawał mięso i kupował jeszcze więcej nabojów w takim tempie, że do końca lat 30, zanim trafił do wojska, wystrzeliwał do małych, odległych i szybko poruszających się celów 500 pocisków tygodniowo.

W jego życiu, zasadniczo poważnym, jeśli nie ponurym, zawsze był czas na zabawę. Któregoś dnia, kiedy jego ciotka Bertha zbierała jajka, znalazła jedno o nadzwyczajnej wielkości, co stało się tematem rozmowy. Bert pokazał jej pięciocentówkę (która stanowiła wówczas dużą wartość) i założył się z nią, że jeśli rzuci jajko wysoko w górę, on trafi je ze swojego karabinu kalibru .22, zanim spadnie z powrotem w jej ręce. Jeśli jednak nie trafi, da jej pięć centów. Ciotka Bertha miała poczucie humoru, więc wyrzuciła jajko wysoko nad głowę. Bert z łatwością trafił

w środek jajka, kiedy było w górze, ale ciotka popełniła mały błąd dotyczący trajektorii: jajko znalazło się w linii prostej nad jej głową, więc kiedy mały pocisk Berta w nie trafił, zawartość spadła wprost na głowę ciotki. Zrugała Berta ostro, ale on niewiele słyszał, bo leżał na ziemi i tarzał się ze śmiechu. Nie stracił pięciu centów.

Bert umiał bawić się strzelaniem i jako chłopiec często to robił. Jego bratanek Odie (syn i imiennik najstarszego brata Berta), zaledwie o 11 lat młodszy od wuja, miał piłkę baseballową, z której był bardzo dumny. Bert kazał mu przejść na drugą stronę domu, gdzie byłby bezpieczny, a Bert nie mógłby widzieć, co robi. Polecił Odiemu rzucić piłkę z dowolnego miejsca i w dowolnym kierunku i założył się, że trafi w nią ze swojego karabinu. Odie zrobił, co mu polecił, a Bert trafił w piłkę. Odie rzucił piłkę ponownie, z innego miejsca i pod innym kątem, a Bert znów ją trafił. Powtórzyli to wiele razy. Bert był skupiony na trafianiu w piłkę, a mały Odie nie zauważył, dopóki nie było za późno, że wujek roztrzaskał jego piłkę w drobny mak. Chłopiec nie był pewny, czy powinien się śmiać czy płakać, jednak w końcu zaczął się śmiać razem z Bertem i tak powstała rodzinna legenda.

Któregoś lata trzej synowie Kempów postanowili zrobić trochę wina – tylko po to, żeby sprzeciwić się zasadom ojca i prawu czasów prohibicji. Potajemne zrobienie wina w tamtych czasach było w tej okolicy niezwykle proste: wszędzie pełno było soku owocowego, dzikich drożdży wytwarzanych przez skórki owoców i kryjówek na polach i w lasach. Odie, Chesley i Bert zebrali w lesie dzikie winogrona, wycisnęli z nich sok, zostawili w otwartym naczyniu na parę dni, aby umożliwić połączenie z dzikimi drożdżami z powietrza, a następnie przykryli, żeby przeprowadzić fermentację. Ale winiarze amatorzy popełnili

dwa błędy: postanowili ukryć butelki w piwnicy i za szybko je zakorkowali. Fermentacja nie była zakończona, a ciepłe letnie noce przyspieszyły proces. Dwutlenek węgla powstający podczas fermentacji gromadził się, aż korki nie wytrzymały ciśnienia. Zaczęły strzelać, głośno uderzając od dołu w podłogę, co obudziło ojca. Oczywiście skończyło się to utratą wina i laniem, ale rodzina zyskała kolejną ciekawą opowieść.

Zew świata

Do roku 1940, kiedy Bert skończył 21 lat, sława wiejskiego chłopaka z zapadłej wsi w Tennessee bez użycia reklam sięgnęła ze świata wieśniaków i szachów w sklepie Millera oraz cienistych, brudnych ulic Cottage Grove aż do przedsiębiorstwa Remington Arms Company w odległym stanie Nowy Jork. Z Remingtona wysłano pracownika, aby odnalazł fenomenalnego Berta i zaoferował mu dobrą pracę strzelca na pokazach. Dałoby mu to nie tylko więcej pieniędzy, niż mógł zamarzyć, ale także sławę w świecie broni i myśliwych. Ale Bert był cichy i skromny. Jego świat stanowiła rodzinna farma, znajome wzgórza, doliny i lasy, kaplica Johnsona, ich mały kościół metodystów i wieś Cottage Grove. Pomysł podróży do dziwnych miejsc i występowania przed dziwnymi ludźmi nie wydawał mu się szczególnie pociągający. Poza tym jego o 13 lat starszy brat Odie ożenił się już i wyjechał z domu. Drugi brat, Chesley, powoli umierał na gruźlicę, więc Bert był potrzebny na farmie. Dlatego odrzucił ofertę Remingtona i został w domu.

Nie na długo jednak.

Wojna dociera do Weakley

Kiedy 7 grudnia 1941 roku Japończycy niespodziewanie zaatakowali Pearl Harbor, Filipiny i inne miejsca w rejonie

Pacyfiku, Stany Zjednoczone włączyły się do wojny. Miesiąc później, w styczniu roku 1942, wojna wkroczyła do okręgu Weakley. Podobnie jak sierżant Alvin York w czasie pierwszej wojny światowej, inny wiejski chłopak ze wzgórz Tennessee, który stał się żołnierzem z przymusu, Bert Kemp został powołany do służby wojskowej. Obaj mieszkańcy Tennessee byli obdarzeni niezwykłym talentem strzeleckim. Bert, podobnie jak sierżant York, ze względu na religijne wychowanie i delikatną naturę nie palił się do zabijania. W odróżnieniu od sierżanta Yorka, Bert wziął do niewoli niewielu żołnierzy niemieckich, ale jeśli chodzi o ich zabijanie, sierżant Kemp zdecydowanie prześcignął swojego poprzednika z Tennessee.

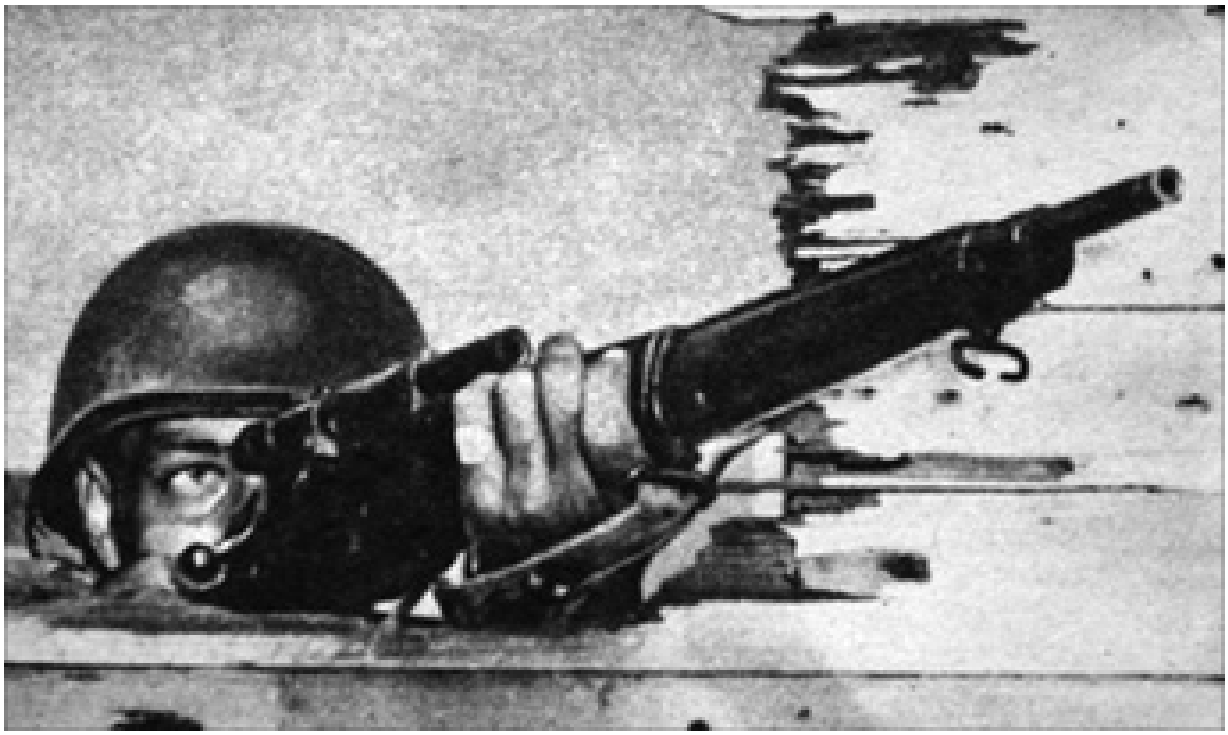

Amerykański snajper na zdjęciu reklamowym, z karabinem snajperskim Springfield, model 1903-A4.

Mało jednak brakowało, a by do tego wszystkiego nie doszło. W czasie poboru Bert nie przeszedł pomyślnie badania lekarskiego. Ale jeden z prowadzących badania

lekarzy znał go i jego rodzinę i wiedział o talencie Berta do broni. Zbadano go więc powtórnie i tym razem nie było problemów. Dnia 18 stycznia 1942 roku Bert Kemp został szeregowym Bertem W. Kempem, numer 34 185 517, armia Stanów Zjednoczonych.

„Zabierzcie tego człowieka ze strzelnicy!”

Problemem zdrowotnym „przeoczonym” podczas badania poborowych była przepuklina. Krótko po rozpoczęciu szkolenia podstawowego Bert przeszedł operację, w związku z czym ominął szkolenie strzeleckie. Po odbyciu szkolenia podstawowego został wcielony do 1. Dywizji Piechoty w Camp Blanding w stanie Floryda. Na szkoleniu strzeleckim przygotowującej się do walki dywizji oficer zauważył, że Bert rozwalił środek tarczy na strzępy, umieszczając pociski tak blisko siebie, że nie dało się policzyć poszczególnych trafień. „Zabierzcie tego człowieka ze strzelnicy – powiedział oficer – i dajcie tu kogoś, kto potrzebuje tu być”. Do władz wojskowych zaczęły docierać raporty o nadzwyczajnych umiejętnościach Berta, umiejętnościach, które miały spowodować, że ten delikatny, grzeczny chłopak ze wsi w Tennessee stanie się nieprawdopodobnie skuteczną maszyną do zabijania.

W oddziale Berta jeden z żołnierzy zdał sobie sprawę z jego możliwości i dzięki temu na chwilę stał się bogaty. Bez wiedzy Berta zakładał się o jego trafienia w małe cele, a nie było możliwości, żeby przegrał. Bert dowiedział się jednak o tym procederze i go przerwał. Zdecydowanie sprzeciwiał się hazardowi, a szczególnie gdy ofiara nie miała szans na wygraną.

Niepotrzebny celownik

Na transportowcu, którym płynął do Anglii, Bert uznał, że trzeba poprawić celowniki w jego karabinie M1 Garand. Był

przyzwyczajony do otwartych przyrządów celowniczych, a mały, okrągły celownik ze szczerbinką z tyłu lufy przeszkadzał mu. Wydawało się, że ogranicza zakres widzenia peryferyjnego. Bert nie lubił go i wiedział, że bez niego będzie lepiej strzelał. Celownik musiał zniknąć. Bert, nieświadomy wojskowych realiów, zszedł pod pokład do okrętowego warsztatu, skąd pożyczył pilnik. Następnie wrócił na odkryty pokład, usiadł i odpiłował celownik.

Wszystko było w porządku, dopóki nie zauważył tego oficer. Wpatrywał się z niedowierzaniem w puste miejsce po celowniku, przez chwilę nie mogąc pojąć, co Bert zrobił z rządową własnością. Po chwili wybuchnął, z braku szubienicy grożąc wszystkimi możliwymi karami. Kiedy wreszcie się uspokoił, spytał Berta o powód wyrządzenia tej potworności dziełu pana Garanda. Bert odpowiedział prosto i uczciwie: „Przeszkadzał mi”. To spowodowało kolejny wybuch i oficer obiecał Bertowi, że po dotarciu do celu podejmie kroki dyscyplinarne. Postawiono mu zarzuty i po przybyciu do Dorset w Anglii 7 sierpnia 1942 roku nadano bieg sprawie. Zarzuty były poważne, ale zanim cokolwiek się wydarzyło, jeden ze starszych oficerów, który słyszał o niesamowitych zdolnościach Berta, powiedział: „Dajcie mu spokój. Pokazał, że wie, co robi”. Zarzuty oddalono.

Po trzech miesiącach szkolenia w Anglii 1. Dywizja została przerzucona drogą morską do Oranu w Algierii, gdzie dotarła 8 listopada 1942 roku. Po krótkiej obronie siły francuskiego rządu Vichy poddały się, ale dalsze działania nie szły już tak łatwo. Zaczęły się ciężkie, okrutne walki z wojskami niemieckimi i włoskimi dowodzonymi przez Erwina Rommla w takich miejscach jak Maksar, Tebourba, Medjez el Bab, Kafsa, El Guettar, Badża i Matir. Na przełęczy Kasserine ponieśli krwawą klęskę. Walczyli w Afryce Północnej do maja 1943 roku. Potem była Sycylia.

Pierwszy zabity Berta

Czasem Bert walczył ze swoją kompanią strzelecką (Kompania L, 3 Batalion, 26 Pułk Piechoty) jako snajper-zwiadowca, wysyłany na wysunięte pozycje, z których mógł obserwować rozmieszczenie sił wroga, zdobywać informacje wywiadowcze i zabijać wybrane cele (zwykle oficerów) z dużej odległości. Podczas jednej z takich misji w Afryce Północnej zaliczył swoje pierwsze trafienie. Zauważył żołnierza niemieckiego w punkcie obserwacyjnym i wprawdzie miał czyste pole strzału, ale nie mógł się zdobyć na naciśnięcie spustu. Wreszcie Niemiec zauważył Berta i strzelił, ale chybił. Strzelił ponownie i znów chybił. Niemiec strzelał ośmiokrotnie, za każdym razem podchodząc bliżej. Kiedy ósmy pocisk zasypał pyłem twarz Berta, ten nacisnął spust i strzelił raz. Wystarczyło. Bertowi niełatwo było przełamać głęboko zakorzenioną niechęć do zabijania ludzi.

Czasami działał jako odległy zwiadowca, wysuwając się daleko przed idący do przodu oddział i szukając możliwości prowadzenia obserwacji bez ujawniania się. Zdarzyło się tak, kiedy jego pułk próbował zdobyć pięciokilometrową przełęcz Kasserine, w której Amerykanie ponieśli wielką klęskę w starciu z wojskami Erwina Rommla. Bitwa kosztowała wiele ludzkich istnień i karier. Była to w zasadzie seria bitew, w których nieodpowiednie amerykańskie dowodzenie i kiepskie wyszkolenie doprowadziły do katastrofy. Z jednego ze zboczy, wychodzącego na przełęcz, Bert, dzięki swojemu wzrokowi i zdrowemu rozsądkowi, dostrzegł, w co pakuje się jego oddział, porozumiał się więc przez radio z dowódcami, aby ich ostrzec. Dowodzący oficer stwierdził, że nie zamierza zmieniać planu bitwy na podstawie opinii niskiego stopniem rekruta. Powiedział, że dowództwo wie, co robi. Ale nie

wiedziało. A Bert mógł tylko patrzeć i rozpaczać, kiedy miażdżyły ich siły Rommla.

Tej zimy w górach Afryki Północnej było mroźno, co w pewnym momencie okazało się dla Berta zbawieniem. Zaskoczony przez kolumnę Niemców nadchodzącą z nieoczekiwanego kierunku, nie miał szans na ucieczkę ani miejsca, w którym mógłby się ukryć. W desperacji zakopał się w zaspie śnieżnej i leżał nieruchomo, co wiele razy robił dla zabawy w dzieciństwie. Niemcy przeszli tak blisko, że słyszał ich rozmowy i kaszel. Kiedy był pewny, że odeszli, ostrożnie wydobył się ze śniegu i rozejrzał. Przeszli, był teraz za nimi, a oni nie zatroszczyli się o własne bezpieczeństwo. Łatwo mógł kilku zabić, ale był zadowolony, że może po prostu odejść i kontynuować patrol. Wspominając ten dzień, mówił, że leżenie pod śniegiem nie było takie straszne. „Jeśli jest się pod śniegiem wystarczająco długo, robi się ciepło”.

Rów, czołg i mnóstwo Niemców

Pewnego dnia Bert samotnie, znacznie wysunięty przed swój oddział, ukrył się w rowie. Gdy obserwował zgrupowanie oddziałów niemieckich, został zauważony. Niemiecka piechota otworzyła ogień i zaatakowała rów. Nie mając dokąd uciekać i widząc zbliżających się Niemców, Bert postanowił drogo sprzedać swoje życie. Aby załadować ponownie broń, wpychał nowy magazynek do swojego M1 jedną ręką, drugą strzelając z pistoletu, po to, by po chwili wznowić śmiertelny ogień karabinowy. Ponieważ preferował strzały w głowę, jeśli Niemiec padał, już nie wstawał. Przed rowem zginęło tylu Niemców, że nie mogli uwierzyć, iż walczyli z jednym człowiekiem. Wezwali czołg. Bert wiedział, że w walce z czołgiem nie ma szans, więc kiedy wielka maszyna ruszyła w jego stronę, zaczął biec rowem

w kierunku lasu. Niemiecka piechota była tuż przy krawędzi rowu, ale za każdym razem, kiedy nad szańcem pojawiała się głowa, Bert strzelał w biegu i głowa znikała. Przypadkowo w pojedynkę dokonał czegoś, co można nazwać niewyobrażalną rzezią znaczącego oddziału.

Od końca rowu było jeszcze 50 metrów do pierwszej możliwej kryjówki. Bert rzucił się do przodu i popędził w kierunku lasu. Pociski z karabinu maszynowego z czołgu rozpryskiwały błoto pod nogami uciekiniera, a on przebiegł dopiero połowę odległości. Pomyślał, że już po nim, kiedy nagle z tyłu pojawił się myśliwiec P-38 lecący tuż nad drzewami i kierujący się wprost na czołg. Bert nigdy nie widział samolotu lecącego tak nisko, że, jak mówił, prawie zdarł mu czapkę z głowy. P-38 rozprawił się z czołgiem, po czym zajął się odsłoniętą niemiecką piechotą. Bert, nie odwracając się, dotarł do lasu nietknięty. Lufa jego karabinu była nadal tak gorąca, że kiedy zapadła noc i osadziła się rosa, proces utleniania się zintensyfikował i do rana lufa zardzewiała. Następnego dnia oddział przenosił się w inne miejsce, a Bert prowadził zwiad przed jego czołem. Kiedy dotarli do rowu, znaleźli przed nim tylu martwych Niemców, że ich ciała przykrywały ziemię. Wspominał później: „Mogliśmy przejść 40 jardów (około 37 metrów – *przyp. tłum.*), nie stawiając stopy na ziemi”.

Niedługo Bert znalazł towarzysza-snajpera i przestał działać samotnie.

Partner-snajper i przyjaciel na całe życie

Bert został awansowany na starszego szeregowego, a następnie na kaprala. Podczas ataku na utrzymywane przez wrogów wzgórze znalazł człowieka, który został jego partnerem i najlepszym przyjacielem.

Wzgórze zostało ostrzelane przez artylerię i moździerze, po czym do ataku ruszyły plutony szturmowe. Straty w ludziach były ciężkie, a atakujący zostali kilkakrotnie odrzuceni. Wreszcie, przy ostatniej próbie zdobycia wzgórza, kapral Kemp okazał się najstarszy stopniem wśród pozostałych przy życiu i objął dowodzenie. Rzucając granatami, dotarł na szczyt i przypadł do ziemi. Wiedząc, że musi natychmiast przygotować obronę przed niemieckim kontratakiem, rozejrzał się, żeby ocenić, ilu ludzi jest razem z nim. Był tylko jeden – Wesley Holly z Missisipi; pozostali albo zginęli, albo zatrzymali się przed grzbietem i zawrócili. Bert i Wesley czekali na szczycie wzgórza na posiłki i wtedy narodziła się ich przyjaźń, którą zakończyła dopiero śmierć Wesleya 45 lat później. W następnych miesiącach walk ci dwaj byli nierozłączni i nie raz ratowali sobie nawzajem życie.

Dzisiejsza idea zespołu snajperskiego, z wyznaczonym strzelcem i obserwatorem z lunetą, nie była jeszcze dopracowana podczas kampanii w Afryce Północnej i na Sycylii w 1943 roku. Zespół Berta i Wesleya był wynikiem raczej ich pomysłu i konieczności niż ustanowionej doktryny. Wiedzieli, że muszą sobie wzajemnie ufać i poznać się tak dobrze, żeby porozumiewać się bez słów.

Tak jak Bert, Wesley również dorastał na odludnej farmie – w okręgu Noxubee w stanie Missisipi. Polował w lesie, aby nakarmić rodzinę. Całkiem naturalnie Wesley, podobnie jak Bert, wypracował umiejętności i cierpliwość niezbędne do skutecznego działania i przetrwania snajpera. W tym sensie stanowili dobraną parę.

Przyjaciel i partner Berta Kempa, kapral Wesley Holly w Afryce Północnej, rok 1943.

Po klęsce na przełęczy Kasserine zmieniono wielu dowódców i pospiesznie przepracowano taktykę, aby dopasować ją do terenu, taktyki wroga i warunków. Trzeba uczciwie powiedzieć, że kiedy dywizja Berta wylądowała w Afryce Północnej, nie istniała gotowa doktryna dotycząca użycia snajperów. Uważano ich za „zwiadowców-snajperów” i wykorzystywano, kiedy uznano to za konieczne, do różnych działań – ale dotyczące ich zasady i szkolenie, jakie dziś znamy, były jeszcze odległą

przyszłością. Podczas pierwszej wojny światowej snajperstwo rozwinęło się znacznie w latach wojny pozycyjnej, ale po zakończeniu konfliktu poszło w niepamięć. W czasie drugiej wojny światowej taka sama sytuacja miała miejsce w działaniach statycznych, takich jak bitwa pod Stalingradem, ale podczas walk z szybkimi ruchami wojsk w Afryce Północnej i na Sycylii działania snajperów były w znacznym stopniu improwizowane. Bert i Wesley opracowywali swoją koncepcję na bieżąco. Tylko łaska Boga i ich doświadczenia wynikające z dorastania w lasach Tennessee i Missisipi uchroniły ich od śmierci na początku rozgrywki. Nie dysponowali lunetą obserwacyjną ani celownikami teleskopowymi. Mieli tylko świetny wzrok, umiejętność dostosowywania się do warunków zewnętrznych i zdolności strzeleckie.

Bert i Wesley nie poddają się

Berta i Wesleya uważano za najlepszych pod względem liczby trafień, dlatego obaj byli głęboko przekonani, że nie mogą dać się wziąć do niewoli, ponieważ w takim wypadku – jak słyszeli – Niemcy będą ich torturować, po czym zabiją. Niekoniecznie była to prawda, ale ponieważ tak słyszeli – wierzyli w to.

Często znajdowali się na przedzie atakujących oddziałów, na ukrytych stanowiskach, z których mogli przez kilka dni obserwować działania wroga. Z tych pozycji mogli też strzelać do wybranych celów. Kiedyś podczas przygotowań do wycofania oddziału powiedziano im, że dołączy do nich trzeci. Do kompanii doszedł nowy porucznik, którego przydzielono do Berta i Wesleya, aby nabrał trochę doświadczenia. Patrol nie przebiegał gładko. Wcześnie zauważeni przez Niemców, dostali się pod ogień broni ręcznej, który stale gęstniał, ponieważ oddział Niemców

rozpoczął atak. Porucznik, który nigdy w życiu nie był pod ostrzałem, wpadł w panikę i uznał, że powinni się poddać. Bez odwracania oczu od wroga Bert powiedział tylko „Nie, sir” i strzelał nadal. Kiedy znów spojrzał na porucznika, ten był zajęty przywiązywaniem białej chustki do lufy swojego M1. Porucznik podniósł wzrok i w tym momencie zobaczył przed sobą wylot lufy karabinu Berta. W milczeniu odwrócił się do Wesleya po pomoc, ale odpowiedzą był wylot lufy karabinu Wesleya. Biedny porucznik załamał się, zwinął w kłębek na dnie otworu i zaczął szlochać, podczas gdy Bert i Wesley wrócili do walki. Niedługo Bert usłyszał strzał z prawej strony; okazało się, że porucznik wziął się w garść i dołączył do akcji. Walka stawała się coraz gwałtowniejsza, ponieważ Niemcy przynieśli lekki karabin maszynowy, którego pociski padały tak blisko, że na krótko oślepiły Berta, zanim karabin został wyeliminowany. Wreszcie Niemcy, wykończeni śmiertelnymi strzałami z karabinów, w których miał swój udział porucznik, wycofali się na ukryte pozycje, a trzyosobowy oddział Berta zniknął w lesie.

Po powrocie do oddziału Bert obiecał porucznikowi, że nikt się nie dowie o jego próbie poddania się. Miał jednak nadzieję, że nie będzie już musiał iść na patrol z niedoświadczonym oficerem i być zmuszanym do buntu, aby nie pójść do niewoli.

Karabiny BAR i niemiecka obsługa karabinów maszynowych

Snajperstwo było naturalną umiejętnością Berta, który opracował z biegiem czasu własną taktykę i techniki: połączenie tego, czego nauczył się, dorastając w lesie, oraz trudnych lekcji odbieranych na polu walki. Jedna z rzeczy, które szybko sobie przyswoił, dotyczyła karabinu *Browning Automatic Rifle* (BAR) i niemieckich załóg karabinów

maszynowych. BAR, wytwór geniuszu Johna Mosesa Browninga, był ośmiokilogramowym karabinem automatycznym – praktycznie lekkim karabinem maszynowym – z którego można było strzelać, stojąc (z ramienia), leżąc na brzuchu i korzystając z dwunogu lub z biodra przy użyciu pasa nośnego. Podobnie jak inne browningi, był absolutnie niezawodny. Niemcy nauczyli się go bać, a Bert dowiedział się o ich strachu. Efektem skuteczności karabinu BAR było to, że każdy człowiek z taką bronią stawał się celem dla niemieckich strzelców z karabinów maszynowych. Wiedząc o tym, Bert i Wesley nauczyli się (jeśli było to możliwe) zajmować oddalone pozycje po obu stronach żołnierza z karabinem BAR, znajdować miejsce zapewniające ukrycie i pole ostrzału, po czym czekać, aż Niemcy przyniosą karabin maszynowy. Kiedy już zdążyli ustawić ciężki karabin, mając uwagę skoncentrowaną na żołnierzu z BAR-em, Bert i Wesley mogli likwidować niemiecką obsługę, co na chwilę zwiększało bezpieczeństwo strzelającego z BAR-a.

Walcząc w żywopłotach i krzakach, Bert wykorzystywał nauki, które przekazał mu ojciec: zatrzymaj się, nie ruszaj i „szukaj czegoś, czego nie powinno tu być”. W domu, w czasie polowań w lasach Tennessee, to coś mogło być częścią nogi, uchem królika lub ogonem wiewiórki. W walce mógł to być czubek buta, krawędź plecaka lub hełmu albo błysk światła odbitego od obiektywu lunety czy celownika teleskopowego. Niemiecki żołnierz mógł być spokojny, sądząc, że jest całkowicie ukryty i niewidoczny, ale jeśli pokazało się „coś, czego nie powinno tu być”, zwykle kosztowało go to życie.

„Zapal i umieraj”

Wesley był znakomitym strzelcem, ale w inny sposób niż Bert. Wesley był znakomity przy strzelaniu z dużej odległości, kiedy miał czas na zbadanie celu, oszacowanie poprawki na wiatr, uniesienia i efektów światła. Wówczas jego strzały były śmiertelnie dokładne. Bert oczywiście umiał to także, ale poza tym był wyjątkowo niebezpieczny z powodu szybkości. Rzadki splot obwodów elektrochemicznych w jego mózgu pozwalał mu wykonywać wszystkie niezbędne obliczenia w ułamkach sekund i trafiać małe cele, które były widoczne tylko przez chwilę, a potem ginęły w ciemnościach. Zdarzało się to na przykład nocą, jeśli nieostrożny Niemiec zapalił papierosa albo fajkę. W ciągu jednej czy dwóch sekund, kiedy jego twarz oświetlał płomień, Bert strzelał, a żołnierz ginął w konsekwencji chwilowej lekkomyślności. Kiedy Wesley opowiadał o tym po wojnie, przysięgał, że w momencie błysku światła głowa Niemca znikała, pozostawiając po sobie tylko mignięcie prochów, zawieszonych w gasnącym blasku. Przesadzał? Może, opowieści mają to do siebie, że po latach wyolbrzymiają wydarzenia, nawet jeśli nie było to zamiarem mówiącego. Ale nie ja tam byłem, tylko Wesley, więc rezygnuję z wątpliwości. W każdym razie faktem jest, że w walce, w ciemnościach, przez długi czas obowiązywała zasada „Zapal i umieraj”, szczególnie jeśli po drugiej stronie stał i obserwował Bert Kemp.

Tropienie celów

Czasem wskazywano Bertowi specjalny cel – zwykle jakiegoś niemieckiego oficera. Strata oficera, szczególnie znajdującego na tyłach własnej jednostki, gdzie wydawał się bezpieczny, mogła wprowadzać zamęt, podkopywać morale i co najmniej na krótki czas zmniejszać skuteczność jednostki. Takie misje mogły trwać po kilka dni,

potrzebnych, aby zająć pozycję, nie będąc zauważonym, i czekać na cel, który miał się pojawić. Jeszcze trudniejsza była ucieczka po oddaniu skutecznego strzału i dotarcie do własnych linii.

Bertowi powiedziano, nie całkiem zgodnie z prawdą, że typowy żołnierz niemiecki został wyszkolony do słuchania rozkazów, a nie do myślenia i samodzielnego działania, dlatego oddział ogarnie zamęt po zabiciu dowódcy.
W pamięci Berta jedna z takich misji odcisnęła się szczególnie mocno: celem był niemiecki porucznik, dowódca jednostki operacji specjalnych. Był dobry, a jego fantastyczna skuteczność i wynikająca z niej reputacja stały się jego wyrokiem śmierci. Kiedy Bert zabił oficera strzałem w głowę z niewidocznego miejsca, jego ludzie zareagowali natychmiast, rozproszyli się. Zamiast się przegrupować i ruszyć gwałtownie w stronę, z której padł strzał, przez kilka krytycznych minut stali wokół martwego oficera zdezorientowani, a Bert w tym czasie uciekał. Ten rodzaj misji uważał za najtrudniejszy pod każdym względem. Nie tylko z powodu koniecznej cierpliwości i zagrożenia, ale także dlatego, że czuł się jak morderca. O tych zabitych było mu najtrudniej zapomnieć, zwłaszcza o jednym z nich.

Śmierć, której Bert nigdy nie mógł wymazać z pamięci, która męczyła go najbardziej, wydarzyła się podczas przebiegających w ciągłym ruchu, czasem chaotycznych i kiepsko koordynowanych walk na pustyni. Batalion Berta został chwilowo odizolowany, odcięty od reszty pułku i otoczony przez niemiecką piechotę. Niemcy nie dysponowali wystarczającymi siłami, aby zwyciężyć Amerykanów, i trwał pat. Ponieważ żadna ze stron nie była w stanie przełamać oporu przeciwnika, Niemcy wezwali znającego angielski żołnierza, który kształcił się w Stanach Zjednoczonych. Ten przez megafon starał się przekonać

Amerykanów, że ich sytuacja jest beznadziejna i powinni się poddać. Po dłuższym czasie propagandowych przemówień dowódca podszedł do Berta i powiedział: „Kemp, usłyszałem od tego faceta wszystko, co chciałem. Zajmij się nim”.

Bert wycofał się, czołgając się przez płytkie rowy, wykorzystując pustynne zarośla i kamienie, by się ukryć. Dłuższy czas zajęło mu znalezienie dobrego punktu, z którego widział niemieckiego mówcę, samemu nie będąc zauważonym, i który zapewniał czyste pole ostrzału. Kiedy go znalazł, zobaczył na wprost twarz Niemca. Naprawdę nie chciał zabijać tego człowieka, ale rozkaz był rozkazem. Wycelował w głowę i ostatnia mowa Niemca o poddaniu się została przerwana w pół zdania. Powoli, powtarzając drogę do miejsca strzału, Bert wycofał się do oddziału i zajął pozycję na obrzeżu.

Przez resztę życia ta jedna śmierć nie dawała mu spokoju. Mówił: „Ten człowiek nie zrobił mi żadnej krzywdy. Po prostu mówił. Nie był zagrożeniem ani dla mnie, ani dla nikogo innego – nawet nie miał broni”.

Reputacja Berta dotarła do wojsk sprzymierzonych i niekiedy proszono go o pomoc. Okresowo służył zarówno w oddziłach brytyjskich, jak i we francuskich. Za znakomitą służbę Francuzi odznaczyli go Krzyżem Wojennym. Chodziły słuchy, że miał otrzymać wysokie odznaczenie brytyjskie, ale nawet jeśli tak było, nie doszło do tego w administracyjnym bałaganie pola walki, a żadnych dokumentów w tej sprawie nie znaleziono. Ciekawe, że na wielkim, chaotycznym i szybko zmieniającym się polu walki reputacja Berta rozchodziła się aż do najwyższych dowódców armii francuskiej i brytyjskiej. Podobno nawet Adolf Hitler dowiedział się od Rommla o istnieniu tego zabójczego snajpera i amerykańskiej 1 Dywizji Piechoty.

Nie ma dokumentów, które mogłyby to potwierdzić, ale snajper, który prześladował i zabijał ważnych oficerów ze znacznej odległości, po czym niezauważony uciekał, stanowił olbrzymie zagrożenie.

Wzrost snajperskiej sławy Berta przypomina sposób, w jaki rozchodziły się pogłoski o nieznanym wiejskim chłopaku gdzieś na głębokiej wsi w Tennessee, aż w końcu trafiły do dyrektorów Remington Arms w Nowym Jorku. Wydaje się, że jeśli ktoś jest tak dobry, nie da się utrzymać tego w tajemnicy.

Proca na polu walki?

Proca, której mistrzem został Bert jako mały chłopiec, cieszyła się jego sympatią także wtedy, gdy dorósł, i niemal zawsze miał jakąś przy sobie. Jedna towarzyszyła mu we wszystkich walkach w czasie drugiej wojny światowej, a czasem okazywała się najważniejszym elementem jego uzbrojenia, jednak nie służyła do zabijania Niemców, ale królików. Wielokrotnie, kiedy wraz z Wesleyem prowadzili długie patrole za niemieckimi liniami lub pozostawali na posterunkach obserwacyjnych, potrzebowali jedzenia. Na Sycylii znaleźli korsykańskiego zająca, spokrewnionego z królikiem, ale znacznie większego od królików z rodzinnych stron, na które polowali jako chłopcy. Wydawało się, że są wszędzie. Kiedy znajdowali się poza liniami wroga, proca Berta i duże korsykańskie zające nie pozwalały im głodować, ponieważ bezgłośna broń nie mogła zdradzić ich położenia. Jeśli przebywali w miejscu, w którym można było bezpiecznie rozpalić ognisko, gotowali mięso i ucztowali albo zabierali posiłek ze sobą. Wspominając swój „mięsny biznes” w sklepie Millera, Bert myślał, o ile więcej pieniędzy mógłby zarobić, gdyby przynosił na sprzedaż te wielkie zające.

Srebrna Gwiazda na Sycylii

W trakcie zażartych starć na Sycylii Bert, wówczas już sierżant, znalazł się na kluczowym stanowisku podczas ciężkiej walki o ważny odcinek frontu. Zajmując jak zwykle punkt obserwacyjny i strzelecki przed swoim oddziałem, zobaczył, że Niemcy rozpoczynają silny atak na jego jednostkę, a jego stanowisko daje możliwość ocalenia kolegów. Informacja dotycząca nadania jego Srebrnej Gwiazdy brzmiała:

> Niezrażony nieprzyjacielskimi czołgami i ogniem zaporowym artylerii i karabinów maszynowych, sierżant Kemp pozostał nieustraszony w odsłoniętym punkcie, z którego precyzyjnym i szybkim ogniem umiejętnie osłaniał wycofywanie się kolegów na lepsze stanowiska, śmiertelnie raniąc wielu Niemców i niszcząc nieprzyjacielskie stanowiska, przyczyniając się w ten sposób w wielkim stopniu do odparcia kontrataku.

Interesujące jest tu wyrażenie „śmiertelnie raniąc”. Ponieważ Bert zawsze preferował strzały w głowę, niemal każdy raniony przez niego był w rzeczywistości „śmiertelnie” ranny – był martwy w chwili, gdy padał na ziemię.

Ceremonia nadania odznaczenia sprawiła, że te wszystkie wydarzenia zapadły w pamięć Berta, ponieważ prowadził ją generał brygady Teodor Roosevelt, syn 26. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Po przypięciu Bertowi medalu generał Roosevelt polecił mu odwrócić się twarzą do żołnierzy, którym nakazał, by przyjrzeli się temu człowiekowi. Powiedział, że ma jeszcze bardzo dużo takich medali, i wezwał żołnierzy do takiego działania, jakie prezentował Bert. Bert był zażenowany. Pochwały zawsze

go krępowały. Po wojnie konsekwentnie sprzeciwiał się określaniu go mianem bohatera – bohaterami, jak twierdził, byli ci, którzy zginęli. Jednak ta chwila z generałem Rooseveltem była mimo wszystko bardzo cennym doświadczeniem i nigdy jej nie zapomniał.

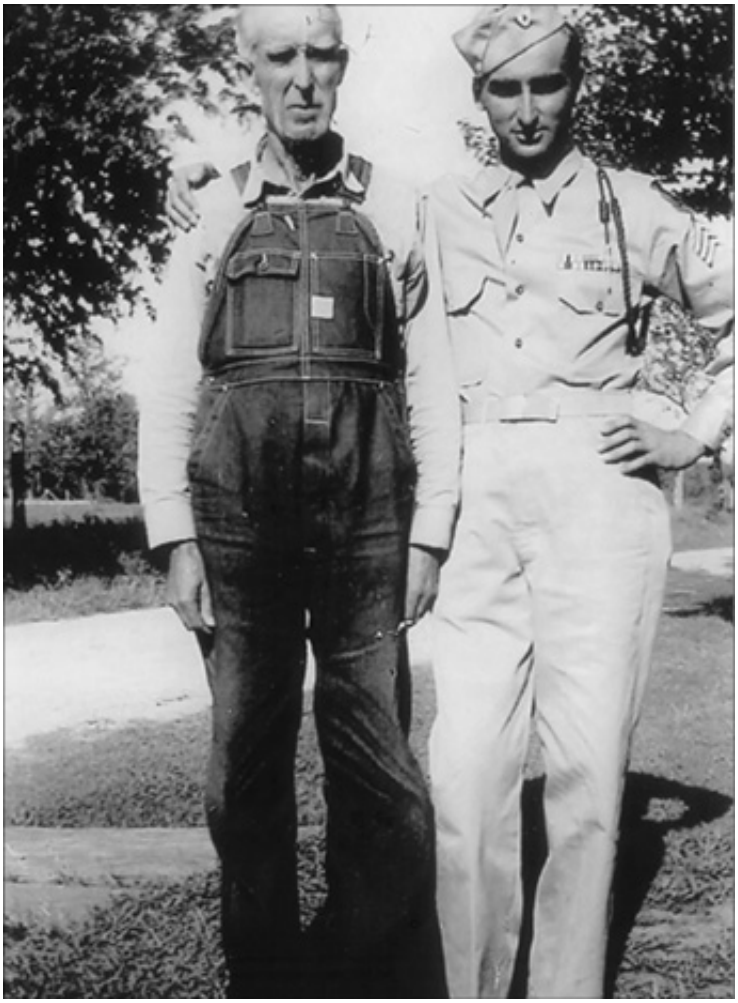

Bert na urlopie po powrocie z Sycylii, na farmie swego ojca.

Koszty pięciu ran

Bert był pięciokrotnie ranny: trzykrotnie w Afryce Północnej i dwukrotnie na Sycylii. W jednej z sytuacji padł nieprzytomny na ziemię i leżał, pozostawiony na śmierć. Zamęt bitwy rozdzielił go od Wesleya, a ludzie w pobliżu zostawili go między poległymi. Kiedy Wesley odkrył, co się

stało, wrócił samotnie pod gradem kul, narażając się na śmierć, na pokryty ciałami szczyt wzgórza. Znalazł Berta i wyciągnął go we względnie bezpieczne miejsce. Stamtąd przeniesiono go do punktu sanitarnego, a następnie do szpitala polowego. Gdyby nie odwaga Wesleya, jego niezgoda na pozostawienie przyjaciela – wszystko jedno, martwego czy żywego – między ciałami, rana okazałaby się śmiertelna. Bert i Wesley uratowali sobie nawzajem życie co najmniej raz. Żaden nie został odznaczony za te akty heroizmu, ale żaden też nigdy o nich nie zapomniał.

Za każdym razem, kiedy ewakuowano Berta do szpitala, czuł się winny, że zostawia kumpli, żeby walczyli bez niego, co jest częstym uczuciem rannych żołnierzy piechoty. Ostatnim razem, ciężko ranny, odmówił opuszczenia oddziału i walczył nadal, mówiąc, że jest potrzebny w tym miejscu, ale ta piąta rana zakończyła jego karierę snajpera i jednocześnie żołnierza. W krwawej walce na Sycylii kawałek pocisku odłamkowego trafił go tuż nad uchem, przebił czaszkę i wbił się na pięć centymetrów w mózg. Ta rana niespodziewanie i ostatecznie przerwała służbę liniową Berta, pozostawiła trwałe uszkodzenie mózgu, podwójne widzenie, migrenowe bóle głowy i jednostronną głuchotę, a także sprawiła, że odrzut i podmuch z lufy jego broni kalibru .30 sprawiały mu ból. Konieczne było leczenie w szpitalu, najpierw za granicą, potem w swoim kraju. Przez resztę życia Bert musiał nosić okulary korygujące podwójne widzenie; jeśli tego nie robił, wracały migreny.

Rozpadł się zespół snajpera Berta i obserwatora Wesleya, a oni stracili ze sobą kontakt. Wiele lat później jednak ich przyjaźń odrodziła się niespodziewanie, kiedy Wesley, znowu w obliczu śmierci, wezwał Berta na pomoc.

Dalsze losy

Kariera Berta jako żołnierza piechoty i snajpera była skończona. Po wielu miesiącach operacji i pobytów w szpitalach w końcu wrócił do Stanów, gdzie czekały go kolejne hospitalizacje, zanim mógł znów wieść normalne życie. Na krótko trafił do służby w żandarmerii, pilnując niemieckich jeńców w Georgii, ale rana była zbyt ciężka i nie nadawał się do tego. Poważne obrażenia głowy mają to do siebie, że znacznie zaburzają kontrolę emocji. Bez takich obrażeń możemy, jak przedstawiał to Bert, „szaleńczo zabijać przez 90 procent czasu", trywializując koszmar albo po prostu wypierając go ze świadomości. Jednak ciężka rana Berta sprawiła, że emocjonalne koszty zabijania oraz śmierci i okaleczeń jego przyjaciół ciążyły mu jak ołów.

Nie było w nim już szaleństwa, tylko wyczerpanie i pustka. Wspominał nieżyjących przyjaciół i martwił się o Wesleya, a ciężar tego wszystkiego, mimo jego odporności, przytłaczał go. Ten cichy, delikatny i wrażliwy człowiek, którego niesamowity talent zmienił w snajpera, prześladowcę i zabójcę, zaczął się wewnętrznie rozpadać. Parafrazując Marka Antoniusza, można powiedzieć, że mistrzowski snajper nie powinien się łatwo poddawać.

Bert, mimo wrodzonej delikatności, dostosował się do sytuacji, posłuchał głosu obowiązku i działał perfekcyjnie w najtrudniejszych okolicznościach. Teraz, sam ze sobą, rozpaczał, płakał i modlił się, aż wreszcie znalazł spokój, którego potrzebował, w Bogu, któremu służył. Został zwolniony ze służby jako inwalida, w dokumentach określono jego charakter jako „nadzwyczajny", kondycję fizyczną zaś jako „złą". Był wyczerpany – nie mniej odważny niż wcześniej, ale zużyty.

Wrócił do domu znużony i wychudzony, cierpiący z powodu migren, zawrotów głowy i podwójnego widzenia, a także głuchy na jedno ucho. Ten cichy i wrażliwy mężczyzna,

który nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić, nosił Srebrną Gwiazdę, pięć Purpurowych Serc, Medal Żołnierza za bohaterstwo, francuski Krzyż Wojenny ze Sznurem, Medal za Wzorową Służbę (*Good Conduct Medal*), Medal za Kampanię Europejsko-Afrykańsko-Bliskowschodnią z trzema brązowymi gwiazdami, lamowaną złotem niebieską wstążkę za dwie pochwały prezydenta (*Presidential Unit Citation*) oraz niebieską i srebrną Bojową Odznakę Piechoty.

Bert wrócił do okręgu Weakley na farmę, na której się urodził i dorastał. Było Boże Narodzenie 1944 roku. Jego ojciec potrzebował pomocy na farmie, a Bert z łatwością wrócił do swojej roli. Spędzał czas w lesie, który stał się dla niego wyciszającym i uzdrawiającym środowiskiem, ale nie miał ochoty na polowanie.

Bert Kemp w czasie urlopu zdrowotnego, grudzień 1944 roku.

Krótko po powrocie uczestniczył w meczu koszykówki w szkole średniej w Cottage Grove (do której nie uczęszczał) i tam spotkał Therę Peale. Spotkanie było nieoczekiwane, nagłe i brutalne. Thera wybiegła zza rogu budynku i wpadła na Berta, dosłownie go nokautując. Była uczennicą ostatniej klasy w Cottage Grove, a Berta znokautowała także w inny sposób – pobrali się w listopadzie 1945 roku. Miała wtedy 18 lat, a Bert 26.

Kupili farmę w pobliżu farmy jej ojca, a w grudniu 1947 roku Thera urodziła Ludie, pierwszą w ich czterech córek.

Dwa lata później ich dom spłonął i wszystko stracili. Sprzedali więc farmę i – jak wielu innych południowców – ruszyli na północ, do Chicago, w poszukiwaniu pracy. Tamtejszy klimat nie służył Ludie, a Bert i Thera czuli się fatalnie na przemysłowej Północy. Wrócili więc do okręgu Henry i kupili dom w Paris, stolicy okręgu, gdzie Bert znalazł pracę w Holley Carburetor. Thera miała zdolności do matematyki i księgowości, które pozwalały im prowadzić kilka małych domowych firm. W 1955 roku urodziły się im bliźniaczki, Vanesia i Theresia.

Kryzys ponownie łączy Wesleya i Berta

Kiedy bliźniaczki miały 18 miesięcy, telefon podczas niedzielnego lunchu zmienił życie rodziny. Bert odebrał, a kiedy po rozmowie wrócił do stołu, płakał. Dzwonili z miejscowej policji, gdzie otrzymali wiadomość od jakiejś kobiety z Missisipi. Usiłowała znaleźć mężczyznę o imieniu Bert, który służył z jej mężem w wojsku podczas wojny. To była żona Wesleya Holly'ego. Wesley został ciężko ranny w wypadku na farmie, był bliski śmierci i bredził, ale nie przestawał wzywać Berta. Lekarz stwierdził, że ów Bert musi być kimś, kto był z Wesleyem w ciężkich chwilach w przeszłości, i byłoby dobrze znaleźć go i przyprowadzić do szpitala. Pani Holly słyszała opowiadania męża o Bercie – bliskim przyjacielu z czasów wojny, ale nie znała jego nazwiska. Wiedziała tylko, że mieszka koło Paris w Tennessee. Zadzwoniła więc na policję w Paris i opowiedziała im całą historię. Dlatego zadzwonili do Berta.

Wyjechał natychmiast. Siedział przy łóżku Wesleya, trzymał go za rękę i mówił do niego przez kilka dni, zanim ten w końcu odzyskał przytomność. Został tak długo, aż okazało się pewne, że Wesley wyzdrowieje. Ta przyjaźń,

zawiązana w trudnych chwilach na dalekim polu walki, odrodziła się w trudnych chwilach w szpitalu w Missisipi i trwała aż do śmierci Wesleya, która nastąpiła 30 lat później. Relacja była tak bliska, że dzieci Berta nazywały Wesleya i jego żonę ciocią i wujkiem – i tak mówią o nich do dziś, wiele lat po ich śmierci.

Późniejsze lata

W październiku 1962 roku przyszła na świat Tammy, czwarte i ostatnie dziecko Berta i Thery. W roku 1966 zmarł ojciec Berta, a w 1969 – jego młodsza siostra, Gertie. Z całej rodziny został mu tylko brat Odie. W tych latach Bert i Wesley często polowali i jeździli na ryby, zabierając ze sobą dzieci. To były niezapomniane chwile. Ich dzieci i wnuki wspominają je do dziś. Lata spędzone z Wesleyem i dziećmi były najszczęśliwszym czasem w życiu Berta.

W wieku 39 lat Bert zabił z łuku swojego pierwszego jelenia. Choć zaczął późno, zdążył ustanowić kilka rekordów w polowaniu na jelenie zarówno w Missisipi, jak i w Tennessee. Jeśli polował z bronią palną, używał karabinów małego kalibru ze względu na problemy wynikające z ran głowy. Jego ulubionym karabinem był fiński .223. Wiele jeleni ustrzelił pistoletem kalibru .22 z 14-calową lufą i celownikiem teleskopowym. Wielu myśliwych próbuje trafić jelenia w serce lub szyję, ale Bert nadal preferował strzały w głowę (chyba że chodziło o trofea łowieckie). Jego cioteczny wnuk Odie mówił, że kiedy chciał się popisać, wykonywał strzał w oko.

Natomiast w małżeństwie Berta narastały problemy, do których podchodził z typową dla siebie cierpliwością, w nadziei, że jeszcze będzie dobrze, ale tak się nie stało. W 1977 roku rozwód był już faktem. Bert nigdy nie pozwolił dziewczynkom powiedzieć niczego krytycznego na temat

Thery. „Pamiętajcie, że wciąż jest waszą matką” – mówił do nich.

W ciągu tych niełatwych lat był i ojcem, i matką. Bez narzekania zajął się gotowaniem, praniem i wszystkim, co wiązało się z prowadzeniem domu. Ludie, najstarsza córka, wspominała: „Potrafił wyprasować sukienkę tak, jak zrobiłaby to kobieta, a mistrzostwo świata osiągnął w splataniu warkoczyków i wiązaniu końskich ogonów”. Nie mogła się nadziwić, że jego ręce, szorstkie i pokryte bliznami, były tak delikatne podczas zajmowania się córkami.

Bolesne wspomnienia

Niekiedy, jeśli został o to zapytany, Bert opowiadał o wojnie bliskim przyjaciołom, ale na ogół nie ujawniał swoich wspomnień. Jeśli oglądał z rodziną lub przyjaciółmi telewizję i pojawił się film wojenny, bez słowa wychodził z pokoju. Kiedy Ludie dowiedziała się w szkole o bitwie o przełęcz Kasserine, po powrocie do domu spytała ojca, czy słyszał coś na ten temat. Stał przed nią w milczeniu, co wydawało się trwać wieki. W pewnej chwili jego oczy wypełniły się łzami i wyszedł z pokoju. Kiedy wrócił, podjął przerwaną pytaniem córki czynność tak, jakby żadne pytanie nigdy nie padło. Nigdy nie opowiadał córkom o wojnie; zapewniał je tylko, że nie był bohaterem.

Ale zdumiewający talent strzelecki nigdy go nie opuścił. Bliźniaczki wspominały radosne chwile, kiedy miały pięć czy sześć lat, a Bert kazał im jednocześnie rzucać w górę monety. Każdą z monet przestrzeliwał w samym środku, a podekscytowane dziewczynki szukały tak długo, aż je znalazły. Dopiero ostatnio córka Theresii, Mika, opowiedziała własną historię – o tym, jak bawiła się z dziadkiem, który kazał jej podrzucać w górę

dziesięciocentówki, po czym trafiał w te maleńkie cele. Ani bliźniaczki, ani Mika nigdy nie widziały, by chybił.

Odwieczna proca

Od dzieciństwa Bert nie rozstawał się z procą. Zawsze miał przy sobie procę zrobioną z derenia. Nierzadko dzikie zwierzęta („małe szkodniki”) dostawały się do fabryki gaźników, w której pracował. Strzelanie do nich z broni palnej byłoby zbyt niebezpieczne, więc Bert rozwiązywał problem za pomocą procy.

W czasie ślubu Ludie sfotografowano ją z ojcem, kiedy klęczeli, modląc się przy prezbiterium. Jeśli przyjrzeć się temu zdjęciu, można zauważyć wypukłość pod jego marynarką. Oczywiście była to proca w tylnej kieszeni spodni, gdzie zawsze ją nosił!

Strata Wesleya i brata Odiego

W 1988 roku Bert utracił Wesleya, który zmarł na raka. Bert siedział przy łóżku przyjaciela tak samo jak po wypadku, mówił do niego i trzymał umierającego za rękę. W tym samym roku zmarł Odie i tak Bert stracił i najlepszego przyjaciela, i brata.

W tym czasie towarzyszami polowań i wypraw rybackich Berta zostali: syn Wesleya Jimmy, cioteczny wnuk Berta Odie Kemp i David Bumpus, młody policjant z Paris. Choć David był znacznie młodszy od Berta (który zwykle nazywał go „chłopcem”), stał się dla niego więcej niż kumplem, został jego przyjacielem i powiernikiem. Kiedy David był na nocnym patrolu, zawsze przechodził koło domu Berta i jeśli w kuchni świeciło się światło, wiedział, że gospodarza męczą wspomnienia wojenne i że potrzebuje przyjaciela. Nierzadko tym dręczącym wspomnieniem był nieuzbrojony, mówiący po angielsku Niemiec z megafonem. Bert gotował coś specjalnego dla nich obu, a potem opowiadał Davidowi

rzeczy, których nie mówił nikomu – szczególnie teraz, kiedy nie było Wesleya. Ludie trafnie stwierdziła, że Jimmy, Odie i David byli synami, których jej ojciec nigdy nie miał.

Bert Kemp w późniejszych latach.

Rekwiem dla żołnierza z przymusu

Rak, z którego początkowo udało się Bertowi wyleczyć, powrócił w 2000 roku i tym razem nie ustąpił. Bert wiedział, że jego koniec jest bliski, i przygotował się na to. Poprosił Davida, aby dopilnował, by córkom zaoszczędzić cierpienia. Powiedział rodzinie, że chce umrzeć w domu i że nie życzy sobie, by stosowano wobec niego agresywne leczenie. Przez ostatnie tygodnie doglądały go córki,

a Theresia, pielęgniarka z zawodu, dopilnowała, aby jego życzenie zostało spełnione. Przez ostatnie dwa tygodnie Bert był w śpiączce. Czuwały przy nim bliźniaczki. Przeniesiono go ze szpitala do domu w środowe popołudnie, a następnej soboty rano, 23 września 2000 roku, mając obok siebie córkę Theresię, Bert Wilson Kemp, żołnierz z przymusu obdarzony niezwykłym talentem, przeniósł się do wieczności.

Może gdzieś za światem czekał na niego Wesley.

Źródła

Książki

Martin Blumenson, *Kasserine Pass* (Boston, 1967)

Kenneth Macksey, *Crucible of Power: The Fight for Tunisia 1942–1943* (Londyn, 1969)

U.S. Army Center for Military History, *The Sicilian Campaign* (Fort Lesley J. McNair, Waszyngton, 2009)

James Scott Wheeler, *The Big Red One: America's Legendary 1st Infantry Division from the First World War to Desert Storm* (Lawrence, Kansas, 2007)

Czasopisma

[Anon.], „Henry Infantryman Has Five Wounds", *Paris Post Intelligencer*, Paris, Tennessee, 1 września 1944, s. 1

[Anon.], „Sgt. Bert Kemp Wins Silver Star Award", *Paris Post Intelligencer*, Paris, Tennessee, 28 marca 1945, s. 1

Ken Clayton, „Living Rifleman Ranks with Tennessee Legends", *Post Intelligencer*, Paris, Tennessee, 6 listopada 1987, s. 1B ——, „Bert Kemp a Local Hunting and Shooting Legend", *Post Intelligencer*, Paris, Tennessee, 15 stycznia 1988, s. 1B

Jim Dumas, „Army Sets Its Sights on Bert Kemp's Uncanny Marksmanship", *Paris Post Intelligencer*, Paris, Tennessee, 11 maja 2000, s. 6A

Dokumenty

Honorable Discharge Certificate and Summary of Service, Sergeant Bert W. Kemp, Serial Number 34 185 517, Army of the United States, 22 grudnia 1944

Źródła internetowe

Charles R. Anderson, „Tunisia”, www.history.army.mil/brochures/Tunisia/Tunisia.htm, 2003

„Battle Analysis, Kasserine Pass”, www.usaiac.army.mil/cac2/csi/docs/MHIC_Link04a.ppt277, 13,Basic Battle Analysis

Andrew J. Birtle, „Sicily1943”, www.history.army.mil/brochures/72-16/72-16.html, 2009

Wikipedia, „1st Infantry Division (United States)”, www.wikipedia.org

Relacje świadków:

Roland Alexander, Paris, Tennessee

David Bumpus, Paris, Tennessee

Theresia Kemp Gregory, Greenbrier, Tennessee

Vanesia Kemp Hill, Cordova, Tennessee

Jimmie Holly, Shuqualak, Mississippi

Ludie Ann Kemp, Memphis, Tennessee

Stanley Kemp, Paris, Tennessee

Crockett Mathis, Paris, Tennessee

Tammy Kemp Wimberly, Paris, Tennessee

Rozdział 4

OPERACJA FOXLEY
Brytyjscy snajperzy i polowanie na Hitlera

Adolf Hitler, Führer nazistowskich Niemiec, miał pełną świadomość, że jest napiętnowany – i że to właśnie snajper ma największą szansę zabicia go. W 1933 roku powiedział do pierwszego szefa Gestapo, Rudolfa Dielsa:

> Któregoś dnia całkiem niegroźny człowiek zamieszka w mieszkaniu na poddaszu przy Wilhelmstrasse [w centrum Berlina]. Wszyscy wezmą go za emerytowanego dyrektora szkoły. Uczciwy obywatel, w okularach w rogowej oprawce, kiepsko ogolony, z brodą. Nikomu nie pozwoli zajrzeć do swojego skromnego pokoju. Tu umieści karabin, cicho i bez zbytniego pośpiechu, i godzina po godzinie, dzień po dniu, z niesamowitą cierpliwością będzie celował w balkon kancelarii Rzeszy. Aż wreszcie pewnego dnia strzeli[13]!

Był to proroczy opis typu zabójcy, który miał polować na swoje ofiary w późniejszych latach XX wieku. Hitler ponownie przyznał się do strachu przed śmiercią z ręki snajpera podczas publicznego wystąpienia w czasie obiadu w Berghofie 3 maja 1942 roku, a Martin Bormann nagrał tę rozmowę:

> Jakiemuś fanatykowi uzbrojonemu w karabin z celownikiem teleskopowym byłoby łatwo w środku takiego tłumu zastrzelić mnie zza któregoś rogu; dlatego wszystkie podejrzane otwory i zakątki muszą być dokładnie obserwowane. Po zmroku reflektory

> policji muszą oświetlać te niebezpieczne miejsca, a nie, tak jak to miało miejsce w Hamburgu, koncentrować się na moim samochodzie. Podczas oficjalnych okazji należy w najwyższym możliwym stopniu unikać wąskich ulic; droga o szerokości pięciu metrów prowadząca do opery Krolla w Berlinie potencjalnie stanowi najbardziej niebezpieczny znany mi odcinek[14].

Hitler lekceważąco odnosił się do wysiłków tysięcy otaczających go oficerów bezpieczeństwa, których obecność zdawała się raczej zachęcać niż zniechęcać zabójców. Często doprowadzał ich do szaleństwa, ignorując starannie opracowane harmonogramy czy zmieniając w ostatniej chwili trasy lub rodzaje podróży. Uważał, że w ten sposób zapewnia sobie najlepszą ochronę. „Jedyny środek zapobiegawczy, jaki można podjąć, to prowadzić nieregularny tryb życia – chodzić, jeździć i podróżować o nieregularnych porach i nieoczekiwanie” – twierdził.

Hitler wiedział, że niewiele można zrobić, aby unieszkodliwić zdeterminowanego napastnika, i aż do ostatnich miesięcy wojny nie był przygotowany na chowanie się przed swoimi zwolennikami:

> Ponieważ podczas oficjalnych wystąpień nigdy nie można się całkowicie zabezpieczyć przed fanatykami i ideowcami, zawsze staram się stać wyprostowany w samochodzie, a ta metoda stale potwierdza znane przysłowie: „Do odważnych świat należy”. Jeśli jakiś fanatyk postanowi mnie zastrzelić lub podłoży bombę, nie będę bezpieczniejszy, siedząc, niż stojąc.

Kilka prób zabicia Hitlera miało miejsce w latach 30., ale ich autorami byli w większości wrodzy Niemcy. Zaledwie na kilka miesięcy przed wojną Brytyjczycy po raz pierwszy

wpadli na pomysł zabicia Führera i wykorzystania snajpera do tego celu. W marcu 1938 roku pułkownik sir Noel Mason-MacFarlane, brytyjski attaché wojskowy w Berlinie, był świadkiem triumfalnego zajęcia przez Hitlera Austrii. Obserwując niemiecki konwój uzbrojonych oddziałów i samochodów, czuł dreszcze na plecach. Był przekonany, że Hitler stanowi zagrożenie dla Wielkiej Brytanii, co mogło doprowadzić do wybuchu kolejnej wojny światowej, i zamierzał coś z tym zrobić.

Mason-MacFarlane mieszkał w Berlinie przy Sophienstrasse 1, zaledwie o 100 metrów od miejsca, w którym Hitler regularnie stawał, aby prowadzić przegląd oddziałów wojska. „Wszystko, co było potrzebne – wspominał – to karabin o dużej prędkości z teleskopowym celownikiem i tłumikiem oraz dobry strzał. Strzał można było wykonać przez okno mojej łazienki, z miejsca na piętrze, znajdującego w odległości jakichś 30 stóp [10 metrów] od okna”[15]. Ponieważ Mason-MacFarlane był dyplomatą, jego dom znajdował się w strefie bezpieczeństwa otoczonej przez Hitlera strażnikami z SS, a hałas maszerującego wojska i okrzyki zagłuszyłyby odgłosy wystrzału. Był gotowy osobiście nacisnąć spust.

„Omawiał ze mną ten plan latem 1938 roku – opowiadał niemiecki korespondent *Timesa*, Ewen Butler – kiedy siedziałem, wyglądając przez okno jego berlińskiego mieszkania, okno, z którego można było oddać strzał kończący karierę Hitlera”. Obaj mężczyźni byli przekonani, że osobiste bezpieczeństwo Führera miało luki, które łatwo dałoby się wykorzystać. Kilka tygodni później brytyjski dziennikarz znalazł się w odległości sześciu metrów od przywódcy nazistów na dworcu Anhalter w Berlinie:

> W moim wypadku zabezpieczenia Gestapo nie zadziałały. Nie znaleźli mnie, choć nie miałem prawa być tam, gdzie byłem, i mogłem mieć kilka bomb Millsa [brytyjski granat ręczny] w kieszeni. Wtedy mógłbym zabić nie tylko Führera, ale także większość jego współpracowników. Powiedziałem o tym Masonowi-Macowi, a on strasznie mnie zrugał za zmarnowanie takiej szansy[16].

Mason-MacFarlane zgłosił swoją możliwość działania urzędnikom Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie, ale zabronili mu ją wykorzystać. Uznali, że zabicie dyktatora byłoby zachowaniem niesportowym. Chodziło jednak zapewne o to, żeby nie zakłócić panującego w tym momencie spokoju. Brytyjski premier Neville Chamberlain chciał za wszelką cenę uniknąć wojny w Europie i zamierzał to osiągnąć, dając Hitlerowi wszystko, czego ten chciał. Mason-MacFarlane jednak bez skruchy mówił w październiku 1938 roku, tuż po podpisaniu układu monachijskiego: „Traktowałem tę kartkę z protokołem z Monachium z podpisami Hitlera i Chamberlaina jako strzęp papieru”[17].

Kolejne brytyjskie plany zabicia Hitlera w początkowych latach wojny upadły na skutek afery Venlo w listopadzie 1939 roku. Dwaj agenci wywiadu brytyjskiego działający w neutralnej wówczas Holandii, skuszeni perspektywą kontaktu z niemieckimi oficerami planującymi zabicie Hitlera, udali się na spotkanie do Venlo, przy granicy niemieckiej. Niestety spotkanie było prowokacją zorganizowaną przez niemiecką służbę bezpieczeństwa, której agenci porwali i przesłuchali Brytyjczyków, co pozwoliło im uzyskać wiele informacji na temat wywiadu aliantów w Europie. W konsekwencji tej afery Brytyjczycy stali się nadzwyczaj nieufni w stosunku do wszystkich

Niemców przyznających się do udziału w zakonspirowanej siatce mającej na celu zabicie Hitlera.

To podejście dominowało do 1944 roku, kiedy to liczba rozczarowanych niemieckich oficerów zwiększyła się tak znacznie, że Brytyjczycy ponownie mogli zaufać informacjom przekazywanym przez niemieckie źródła. W tym samym czasie powstało kilka szczegółowych planów zabicia Hitlera. Operację o kryptonimie Foxley opracowało brytyjskie Kierownictwo Operacji Specjalnych (ang. *Special Operations Executive*, SOE), a dowodził nią generał Colin Gubbins, dyrektor Operacji Specjalnych. Jednym z głównych rodzajów uzbrojenia wprowadzonych przez SOE był karabin snajperski, co wiązało się ze znakomitym szkoleniem snajperów w Wielkiej Brytanii.

* * *

Snajperstwo w armii brytyjskiej rozwinęło się poważnie w czasie pierwszej wojny światowej. Ponieważ oficerowie brytyjscy byli precyzyjnie wybierani na cele przez Niemców korzystających z karabinów o dużej szybkości wyposażonych w celowniki teleskopowe, Brytyjczycy zareagowali zwróceniem się w stronę własnych ekspertów myśliwskich. Ci, łącząc talenty zwiadowcze i obserwacyjne z umiejętnościami tropienia, położyli nacisk nie tylko na celność strzału, ale i na mistrzowskie umiejętności na polu walki. Wymagały one rozwijania różnorodnych technik kamuflażu i ukrywania się. Na brzegach okopów umieszczano głowy z papier mâché, mające rozpraszać snajperów niemieckich. Jednocześnie zaszła zmiana dotycząca ubioru: góralski strój maskujący (*highland ghillie suit*) zamieniono na pokryty naszytymi paskami materiału kombinezon Symien z kapturem[18]. Ta wiedza została

wskrzeszona podczas drugiej wojny światowej przez podpułkownika Nevilla Armstronga.

Armstrong, naczelny dowódca zwiadu i główny instruktor armii kanadyjskiej w Szkole Snajperów 2. Armii we Flandrii w latach 1915–1916, zakończył udział w pierwszej wojnie światowej jako komendant Kanadyjskiej Wojskowej Szkoły Snajperskiej we Francji w latach 1917–1918. Po 22 latach zaoferował swoje usługi armii brytyjskiej jako starszy instruktor Oddziału Snajperskiego w Szkole Broni Ręcznej w Hythe i Bisley, a następnie jako komendant Królewskiej Szkoły Snajperskiej Marynarki. Spisując swoje wiadomości w książce *Fieldcraft, Sniping and Intelligence* (sześć wydań do 1944 roku), Armstrong złożył hołd „dzielnej grupie myśliwych, zwiadowców i snajperów", członkom oddziałów wywiadowczych Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych w latach 1914–1918. Słowo wstępne do książki napisał Lord Cottesloe, powtarzając analogię do polowania: „Czym tak naprawdę jest ludzkie zwierzę w czasie wojny, jeśli nie szczególnym rodzajem nieopancerzonej niebezpiecznej ofiary?"[19].

Książka Armstronga zawiera wszechstronny opis snajperstwa w armii brytyjskiej podczas drugiej wojny światowej, ale w większości odwołuje się do doświadczeń w walce zdobytych w czasie pierwszej wojny światowej. Autor wspomina nawet o używaniu sztucznych głów. W 1916 roku w Belgii – wspomina – poproszono go, by pomógł generałowi, którego żołnierze padali ofiarą niemieckich snajperów:

> Przeszkoliliśmy dwóch oficerów i szesnastu żołnierzy i odesłaliśmy ich. Jakieś dwa tygodnie później dostaliśmy od generała list, w którym informował nas, że umiejętności snajperskie zostały sprawdzone, a sytuacja zmieniła się diametralnie. Jeden

> z najbardziej niebezpiecznych i upartych snajperów został zauważony dzięki użyciu kamuflażowej głowy. Dwie takie głowy wręczyliśmy oficerowi strzelców i przeszkoliliśmy go w ich używaniu. Głowa została ostrożnie wystawiona, a Hun natychmiast uderzył. Nie trafił jednak za pierwszym razem. Za drugim natomiast trafił w oko i wychylił się z ukrycia. Przez peryskop zauważyliśmy szwaba na drzewie i zabiliśmy[20].

Preferowany przez Armstronga karabin snajperski był modelem z pierwszej wojny światowej: Lee-Enfield P14. Pojawił się w 1914 roku i był zmodyfikowanym P13, w którym wykorzystano rozwiązania powtarzalnego karabinu Mauser z zamkiem czterotaktowym. Dzięki istotnej poprawie dokładności zastąpił karabin SMLE (*Short Magazine Lee-Enfield*) Mk III i stał się standardowym karabinem armii brytyjskiej, ale początek pierwszej wojny światowej nie wydawał się odpowiednią chwilą na wprowadzanie nowej broni. To podejście zmieniło się w 1915 roku w związku z ogromnym rozwojem armii brytyjskiej i zapotrzebowaniem na broń. Ponieważ fabryki brytyjskie były zajęte, umowę na produkcję P14 podpisano z amerykańskimi firmami produkującymi karabiny: Winchester i Remington[21].

Niedociągnięcia projektu nie pozwoliły na szeroką akceptację P14. Uznano, że jest za długi dla piechoty, a produkcja w USA oznaczała, że będzie trudno o części zamienne. W efekcie Lee Enfield, lżejszy o pół kilograma i krótszy o pięć centymetrów, pozostał główną bronią piechoty brytyjskiej, ale rewelacyjna dokładność P14 sprawiła, że wybierali go snajperzy, używający go z celownikiem teleskopowym. Osiemdziesiąt lat później były oficer armii Stanów Zjednoczonych i ekspert w zakresie broni testował P14, aby porównać go z późniejszymi

karabinami. Stwierdził: „P14 dorównuje wielu karabinom snajperskim w dzisiejszych armiach. Karabin L42A1, nadal używany w armii brytyjskiej w latach 90. XX wieku, z podobną amunicją osiągnie podobne wyniki, a jest równie długi i ciężki. Nie uważam P14 za znakomity karabin snajperski przy odległościach powyżej 550 metrów, ale na 360 metrów i mniej może być groźny nawet dziś”[22].

P14, ze zmodyfikowanym w 1940 roku celownikiem teleskopowym P18, pozostał najlepszym karabinem snajperskim Brytyjczyków w czasie drugiej wojny światowej, choć Armstrong przyznawał, że był „cięższy i trudniejszy w obsłudze” niż SMLE Mk III, a jego magazynek mieścił jedynie pięć nabojów – jednak nie było to szczególnym problemem dla snajpera. Jeśli chodzi o rekrutację żołnierzy na snajperów, Armstrong poszukiwał ludzi określonego rodzaju. „Tropiciele, strażnicy, kłusownicy, poszukiwacze, traperzy i ludzie żyjący blisko natury, farmerzy z gór i wrzosowisk” znajdowali się na szczycie jego listy. „Nie ma sensu próbować zrobić snajpera z każdego człowieka w batalionie”. Szukał ludzi o najwyższych umiejętnościach obserwacji i czytania krajobrazu. Powinni analizować ruchy ptaków i zwierząt i wyciągać wnioski, w jaki sposób ich zachowania mogą zdradzić obecność ludzi. Zwierzęta dostarczają także innych wskazówek. „W działaniach wojennych jesteśmy bardzo podobni do zwierząt – mówił. – Codziennie robimy te same rzeczy mniej więcej w taki sam sposób”[23]. Wiedza o przyzwyczajeniach celu ma podstawowe znaczenie dla skutecznego zabijania.

Brytyjski karabin nr 4 Mk 1(T) z celownikiem nr 32. Widok prawej strony broni świetnie pokazuje podkładkę na policzek i celownik. Warto zwrócić uwagę na trzy metalowe połączenia obrotowe, umożliwiające mocowanie pasa nośnego. Widok lewej strony broni pokazuje dwa pokrętła, które służą do przykręcania śrub mocujących celownik. Karabin na zdjęciu ma odciągnięty kurek i jest zabezpieczony.

Widok w zbliżeniu celownika nr 32, pokazujący tarcze przyrządu do ustawiania poprawek bocznych celownika i określania wysokości.

Niemiecki Kar 98k z celownikiem Ajak na wysokiej wieżyczce.

Zarys sylwetki może zdradzić człowieka, więc Armstrong przywiązywał ogromną uwagę do wszelkich sposobów maskowania się. Kamuflaż został entuzjastycznie przyjęty podczas drugiej wojny światowej. Pojawiło się wiele oficjalnych podręczników wyjaśniających jego wszelkie aspekty, od ukrywania budynków, czołgów i pojazdów do ochrony żołnierzy. Wcześniejszy artysta surrealistyczny, Roland Penrose, napisał podręcznik kamuflażu dla obrony terytorialnej i wskazał w nim, że skuteczny kamuflaż zależy nie od wybrania odpowiedniego koloru, ale od faktury. Objaśnił także technikę tworzenia zakłócających wzorów, co oznaczało zlikwidowanie zarysów sylwetki lub obiektu.

Trzy wersje ubioru kamuflażowego snajpera, zaprojektowane do użytku przez British Home Guard. Źródło: Roland Penrose, *Home Guard Manual of Camouflage*, 1941.

Do celów obrony terytorialnej Penrose musiał wybrać łatwo dostępne materiały. Sugerował, że tani i łatwy do przygotowania strój strzelca można wykonać z worka jutowego w mniej niż 10 minut:

> Jeśli szwy znajdują się na zewnątrz, można uzyskać postrzępiony brzeg. Użyteczne może się okazać malowanie zakłócających wzorów. Tak, jak to jest w naturze, górne powierzchnie, takie jak tył kaptura, ramiona i plecy, mogą być o ton ciemniejsze niż przód. Czasem dobrze jest przeciąć wzór w poprzek pleców i nóg, ponieważ są najbardziej widoczne, kiedy leży się na ziemi[24].

Jeśli chodzi o wykorzystywanie terenów miejskich do snajperstwa, podpułkownik Armstrong zalecał przygotowanie pomieszczenia na najwyższym piętrze budynku. Chroniłoby to snajpera przed wrogiem wyposażonym w granaty ręczne:

> Powinien zająć pozycję w pomieszczeniu, które zapewni mu dobry widok z okna i ukośną linię ognia chronioną przez ścianę pomieszczenia. Jeśli nie można uzyskać dobrego widoku, stojąc na podłodze pokoju, snajper może wyciągnąć łóżko, krzesło lub stół, a do ochrony może wykorzystać materace, poduszki, meble itp.

Pozycja na krokwiach zburzonego domu lub za nasadą komina także zapewnia snajperom świetne ukrycie. W kolejnych rozdziałach książki Armstrong omawia obsługę i używanie celowników teleskopowych, snajperstwo w ataku, w obronie, a także w nocy, a ponadto zwiad, obserwację i sporządzanie szkiców topograficznych.

Nie był to jedyny podręcznik do nauki snajperstwa dostępny w czasie drugiej wojny światowej. Hesketh Vernon Hesketh-Prichard był badaczem i myśliwym (zwierzyna gruba), który w 1916 roku założył Szkołę Zwiadu, Obserwacji i Snajperstwa 1. Armii w Linghem w Pas de Calais. Całą swoją wiedzę zawarł w książce *Sniping in France*, wydanej w 1920 roku. John Buchan, autor bestsellerowych thrillerów, a następnie korespondent *Timesa*, wspierał Hesketha-Pricharda, a nawet zbierał pieniądze na jego szkołę snajperstwa.

Pionier brytyjskiego snajperstwa pierwszej wojny światowej, H.V. Hesketh-Prichard.

To właśnie Hesketh-Prichard wymyślił używanie atrap głów, aby oszukać snajperów wroga:

> Zastosowania tych głów były różne [wspominał]. Przede wszystkim dzięki nim wróg wystawiał się na strzał. Z kolei pokazanie dobrze zrobionych głów sikhów lub Gurkhów w różnych częściach linii mogło wywołać w niemieckim wywiadzie przekonanie, że nasze linie są obsadzone Hindusami. Nie mam żadnych wątpliwości, że Niemcy mieliby poważny kłopot z wyjaśnieniem takich ruchów[25].

Opisywał także szczegółowo, jak korzystać z atrap głów do śledzenia strzałów, patrząc przez dziury po kulach z przodu i z tyłu sztucznej głowy.

Wcześniej Hesketh-Prichard spotkał się z niechęcią wyższych oficerów dotyczącą utworzenia jego szkoły snajperstwa, ponieważ preferowali zmasowaną siłę ognia zamiast, jak to określali, „zbędnej dokładności”. „Ale ta wojna – sprzeciwiał się Hesketh-Prichard – była

w większości wojną specjalistów i wiele zmieniła, między innymi ujawniła wartość precyzyjnego strzału snajpera". Początkowo zadaniem brytyjskich snajperów w czasie drugiej wojny światowej było uzyskanie przewagi nad snajperami niemieckimi, osłabienie ich morale i zapewnienie bezpieczeństwa w okopach swoim kolegom. W późniejszym okresie wojny, kiedy siły brytyjskie przeszły do ataku, snajperzy byli wysuwani na przód, aby uniemożliwić działania wrogom podczas zajmowania przez własne siły nowo zdobytych pozycji. „Wielu snajperów zabijało codziennie 50 Niemców. Niezależnie od tego, czy działali w roli strzelca czy zwiadowcy, byli narażeni na większe niebezpieczeństwo niż ich koledzy – zwykli żołnierze"[26].

Anegdoty Hesketha-Pricharda zawarte w książce *Sniping in France* często opierały się na analogiach do polowania, a jeśli chodzi o znajdowanie wroga, autor zalecał użycie lunety zamiast lornetki polowej. „Każdy, kto próbował policzyć odrostki na porożu kozła, wie o tym" – konkludował.

Hesketh-Prichard zmarł w 1922 roku, ale jego rady inspirowały snajperów przez dwie kolejne dekady. Jednym z nich był kapitan Clifford Shore, instruktor snajperstwa, który widział działania w czasie operacji Overlord w roku 1944 i był autorem książki *With British Snipers to the Reich*, wydanej po raz pierwszy w 1948 roku. Shore nawiązywał do myślistwa Hesketha-Pricharda jako głównej inspiracji do szkolenia snajperskiego podczas drugiej wojny światowej. Tak jak Armstrong, Shore uznawał wyższość myśliwego-snajpera kierującego się intuicją nad wyszkolonym strzelcem, mówiąc, że instruktorzy snajperstwa mogą przytoczyć wiele przykładów „strzelców osiągających znakomite wyniki na strzelnicy, ale

niezdolnych uzyskać takich samych rezultatów
w przypadku żywych celów – ofiar, tak jeleni, jak i ludzi”.

Trener i teoretyk snajperstwa z okresu drugiej wojny światowej, kapitan C. Shore.

W większości Shore nie był zachwycony wykorzystaniem brytyjskich snajperów na polu walki i uważał, że można było brać ich pod uwagę raczej podczas tajnych misji:

> W czasie drugiej wojny światowej nie posiłkowano się wystarczająco snajperami, a pojedynczy snajper był wykorzystywany bardzo rzadko, jeśli w ogóle. Samotnych snajperów można było użyć do głębokiej penetracji, daleko poza liniami wroga. Jeśli się uwzględni odwagę, umiejętności walki, ostrożność, przebiegłość, pewność siebie i znakomitą celność – śmierć i strach, jakie taki człowiek mógłby szerzyć na tyłach wroga, są nieocenione[27].

Shore obawiał się, że w pierwszych miesiącach po zakończeniu drugiej wojny światowej w Europie samotni niemieccy snajperzy będą siać zamęt wśród alianckich

okupantów. „Na leśnych obszarach Niemiec człowiek znający teren jak własną kieszeń może dodać wiele skalpów do swojego totemu – ostrzegał – i wymknąć się z obławy”. Tylko podobnie myślący snajper brytyjski będzie w stanie go wyśledzić.

Był to właśnie ten rodzaj tajnych operacji snajperskich, które Kierownictwo Operacji Specjalnych miało na myśli, rozważając metody zabicia Hitlera w 1944 roku.

* * *

Aby zabić Hitlera, Kierownictwo Operacji Specjalnych postępowało zgodnie z radą podpułkownika Armstronga. Skoncentrowano się na poznaniu jego codziennych nawyków. Dzięki temu snajper mógł czekać na niego, tak jak myśliwy tropiący ofiarę. SOE skupiło się na porządku dnia Führera w jego ulubionej rezydencji – Berghofie – domu leżącym w pobliżu Berchtesgaden w Alpach Bawarskich. Dom stał na zboczu Obersalzbergu i przypominał przywódcy nazistów krajobrazy dzieciństwa w Austrii. Hitler twierdził, że to miejsce pobudza jego wyobraźnię i daje mu przestrzeń dla myśli. „Wszystkie ważne decyzje podjąłem na Obersalzbergu – wspominał. – To tu zdecydowałem o ofensywie w maju 1940 roku i o ataku na Rosję”[28].

Hitler uwielbiał zajęcia na dworze i najbardziej żałował, że kiedy został przywódcą Niemiec, nie mógł już zakładać krótkich spodni ze skóry i iść na wycieczkę. W początkach pobytu w Berghofie wyprawiał się do lasu z przyjaciółmi. Często spotykał innych turystów, chcących zobaczyć człowieka, który twierdził, że uratuje Niemcy. Im bliżej jednak było do przejęcia przez niego władzy w 1933 roku, coraz więcej ciekawskich przyjeżdżało do tej bawarskiej

siedziby, co w końcu stało się problemem z punktu widzenia bezpieczeństwa. Teren został kupiony, otoczony drutem kolczastym, a otaczający obszar podzielono na strefy bezpieczeństwa, stale patrolowane przez 20 000 funkcjonariuszy SS i żołnierzy. Podczas wojny Berghof stanowił drugą bazę Hitlera, obok Kancelarii Rzeszy.

Na potrzeby operacji Foxley Kierownictwo Operacji Specjalnych przeprowadziło szczegółowe badanie terenu wokół Berghofu, koncentrując się na geografii i klimacie. Większość terenu Obersalzbergu była mocno zalesiona i pagórkowata, co utrudniało ochronę, ale zapewniało dobre ukrycie dla snajpera. Wiadomo było, że w Berghofie stacjonuje elitarna jednostka strażników Hitlera – Oddział Eskorty Wodza (*SS Begleit-Kommando*). Strażnicy spali w sypialniach w tym samym domu i na tym samym piętrze co on. Nieopodal znajdowały się koszary żołnierzy SS Leibstandarte. Próba pozbawienia Führera życia w pobliżu któregoś z tych budynków byłaby samobójstwem.

Było jednak w ciągu dnia kilka momentów, w których Hitler odchodził od głównych zabudowań na zamkniętym terenie i szukał samotności. Właśnie wtedy samotny snajper opisany przez kapitana Shore'a – „ostrożny, przebiegły i pewny siebie" – mógł go dosięgnąć.

Informacje na temat codziennych zachowań Hitlera pochodziły od jeńców niemieckich przesłuchiwanych przez SOE. Jeden z nich należał do SS Wachkompanie Obersalzberg – jednostki wartowniczej, której członków rekrutowano z górskich oddziałów SS i żołnierzy Leibstandarte. Informatorzy twierdzili, że Hitler lubił długo spać, rzadko wstawał przed 10 rano. Po ogoleniu przez fryzjera albo szedł do herbaciarni Mooslahnerkopf na śniadanie, albo uczestniczył w konferencji. Spacer do herbaciarni zajmował mu 15–20 minut spokojnego marszu.

Najważniejsze jednak było, że chodził sam. Przy każdym końcu drogi znajdował się jeden strażnik SS, a jeden patrolował drogę, ale Hitler nie cierpiał go widywać. Gdy tak się stało, Hitler wrzeszczał: „Jeśli się boisz, idź i strzeż się sam”[29].

Kiedy przychodził do herbaciarni, podawano mu mleko i grzanki, po czym wracał do Berghofu. Prawdopodobnie dlatego, że czuł się bezpiecznie w okolicy Berghofu, Führer ignorował własne zalecenia dotyczące prowadzenia nieregularnego trybu życia, aby uniknąć ataku zabójcy. Krótki okres, kiedy nie życzył sobie bycia obserwowanym w lesie, zdawał się pierwszą szczeliną w pancerzu.
W propozycji SOE dotyczącej operacji Foxley osoby sporządzające plan naszkicowały możliwą misję zabójcy. Dwóch niezależnych snajperów powinno przeciąć ogrodzenie z drutu kolczastego wokół Berghofu i usytuować się 100–200 metrów od drogi Hitlera w pobliżu herbaciarni. Powinni być najwcześniej o 10.00, aby nie trafić na wcześniejszy patrol sprawdzający teren z psami.

Kierownictwo Operacji Specjalnych opisało sprzęt każdego snajpera: „Karabin snajperski Mauser, celownik teleskopowy (przenoszony w pokrowcu), wybuchające pociski w magazynku, nożyce do cięcia drutu (do wycięcia otworu w ogrodzeniu), granaty ręczne w chlebaku do ochrony i pomocy podczas wycofywania się”[30]. Mauser był to Karabiner 98k, karabin powtarzalny, krótsza wersja karabinu z pierwszej wojny światowej Mauser Gewehr 98. Podczas drugiej wojny światowej 98k był najczęściej używany przez piechotę niemiecką, a z dodaną lunetą Zeissa stał się popularną bronią snajperską.

Ciekawe, że ostatnie testy strzelania z karabinu Karabiner 98k z lunetą Zeissa o powiększeniu 1,5x wykazały, że był źle wyważony, miał słabą optykę i zapewne nie został

zaprojektowany jako wyposażenie snajpera, ale broń poprawiająca celność strzału żołnierzy piechoty[31].

Jednak najważniejsze w ocenie SOE było to, że karabin był niemiecki, a nie brytyjski. SOE nie miało zamiaru robić z Hitlera męczennika, zabijając go otwarcie. Zrzucenie winy za zabójstwo na siły wewnątrz armii niemieckiej mogło się powieść. Nieudany zamach bombowy na Hitlera w lipcu 1944 roku potwierdził istnienie niemieckiego ruchu oporu na najwyższym szczeblu i zapewnił dobrą przykrywkę dla brytyjskiej próby zamachu. SOE uważało, że najlepszymi wykonawcami takiej misji byliby Austriacy lub Bawarczycy nienawidzący Hitlera, ale brano także pod uwagę zagranicznych robotników, szczególnie Czechów i Polaków pracujących na budowach w strefie bezpieczeństwa Berghofu.

Taki zagraniczny agent powinien zostać wyposażony w mundur przygotowany na podstawie szczegółowych notatek o strojach noszonych przez różne grupy strażników Hitlera w Berghofie. Wykonawcy misji powinni być przeszkoleni w zakresie technik snajperstwa i sabotażu w Wielkiej Brytanii lub przez brytyjskich instruktorów przebywających za granicą, a następnie przetransportowani na Obersalzberg przez Salzburg. Po dotarciu na miejsce powinni skontaktować się z zagranicznymi robotnikami, którzy przeszmuglowaliby ich do Berghofu, lub, ubrani w mundury niemieckie, szukać możliwości przedostania się przez las i płoty otaczające rezydencję Hitlera.

Jeśli snajperowi nie uda się zabić Hitlera w herbaciarni, w lesie będzie gotowa jednostka zapasowa, mająca później przechwycić wodza w samochodzie wiozącym go do góry. W takim wypadku karabin snajperski się nie przyda. Człowiek wyposażony w granatnik PIAT lub bazookę

powinien wysadzić w powietrze samochód z pasażerami. Granatnik PIAT był zdumiewająco lekki, ale skuteczny – potrafił przebić 12-centymetrowy pancerz, taki, jakich używano do ochrony mercedesów Hitlera.

Dla Berghofu opracowano bardziej skomplikowane misje zabójstwa, a jedna z nich miała polegać na ataku powietrznym na zespół budynków w górach. Po ataku nisko lecących bombowców z samolotu wyskoczyliby komandosi SAS z zadaniem zabicia Hitlera. Takie rozwiązanie jednak musiałoby być znane wielu osobom i łatwo dałoby się wyśledzić jego angielskie korzenie. Zdecydowanie lepszym wariantem było użycie zagranicznego agenta z karabinem snajperskim.

W wersji operacji Foxley poza Berghofem rozważano zabicie Hitlera w jego ruchomej kwaterze głównej, pociągu specjalnym Amerika. Informacje dotyczące wnętrza pociągu pochodziły od stewarda, który w nim pracował. Według jego danych Hitler był strzeżony przez co najmniej 20 strażników, w tym przez elitarny Oddział Eskorty Wodza (*SS Begleit-Kommando*), żołnierzy z SS Leibstandarte oraz agentów Gestapo. Ci ludzie otaczali go, ilekroć wysiadał z pociągu. Należało zatem przerwać ten swoisty stalowy pierścień. Jedynym słabym jego punktem wydawały się szyny kolejowe w Klessheim, w pobliżu Berghofu. Na zwykłej stacji wykorzystywanej do obsługi pociągu Hitlera tory kolejowe były otoczone przez gęste lasy, które mogły dać dobrą ochronę snajperowi wyposażonemu w karabin o dużej prędkości. Mógłby zastrzelić Hitlera, gdy ten wychodziłby z wagonu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Główną przeszkodę w podjęciu takiej próby stanowili żołnierze batalionu Begleit, stacjonujący w pobliskim Schloss Klessheim. Ponieważ patrolowali tereny wokół torów, utrudniali zbliżenie się do nich snajpera. Pamiętając

o słabszych zabezpieczeniach w Austrii, SOE brało pod uwagę zbombardowanie torów. Wykolejenie pociągu będące skutkiem zniszczenia torów dawało większą szansę sukcesu.

Ostatecznie bieg zdarzeń był szybszy niż przeprowadzenie operacji Foxley. Nieprzerwany napór armii sowieckiej na froncie wschodnim wymagał stałej uwagi Hitlera. Odleciał on z Berghofu w połowie lipca 1944 roku do frontowej kwatery głównej – Wilczego Szańca – w Rastenburgu (Kętrzynie) w Prusach Wschodnich. Jego ludzie w Berghofie oczekiwali, że wróci na wakacje, ale tak się nie stało. Ledwie uniknąwszy wysadzenia w powietrze przez własnych generałów kilka dni później, w ostatnich miesiącach wojny Hitler spędził większość czasu w Rastenburgu, aż w końcu zbliżająca się armia sowiecka zmusiła go do ucieczki do Berlina. Wobec porzucenia przez niego Berghofu szczegółowe plany SOE dotyczące zabicia Hitlera przez snajpera były nieprzydatne.

Za autora raportu o operacji Foxley z ramienia SOE jest zwykle uważany major H.B. Court. Najnowsze badania jednak sugerują, że do zapisu nazwiska wkradła się literówka i że faktycznym autorem był major H.D. Court – Harold Darlington Court – inżynier wojskowy[32]. Major Court zdobył odpowiednie doświadczenie w Bułgarii podczas pierwszej wojny światowej, przy tworzeniu posterunków obserwacyjnych służących do wyszukiwania pozycji ogniowych wroga. Umiejętności szczegółowej obserwacji pola walki, których tam nabył, podobne do przedstawionych przez Armstronga w jego podręczniku snajperstwa dla Aldershot, mogą wyjaśniać, dlaczego wybrał snajpera jako jednego z najlepszych specjalistów wojskowych do zabicia Hitlera.

* * *

Pomimo ogromnej wyobraźni, jaka cechowała autorów planu operacji Foxley, i planowanej głównej roli snajpera trudno nie zgodzić się z kapitanem Cliffordem Shore'em, że brytyjscy snajperzy nie byli wystarczająco wykorzystani do działań przeciw dowódcom wroga. Ostatecznie ani brytyjscy snajperzy, ani zagraniczni agenci wyszkoleni na snajperów przez Anglików nie zostali potajemnie wysłani, aby zabić wodza nazistów. Jednocześnie po zamachu, jakiego dokonali przeszkoleni przez Anglików zabójcy w 1942 roku na protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha, spadły na obywateli Czech straszne represje. Być może z tego powodu chciano zaniechania kolejnych takich działań w początkowych latach wojny. Z pewnością w 1944 roku Anglicy mogli być przekonani, że Hitler i jego generałowie robią sami wystarczająco wiele, aby przegrać wojnę, nie ma zatem większego sensu przyspieszanie ich końca kulą snajpera.

Rozdział 5

JAPOŃSKI SNAJPER
Długa droga do krótkiego życia

Cuchnące połączenie woni gnijących orzechów kokosowych, śmierdzącej dżungli i rozkładających się szczątków ludzkich oraz odoru własnego ciała atakuje jego zmysł węchu, w miarę jak wspina się do górnych gałęzi wysokiej palmy kokosowej. Używając liny i bloczka, jego przyjaciel wciąga go w górę do kryjówki. Gdy lina jest już bezpiecznie przywiązana do pnia drzewa, ich wzrok spotyka się na krótko. Obaj dobrze wiedzą, co się niebawem stanie. Odwrócony plecami do Takiego, spojrzawszy za siebie, jego przyjaciel oddala się, powłócząc nogami, w kierunku szalupy ratunkowej na plaży.

Kapral Cesarskiej Armii Japońskiej, Taki Nakamura[33], zdaje sobie sprawę, że może to być jego ostatnia wspinaczka na tę palmę na Guadalcanal na Wyspach Salomona. Ale ponieść śmierć dla cesarza to honor. Zwłaszcza że wstępując do armii japońskiej, stał się przecież własnością cesarza, a zgodnie z kodeksem *Bushido*, którego go uczono, oddanie życia za cesarza jest chwalebne. I chociaż od czasu do czasu ogarnia go fala wątpliwości połączonych z lękiem, gotów jest wypełnić misję. Ma zaledwie 22 lata i służy Cesarstwu od 2 lat, kiedy to został oficjalnie powołany do armii tuż po swoich 20 urodzinach, na początku 1940 roku.

Jest już na żerdzi, którą umieścił tu cztery dni temu. Wie, że będzie siedział cicho w tej kryjówce na wierzchołku drzewa, osłaniany jedynie dojrzewającymi orzechami kokosowymi, liśćmi palmy i tym, co jego przyjaciele

żartobliwie nazywają koszulą z włosia – siatką kamuflażową, która zawiera fragmenty skorup orzechów i liści palmowych. Jego karabin jest zabezpieczony i naładowany, a on będzie czekał, aż się nadarzy okazja spotkania wroga. W czasie tego oczekiwania będzie się obficie pocił. Dyzenteria, która go opanowuje, nie pozwala jelitom odpocząć i szybkie załatwianie nagłej potrzeby staje się jego drugą naturą. Ale ponieważ jest w swojej kryjówce na drzewie, musi przestrzegać samodyscypliny, której uczono go w japońskiej armii.

Tropikalny upał na Południowym Pacyfiku maleje tylko podczas ulewnych deszczy, które nieuchronnie nadciągają, gdy atmosfera nie może już utrzymać ciężaru wilgoci wyparowanej z otaczających mórz. To właśnie ta wilgoć, a nie upał, powoduje, że pot z jego niedożywionego ciała (nie jadł właściwego posiłku prawie od czterech miesięcy) spływa po plecach między łopatkami, aż do pasa. Tam zatrzymuje się na pasie wojskowym, zapiętym na sprzączkę. Teraz wisi on luźno, chociaż w dniu, w którym Taki przybył na wyspę, był ściśle dopasowany. Rdzewiejący już karabin Arisaka, z zamontowanym na lewo od komory zamkowej celownikiem o 2,5-krotnym powiększeniu, wisi na rzemiennym pasku przerzuconym przez pierś i plecy Takiego, podczas gdy jego przyjaciel podciąga go w górę, ku rozchylającym się liściom palmy.

Z logicznego punktu widzenia powinien być już martwy jako ofiara niezliczonych szeregów amerykańskich Marines, z ich tonami materiałów, z którymi przybywali na brzeg w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. On jednak przetrwał dzięki dobremu wyszkoleniu w swoim rzemiośle. Jako zwiadowca przydzielony pierwotnie do 28 Pułku 7 Armii w każdej akcji zawsze był na pierwszej linii frontu. Przetrwał liczne bitwy z wrogiem i ma rany, które mu o tym

przypominają. Teraz, gdy jego własne wojska znajdują się na statkach, które oswobodzą je z tego piekła na wyspie, nie jest już na froncie, a na końcu ostatniej straży tylnej. To paskudny przydział, ale służba jest sprawą nadrzędną. Czuje się zaszczycony, że na ochotnika zgłosił się do wykonania tego zadania. Gdy dociera do swego miejsca pośród palmowych liści, chociaż próbuje, nie może zapomnieć swych przyjaciół, którzy wcześniej zginęli na tym śmierdzącym skrawku lądu pośród oceanu. To straszne miejsce na śmierć.

W końcu, siedząc w kryjówce na drzewie palmowym i czekając na wroga, zastanawia się, czy jego rodzina dowie się kiedykolwiek o jego losie. To pytanie odbija się rykoszetem w jego umyśle: jak znalazł się w tym czasie i miejscu w swoim życiu?

* * *

Szkolenie podstawowe trwało sześć miesięcy (włączając w to indoktrynację), chociaż Takiemu wydawało się, że znacznie dłużej. Po wstępnej pracy nad kondycją fizyczną poprzez męczące treningi, biegi, marsze i naukę sztuk walki wszyscy rekruci przeszli przez naukę walki bagnetem. Kodeks *Bushido* wymagał, by prawdziwy wojownik atakował bezustannie, a dzięki wyższości swego ducha, woli zwycięstwa i zaciętości pokonywał wroga twarzą w twarz. Żołnierze odbywali ćwiczenia praktyczne z naciskiem na taktykę oddziałów, forsowne marsze w trudnych warunkach, musztrę bojową, strzelanie. Następnie zgłębiali *Senjinkun*, kodeks wojownika. Takiego uczono od początku trzeciego roku szkoły, że los armii to los cesarstwa i cesarza. Cokolwiek żołnierz robi, robi to dla cesarza – bóstwa. Obowiązywało motto z Reskryptu Cesarstwa:

> Jeśli każdy z was wypełni swe obowiązki i będąc jednością z nami w duchu, uczyni wszystko, by chronić kraj, nasz lud długo będzie się cieszył błogosławieństwem pokoju, a potęga i godność imperium będą znane na całym świecie.

Religia państwowa – szintoizm, będący fuzją konfucjanizmu, zen i buddyzmu – wspierała taką postawę, akcentując ducha walki, samopoświęcenie, lojalność, sprawiedliwość, obawę przed splamieniem honoru, uprzejme zachowanie, skromność, umiarkowanie i honor. Honor ceniony był bardziej niż życie[34]. Te zasady nie miały zastosowania u wroga. Taki studiował je po godzinach, gdy przebywał w koszarach.

Dla Takiego życie w koszarach nie różniło się szczególnie od życia w cywilu. Podporządkowanie się, ślepe posłuszeństwo i życie w tłumnej gromadzie znał już z przeszłości. Jako nowy rekrut znalazł się na samym dole hierarchii i każdy, kto był wcielony do wojska wcześniej, mógł go w dowolnej chwili ukarać. Stale przypominano mu, że wart jest mniej niż grosz, a już na pewno dużo mniej niż dobry koń artyleryjski. Zrozumiał więc szybko i na zawsze, że jedynym jego celem w życiu jest służyć. Ten system starszeństwa daleko wykraczał poza system rang.

Taki szybko zrozumiał, że w obrębie koszar żołnierze sami podzielili się na kategorie. Ci o stażu służby krótszym niż trzy miesiące stanowili kategorię najniższą. Natomiast ci, którzy mieli staż sześciomiesięczny, dokonali dalszego podziału w swych szeregach – na tych, którzy już zostali promowani, i tych, którzy jeszcze nie dostąpili tego zaszczytu. Starsi żołnierze przyjmowali status podoficerów, gdy ci byli nieobecni, i często zmuszali młodszych żołnierzy, by czyścili ich sprzęt, podawali im posiłki, biegali na posyłki i wykonywali inne poniżające obowiązki. Starszeństwo lub

czas służby stały się równie ważne co oficjalna hierarchia, jeśli nie ważniejsze. Termin, którym opisywano staż w mundurze, to *menko* (dosłownie: drewniana taca, na której serwowano posiłki). Sugerował on liczbę posiłków skonsumowanych od momentu wcielenia do służby. *Menko* w tej armii znaczyło więcej niż ranga wojskowa, dlatego dla przeciętnego żołnierza życie w koszarach było autentyczną próbą wytrzymałości[35].

Podoficerowie stosowali surowe kary – wbrew zakazowi w Reskrypcie Cesarstwa, w którym napisano:

> [...] Przełożonym nie wolno traktować swych podwładnych z pogardą czy arogancją. Z wyjątkiem sytuacji, w których służba wymaga, by być srogim i surowym, przełożeni powinni traktować podwładnych z szacunkiem, uprzejmością godną szefa, tak by żołnierze wszystkich rang jednoczyli się w służbie dla cesarza[36].

Podoficerowie nagminnie nie przestrzegali tej zasady, co być może wynikało z tego, iż sekcja szkoleniowa szczególnie przyciągała tych o sadystycznych inklinacjach. Typowe nadużycia polegały na biciu rekruta w twarz bez powodu lub za mierne wykonywanie obowiązków. W sytuacjach ekstremalnych podoficerowie używali bambusowych kijów, krótkich pałek, pasów służbowych lub nawet kolb karabinów, by wymierzać razy. Podeszwy kapci (jednego rodzaju), wykonane ze znoszonych już kamaszy, które wciąż były podkute, używane były do uderzania rekrutów w twarz. Pozostawiały często cięcia, siniaki i trwałe blizny[37].

Cykl szkoleniowy Takiego postępował według dość konkretnego wzoru, dostosowanego do pory roku. Ponieważ nowi poborowi wcielani byli na początku stycznia każdego

roku, aż do maja program składał się ze szkolenia w jednostce, ćwiczeń z bronią i strzelania do celu. W lutym odbywano pięciodniowy marsz z biwakiem co noc, by wyrobić w oddziałach wytrzymałość na zimną pogodę. W czerwcu i lipcu więcej czasu poświęcano na strzelanie do celu oraz ćwiczenia z bagnetami, w plutonach i kompaniach. Codzienne 32-kilometrowe marsze w upale były rzeczą powszechną. Miały przyzwyczaić żołnierzy do gorąca. W sierpniu ćwiczenia wysiłkowe w batalionach i kompaniach splatały się z ćwiczeniami w terenie, strzelaniem bojowym, ćwiczeniami na poligonie, pływaniem i – jak zwykle – jeszcze większym natężeniem ćwiczeń z walki na bagnety. Długość forsownych marszy zwiększano do 40 kilometrów dziennie w nierównym terenie, by doprowadzić maszerujących do kresu wytrzymałości. Na końcu cyklu treningowego, w październiku i listopadzie, uczono działania w ramach batalionu i pułku oraz powracano do strzelania bojowego. Zwieńczeniem szkolenia były jesienne manewry – w tych grach wojennych brało udział nawet kilka dywizji[38].

Ofensywne nastawienie w połączeniu z organizacją strzelania podstawowego w oddziałach o liczebności plutonu (włączając w to strzelców, karabiny maszynowe i moździerze) oznaczało, iż preferowaną taktyką wobec wroga był raczej zmasowany ostrzał przez nieduży oddział niż przez pojedynczych strzelców. To z kolei powodowało, że szkolenie dla strzelców koncentrowało się raczej na intensywności, a nie na precyzji. Czynnikiem komplikującym szkolenie był fakt, iż do 1941 roku dopuszczano dość liberalne korzystanie z amunicji, lecz od 7 grudnia 1941 roku, z oczywistych powodów, zasoby dostępne w trakcie szkolenia były mniejsze. Strzelcy wyborowi trenowali w większości strzelanie na odległość

285 metrów, ale szybko stało się jasne, że w warunkach tropikalnej dżungli strzelanie na duże odległości jest nieskuteczne. Zatem z powodu ograniczonej dostawy amunicji oraz uświadomienia sobie warunków bojowych panujących w dżungli – głównym celem szkolenia było teraz raczej samo dbanie o karabin niż strzelanie na dalekie odległości.

Bronią Takiego był standardowy karabin Arisaka, wzór 38, z zamkiem powtarzalnym. Zastosowany mechanizm typu Mauser wystrzeliwał pociski 6,5 x 50 milimetrów (kaliber .256) i był ładowany pięcionabojowym magazynkiem. Karabin miał długość około 1280 milimetrów, ważył 3,95 kilograma i był wyposażony w lufę długości 800 milimetrów. Był to najdłuższy karabin japoński z uwagi na nacisk na walkę na bagnety. Kiedy dołączono do niego bagnet wzór 30 o długości 400 milimetrów, łącznie od trzewika kolby do czubka ostrza bagnetu mierzył 1680 milimetrów, podczas gdy wzrost przeciętnego japońskiego żołnierza wynosił 1600 milimetrów[39].

Ponieważ Taki był na strzelnicy lepszy od innych, wybrano go na dodatkowe szkolenie jako zwiadowcę. Zwiadowcy przydzielono karabin Arisaka typ 97, 6,5 x 50 milimetrów. Miał on zamocowaną na lewo od komory zamka lunetę o mocy 2,5 i skierowany w dół uchwyt zamka, by odsłonić celownik w trakcie ponownego ładowania nabojów. Luneta miała 10-stopniowe pole widzenia. Była funkcjonalna, lecz nie posiadała siatki (linii znajdujących się celowniku optycznym, które umożliwiają celowanie w punkty inne niż ustawiony). Wymagała od strzelca ręcznego ustawiania celownika przy większych dystansach. W całości karabin ważył 4,45 kg[40]. W późniejszych stadiach wojny pojawił się karabin typu 99, strzelający cięższymi nabojami, 7,7 x 58 milimetrów (kaliber .303). Okazał się on skuteczniejszy

w przebijaniu się przez poszycie dżungli w drodze do celu. Zasięg tego późniejszego karabinu mógł być dostosowywany ręcznie. Taki słyszał o nim, ale nigdy tego cięższego karabinu nie widział.

Taki wraz z innymi żołnierzami ze swojej grupy był uczony, że ich misję stanowi – zaczynając od zadania najważniejszego:

- zabicie lub pojmanie wroga – zwłaszcza dowódców jednostek lub snajperów,
- neutralizacja lub uszkodzenie wrogich instalacji, które mogłyby utrudnić wykonanie misji przez oddziały japońskie,
- zniszczenie broni ciężkiej wroga oraz obsługującego ją personelu,
- skuteczne radzenie sobie z nadarzającymi się przypadkowo w strefie działań celami.

Taki nauczył się wzrokowo oceniać odległość. Instruktorzy umieszczali obiekty w określonych odległościach od 200 do 600 metrów, które następnie musiał oszacować wyłącznie za pomocą wzroku[41]. Razem z kolegami spędzali całe godziny, mierząc krokami odległość od celów. Żeby poznać różnice w postrzeganiu obrazu odległego o 200 metrów w płaskim terenie i odległego o 200 metrów pod górę i w dół w listowiu dżungli, przemierzali pieszo wiele kilometrów. Precyzja w ocenianiu odległości i strzelaniu stały się kluczowym punktem szkoleniowego reżimu[42].

Taki pamięta, że po wyćwiczeniu precyzyjnego strzelania na strzelnicy oraz oceniania odległości nacisk szkolenia został przeniesiony na naukę ukrywania się i kamuflażu. Przy pierwszym typie misji – polagającym na zabiciu lub pojmaniu wroga, a następnie złożeniu raportu dowódcom

jednostek – konieczne stało się rozstawienie zwiadowców na flankach stanowisk broni automatycznej oraz osłanianie skrzydeł każdej jednostki. Zwiadowcy stanowili system wczesnego ostrzegania przed grożącym atakiem wroga bądź sygnalizowali słabe punkty w jego obronie. Mogli również wypełnić swoją drugą misję – jako snajperzy.

Zestaw snajperski Takiego był tak zaprojektowany, by uczynić go jak najbardziej skutecznym. Zawierał maskę gazową, kombinację siatki ochronnej przeciwko komarom i kaptura kamuflażowego (chroniącego głowę i ramiona), zieloną siatkę kamuflującą tors, zwój liny, mały woreczek ryżu, niewielką paczkę sucharów, 250 gramów twardych cukierków, kilka puszek koncentratów żywności, małą puszkę kawy, tabletki witaminowe, puszkę tabletek chloru do uzdatniania wody, menażkę i zestaw sztućców, antidotum na gaz musztardowy, tabletki chininy, bandaże, skarpety, szczoteczkę do zębów, latarkę i zestaw środków medycznych zapakowanych w koszyczki wiklinowe. Wszystko to miało pomóc w przeżyciu w odległym miejscu przez okres od dwóch tygodni do jednego miesiąca przy założeniu, że w okolicy uda się zdobyć zaledwie minimum pożywienia i wody[43].

Mistrzowie kamuflażu, snajperzy japońscy, często ukrywali głowę pod siatką przeciw komarom, a ramiona pod uplecionymi włóknami z liści palmowych, by zniknąć wśród drzew.

Znaczną ilość czasu i wysiłku poświęcono w szkoleniu na właściwe rozpoznawanie rodzimych roślin i wykorzystanie ich w siatkach kamuflażowych, przydzielonych wszystkim żołnierzom piechoty. Liście powinny być dostosowane do lokalnej roślinności, tak by strzelec mógł wtopić się w otoczenie. Taki nauczył się, że w pewnych przypadkach specjalne zielone umundurowanie i farby do twarzy mogą udoskonalić kamuflaż w strefie pomiędzy dolną warstwą roślinności dżungli a jej sklepieniem. Pomimo że zwiadowcy nie byli specjalnie szkoleni pod kątem wykorzystywania (bądź *niewykorzystywania*) wierzchołków drzew jako kryjówek, niektórzy z nich, w tym również Taki, korzystali z drzew, ponieważ ich wysokość pozwalała uzyskać lepsze pole widzenia.

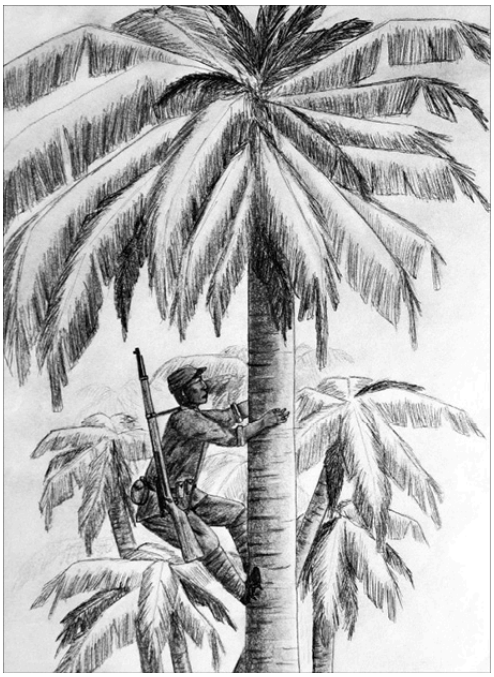

Żeby wspiąć się na drzewo palmowe, japońscy snajperzy przywiązywali do stóp specjalne kolce.

Dzięki bezdymnemu ładunkowi prochowemu i małemu rozbłyskowi z wylotu długiej lufy karabinu Arisaka zwiadowca był praktycznie niewidzialny, namierzając i eliminując różne cele z tej samej kryjówki. I odwrotnie, wiedział, że większość, jeśli nie cała broń armii sprzymierzonych cechuje się jasnym rozbłyskiem z wylotu lufy i towarzyszącym mu dymem przy każdym wystrzelonym pocisku. Był to ten niewielki szczegół, który pozwalał jego kolegom zwiadowcom skutecznie namierzać i zabijać dowódców oraz żołnierzy obsługujących taką broń. Taki pracował ciężko, by przyswoić sobie każdy aspekt szkolenia, traktując je bardzo poważnie. Wiedział, że wkrótce będzie walczył. Nie wiedział tylko, gdzie i kiedy.

Na początku 1942 roku, po ukończeniu szkolenia, Taki został przydzielony do piechoty w 28. Pułku 7. Dywizji. Należał do sił zaokrętowanych w Guam, z rozkazem zajęcia wyspy Midway. Jako piechur był przeszkolony w okrążaniu

i niszczeniu wroga, a nie tylko w okupowaniu zajętych posterunków. Życie w garnizonie obfitowało w doskwierającą nudę służb wartowniczych, obserwacji wybrzeża i nieskończonych codziennych musztr na wypadek nalotu powietrznego albo odpierania desantu z morza. Choć jednak japońskie dowództwo naczelne przewidywało, że Midway może się stać najdalej wysuniętym na wschód punktem wpływów Azji Wschodniej, miażdżąca czerwcowa klęska floty cesarstwa w pobliżu tego miejsca podyktowała zmianę planów dla 28. Pułku. Statki wiozące oddziały zostały zawrócone do Guam, by potem w trakcie podróży znów zmienić kierunek.

W przedziałach z kojami na sześciu niszczycielach transportujących pułk, zapanowało wśród żołnierzy ogromne rozczarowanie. Dowiedzieli się, że są przydzieleni do dowództwa 17. Armii, stacjonującej w Truk na Wyspach Karolińskich, celu ich podróży. Według marynarzy, którzy mieli dostęp do informacji radiowych, niewyobrażalne stało się rzeczywistością. Japonia spotkała się z kontratakiem na jednej z wysp Archipelagu Salomona.

Wojska amerykańskie wylądowały na Guadalcanal, na Wyspach Salomona, 7 sierpnia, w czasie gdy saperzy armii cesarskiej, przy wsparciu lokalnych robotników, kończyli pas startowy. Początkowo wyspa miała być kluczową lokalizacją dla japońskich lotników. Kiedy nastąpiło lądowanie wroga, saperzy i wielu zwerbowanych robotników uciekło do dżungli, otaczającej prawie ukończoną płytę lotniska. Zanim uciekli, poinformowali armię o lądowaniu, czym wywołali ogromną dyskusję wśród starszych oficerów. Spomiędzy informacji planistów w sztabie armii i sprzecznych z nimi danych napływających z raportów wywiadu wyłoniły się dwie kompletnie różne oceny sytuacji:

(1) Wojska wroga znajdowały się na Guadalcanal, ale w ograniczonej sile; w istocie miał to być silny patrol. Zwolennicy tej wersji byli pewni, że nieliczne oddziały zakłóciły budowę pasa startowego, po czym opuszczą wyspę, nie konfrontując się z armią cesarską.

(2) Wróg znajdował się na wyspie w sile przynajmniej pułku wojska i zamierzał opanować ją całą w celu korzystania z pasa startowego jako bazy do ataków na japońską flotę i inne pobliskie wyspy będące w japońskim władaniu.

Tego wszystkiego jednak Taki nie wiedział, ponieważ odbywało się to na wysokich szczeblach dowodzenia. W końcu opinia zakładająca niewielką siłę oddziałów wroga na Guadalcanal przeważyła i taką informację przekazano poprzez odpowiednie szczeble dowodzenia aż do pułkownika Ichikiego, dowódcy 28. Pułku Piechoty. Po przejrzeniu planów odbicia wyspy Ichiki w zaufaniu przysiągł swoim przełożonym, że ponownie przejmie kontrolę nad lotniskiem na drugi dzień po lądowaniu[44].

Ludzie pułkownika Ichikiego czuli się zaszczyceni, że są pod jego komendą. Wyrobił sobie opinię agresywnego, zuchwałego i odważnego dowódcy. Wiele osób uważało, że to on osobiście rozpoczął wojnę z Chinami podczas konfrontacji pod mostem Marco Polo w Wanping w 1937 roku. W późniejszej akcji przeciwko Rosjanom w Mandżurii dał się poznać jako młody, asertywny dowódca kompanii i taką reputacją cieszył się w swej dalszej karierze. Nie została ona przeoczona przez jego przełożonych, kiedy poszukiwali dowódców pułków[45]. Taki był dumny, że jest strzelcem 4. Kompanii 2. Batalionu 28. Pułku – i to strzelcem wyborowym. Desant na Guadalcanal 19 sierpnia

zapisał się w pamięci Takiego jako dzień, w którym stał się wojownikiem.

Doniesienia wywiadu dostarczone Ichikiemu wskazywały jedynie na niewielkie siły wroga, które zmierzą się z jego żołnierzami. Ichiki 15 sierpnia rozkazał, by 3000 żołnierzy zaokrętowanych na sześciu niszczycielach w Truk dokonało nocnego desantu na cypel Taivu na Guadalcanal, w odległości około 35 kilometrów na wschód od miejsca obozowania wroga wokół pasa startowego. Jak później uzasadniał, nie potrzebowałby całego pułku, gdyby siły, z którymi się starł, były rzeczywiście niewielkie. Po wypłynięciu z Guadalcanal rozkazał 917 żołnierzom (około 1/3 pułku) dokonać cichego desantu na plażach. Ta wydzielona grupa składała się z 2. Batalionu 28. Pułku Piechoty z działami i saperami. Znani jako „oddział Ichikiego” mieli pozostać na plaży, zanim wyląduje reszta pułku. Zadaniem całego pułku było, już po połączeniu sił, odbicie lotniska i wyparcie aliantów z wyspy. Jeśli nie udałoby się wyprzeć wroga z wyspy lub go unicestwić, oddział Ichikiego zająłby pozycję w pobliżu lotniska i nocnymi atakami powstrzymywał prace nad jego budową.

Z desantem oddziału Ichikiego połączono manewr niewielkiego, 250-osobowego Specjalnego Oddziału Desantu Morskiego. Miał on przejść wybrzeżem w kierunku Kokumbona, około 14 kilometrów na zachód od pasa startowego, by odwrócić uwagę nieprzyjaciela od głównego desantu. Taki wiedział, że byli to marynarze wyszkoleni w taktyce piechoty i mający jeszcze inne zadania oprócz przydzielonych im przez armię lądową.

Taki czuł, że będzie to szybkie zwycięstwo, ponieważ oddziałom atakującym polecono zabrać ze sobą tylko po 250 nabojów i siedmiodniowy zapas żywności bez plecaków polowych. Był szczególnie zadowolony, że nie będzie

obładowany 20-kilogramowym plecakiem w ogniu walki. A teraz, stojąc w ciemności przy poręczy statku, słyszał jedynie odgłos pracujących przy zamkach swoich karabinów żołnierzy i głuche skrzypienie skórzanych ładownic nad lekko wzburzonym morzem. Powietrze, nawet o tej godzinie, było wilgotne i gorące. Przypomniał sobie łaźnie parowe w swoim rodzinnym mieście – ale tylko na chwilę. Rozkazy, żeby zgłosić się do zejścia na ląd, przerwały tę zadumę.

Był 19 sierpnia 1942 roku, godzina 1.00 w nocy, kiedy Taki wraz ze swoim oddziałem stanął na rampie, oczekując na swoją kolej zejścia po siatce z lin do małej szalupy, którą miał dopłynąć do brzegu. Po dwukrotnym sprawdzeniu sprzętu i ostatnim poruszeniu ramionami, mającym go upewnić, że karabin jest dobrze przytrzymywany na rzemiennym pasku, wspiął się ponad poręczą i opuścił po siatce z lin w dół do czekającej szalupy, wznoszącej się i opadającej lekko tuż pod nim. Postępując zgodnie z zaleceniem ze szkoleniem, poczekał, aż szalupa wzniesie się na fali, zanim przeniósł stopę z siatki na górną część burty łodzi, po czym zszedł na jej pokład. Ostatni żołnierz zszedł już do szalupy. Nadszedł czas jego chrztu bojowego.

Gdy łódź kierowana przez sternika oddalała się od niszczyciela, Taki przyglądał się uważnie mężczyznom na pokładzie. Dojrzał emocje wyryte na ich twarzach. On sam drżał ze strachu i czuł się, jakby miał zwymiotować lub zemdleć. Ale świadomość, że inni czują się podobnie, sprawiła, że trochę mu ulżyło. Kiedy silnik łodzi zaskoczył, a jej dziób zwrócił się w stronę portu i skierował ku wyspie, zdołał podnieść głowę na tyle wysoko, by dostrzec linię brzegu. Wytężył wzrok, ale w ciemnościach przed sobą widział tylko szeroki pas plaży i zarys drzew palmowych. Poza drzewami była już tylko czarna głębia dżungli. Nie

mieli żadnych map wyspy. Zatem mimo iż wyszkolony jako zwiadowca umiał świetnie czytać mapy i znajdować drogę przy użyciu kompasu, przydatność tych umiejętności była tutaj wątpliwa.

Drewniana szalupa wśliznęła się na brzeg plaży, jej dziób podniósł się lekko przy przechyle spowodowanym gwałtownym zatrzymaniem, silnik pracował jeszcze chwilę na wolnych obrotach, a potem zapadła cisza. Jedynie fale uderzające o brzeg wydawały teraz jakikolwiek dźwięk. Na rozkaz podoficera żołnierze powstali i zaczęli się gramolić przez burtę, opuszczać szalupę, zeskakując na miękki, wilgotny piasek plaży. Obawiając się wykrycia przez zwiadowców wroga, oddział szybko przeszedł przez plażę i zgromadził się pod osłoną palm i namorzynów, wytyczających skraj dżungli[46].

Spodziewali się pewnego oporu. Kiedy wyskoczyli ze swoich łodzi desantowych, ku zdziwieniu, ale i uldze Takiego plaża była pusta. Wciąż uważając, że wyspa będzie się choćby minimalnie bronić, pułkownik Ichiki, który zawsze dowodził na pierwszej linii frontu, rozkazał postawić tylną straż ze 125 żołnierzy w miejscu lądowania na plaży. Taki był zadowolony, że nie zasili jej szeregów, i z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której odda cześć Japonii swoim męstwem. Nieznane oddziałowi Ichikiego decyzje dowództwa, na których oparto plan ataku, podjęte zostały w oparciu o słaby wywiad bazujący na błędnych ocenach japońskich urzędników. Plany te miały przynieść przerażające rezultaty.

Nie 2000, jak donosił wywiad, a 11 000 amerykańskich Marines wiedziało o ich desancie. Punkty nasłuchu wyłapały odgłosy turbin przepływających niszczycieli. Amerykańscy dowódcy zostali o tym natychmiast powiadomieni, a Marines szybko zajęli stanowiska obronne

w głębi wyspy, tam, gdzie – jak sądzili – utworzenie przez Japończyków przyczółka desantowego wydawało się najbardziej logiczne. Tym miejscem była laguna, którą miejscowi nazywali Alligator Creek, „Potokiem Aligatora". Przewidywania obrońców okazały się trafne, budowa stanowisk stała się więc priorytetem.

Pułkownik Ichiki wydał oddziałowi rozkaz marszu na zachód wzdłuż wybrzeża pod osłoną nocy. O 6.30, po przejściu 14 kilometrów plażą, rozkazał żołnierzom skryć się na obrzeżu dżungli, żeby odpocząć i uniknąć wykrycia z powietrza. Podczas nocnego marszu dał się słyszeć ostrzał niesiony po wodzie echem od strony wyspy Tulagi w kierunku na północ, ale dla Takiego nie było jasne, kto strzelał i do jakiego celu[47].

Wczesną porą 20 sierpnia Ichiki polecił kapitanowi Shibuya zebranie 38 żołnierzy i wysłanie patrolu dalej na zachód w celu zorganizowania stanowiska łącznościowego przy Potoku Aligatora[48]. W rzeczywistości nie był to potok, a raczej strumień pływowy, w którym woda płynęła tylko w porze deszczowej lub w czasie dużych przypływów. A gady zamieszkujące ten teren nie były aligatorami, lecz krokodylami, co dla osoby, która znalazła się w wodzie w pobliżu jakiejś większej sztuki, stanowiło istotną różnicę. Laguna, szeroka na około 30 metrów, znajdowała się za wysoką, 30-metrową piaszczystą łachą rozpościerającą się na całej swej długości na szerokość od 10 do 15 metrów. Była ona wyższa od strony wyspy niż od strony morza. Wyglądała jak fosa zamku, ale bez żadnej budowli wewnątrz.

Guadalcanal. Martwi Japończycy na plaży po bitwie nad Alligator Creek (Potokiem Aligatora) ujścia rzeki Tenaru, 20–21 sierpnia 1942 roku.

Taki został zgłoszony „na ochotnika” przez dowódcę swojej grupy do patrolu, którym dowodził kapitan Shibuya, w charakterze zwiadowcy. Nie spotkał wcześniej nieprzyjaciela, ale czuł się zaszczycony, że znajdzie się na szpicy patrolu. Kapitan Shibuya rozkazał im maszerować przez dżunglę, by uniknąć rozpoznania z powietrza. Przedzierając się przez dżunglę, 50 metrów przed resztą oddziału, wycinając sobie bagnetem drogę w gęstym poszyciu, Taki wytężał zmysły. Przebijanie się przez dżunglę było najtrudniejszym sposobem posuwania się naprzód. Szedł wolno i ostrożnie przed siebie. W pewnym momencie wydało mu się, że dostrzegł tubylca umykającego przez krzaki. Ale lokalni mieszkańcy nie stanowili przecież zagrożenia dla wojskowego patrolu. Myśl, że tubylec może dać znać wrogowi o przemieszczającym się patrolu, nie przyszła mu nawet do głowy.

Gdy maszerowali przez gęstą, gnijącą masę zieleni, rozległ się dźwięk karabinów i broni automatycznej. Patrol został nagle zaatakowany z przodu. Upadłszy plackiem za pniem palmy, Taki zdjął z ramienia swój karabin Arisaka, odwiódł zamek, by załadować 6,5-milimetrowy nabój do komory, i ostrożnie oparł wylot lufy o występ u podstawy palmy. Jego ubiór ochronny z siatką maskującą hełm utrudniał wrogowi wykrycie jego stanowiska. Przez sekundę zastanawiał się, czy ma w swojej siatce wystarczająco dużo listowia. Serce biło mu tak głośno, że bał się, iż wróg może to usłyszeć. Próbowali go zabić!

Patrol natknął się na silnego przeciwnika. Taki nie myślał i niczego nie czuł; wydawało się, że jego ciało porusza się prawie instynktownie w wyniku treningu, jaki przeszedł w ciągu ostatnich dwóch lat. Z jednej strony, ponaddźwiękowy trzask kul przelatujących nad głową sprawiał, że chciał się zakopać jeszcze głębiej w cuchnącym poszyciu dżungli. Z drugiej zaś, jakby wyłączony z realnej rzeczywistości, chciał walczyć. W końcu zebrał się na odwagę, by wycelować w ledwo widoczny w zieleni hełm, 60 metrów przed nim.

Nieświadomie odtwarzając szkolenie strzeleckie, ustawił właściwie muszkę. Hełm wroga usadowił się na szczycie muszki. Taki wycentrował szczerbinkę; lekko nabrał powietrza, po czym wypuścił część powietrza i jednocześnie nacisnął zdecydowanie spust pierwszym stawem palca wskazującego. Spust zadziałał, a odczucie oporu dało o sobie głośno znać u wylotu lufy. Odrzut karabinu wstrząsnął nim i przywrócił świadomość tego, co się dzieje wokół. Hełm widoczny w zasięgu wzroku szarpnął do tyłu, gdy cel runął w dół. Po raz pierwszy zabił.

Poczuł, że ogień z frontu zelżał, ale strzały dochodziły teraz z południa, z lewej flanki. Patrol był oskrzydlany!

Niepewni, w którą stronę skierować ogień, dostali się w krzyżowy ogień ostrzału z karabinów oraz broni maszynowej i półautomatycznej. Kapitan Shibuya wykrzykiwał rozkazy do swoich ludzi, ale w zgiełku bitwy prawie nikt go nie słyszał. Niektórzy skierowali ogień na południe, w kierunku umocnień flankowych, inni trzymali muszki wycelowane na zachód. Wkrótce stało się jasne, że znaleźli się w pułapce[49]. Z wrogiem przed sobą i po swojej lewej stronie, z morzem po prawej, pozostała im jedyna droga przetrwania – odwrót w ciemność dżungli. Sytuacja się zmieniła. To raczej oni – nie wróg – zostali zaskoczeni. Taki przedzierał się w kierunku południowo-zachodnim, starając się uniknąć pojmania.

Tylko czterem pozostałym udało się uciec z pułapki wroga pod osłonę ciemnej dżungli. Nurkując pod wystające korzenie gigantycznych drzew, Taki schował twarz w cienkiej warstwie poniżej sklepienia palm i namorzynów, mając nadzieję, że nie zostanie dostrzeżony. Jego koszula postrzępiła się od kilku kul, które o mały włos nie trafiły w niego, a w uszach dzwoniło mu od własnego ognia. Ale nadal żył i tylko to się teraz dla niego liczyło. Jego karabin i teleskop w skórzanym futerale były nieuszkodzone; naboje i racje żywnościowe były wciąż z nim. Wiedział, że ma zapas jedzenia na siedem dni, więc był pewien, że przetrwa, dopóki reszta pułku nie wyląduje i nie unicestwi wroga. Miał też amunicję, żeby „zapolować” na tych rzeźników, którzy zabili jego przyjaciół i towarzyszy broni. Nie wiedział tylko, że pozostała część pułku nie wyląduje tego dnia. Niszczyciele, które dostarczyły część oddziału do piekła, odpływały, by samemu się bronić w tym zapomnianym przez Boga zakątku globu zwanym Guadalcanal.

W miarę jak dźwięk bitwy cichł i zamieniał się w pojedyncze wystrzały karabinów padające tu i ówdzie, Taki zaczął się czołgać dalej w poszyciu, tym razem jednak na zachód, w kierunku stanowisk wroga. Wykorzysta umiejętności, które wykształcił na strzelnicy, żeby wyeliminować tylu żołnierzy przeciwnika, ilu się da.

Gdy przeczołgał się prawie 200 metrów, usłyszał głosy. Mówiono nie po japońsku, lecz po angielsku! Kopiąc po cichu gołymi rękami płytkie zagłębienie w ziemi, powoli podciągnął zawieszony na skórzanym pasku karabin wzdłuż ciała tak, by móc ułożyć ręce w pozycji do strzelania. Przesuwając pas nośny na swój lewy biceps, poczynił ostateczne poprawki pozycji strzeleckiej. Oceniając zasięg na 80 metrów, wybrał wrogiego żołnierza, którym był podoficer bądź oficer. I znów wyćwiczonym ruchem nacisnął spust, a karabin szarpnął jego ramieniem. Tym razem oczy miał otwarte. Pocisk dotarł do celu i trafił w szyję. Ofiara runęła prosto w dół, zginając się jak papier ryżowy w konkursie orgiami. Reszta żołnierzy w pobliżu natychmiast rzuciła się na ziemię, wszyscy twarzą na zewnątrz. Wiedział, że proch jego amunicji przy wystrzale niemal nie generuje dymu, a podmuch wylotowy karabinu prawie nie porusza otaczającej go roślinności. Zdając sobie z tego sprawę, był jednak świadomy, że nie może ponownie strzelić z tej samej pozycji. Gdyby tak zrobił, ściągnąłby na siebie celny ostrzał.

Gdy obrócił dźwignię zamka do przodu i tyłu, żeby wyjąć zużyty nabój, czubki drzew po jego lewej stronie zatrzęsły się nagle od ostrzału. Szybko schował głowę w wilgotny szlam znajdujący się pod nim. Pojął, że wróg dosłyszał szczęk zamka, ale nie miał pojęcia, skąd ten odgłos pochodził. Ta informacja miała być dla niego przydatna później. Notował w umyśle, obserwując, jak wróg szpera po

wszystkich kieszeniach jego martwych towarzyszy[50]. Czego szukali? Pamiątek? Informacji? Jakie informacje miał przy sobie jego patrol? Taki nie miał natychmiastowej odpowiedzi na te pytania, gdy tak leżał w zagłębieniu, wśród cuchnących zgnilizną roślin.

Wydawało mu się, że leży tam całe godziny, zanim żołnierze wroga zaczęli opuszczać teren. Wreszcie poczuł się na tyle bezpiecznie, by się poruszyć. Zmarznięty, mokry i głodny, nadal nie mógł być pewien położenia przeciwnika. Ciekaw był losu swych przyjaciół. Czy był zdany tylko na siebie czy też uda mu się ich znaleźć? I znów brak odpowiedzi. Kiedy w końcu ostatni z oddziałów wroga opuścił teren, Taki podczołgał się do ciał swych martwych towarzyszy. Sprawdzając, co wróg wyciągnął z kieszeni ofiar i pozostawił obok, mógł poznać, co zabrał ze sobą. Dookoła ciał porozrzucane były portfele, zdjęcia, listy od ukochanych, gotówka, a nawet zegarki. *Nie* widział natomiast żadnych oficjalnych dokumentów, takich jak rozkazy czy mapy. Wniosek? Zabrali zabitym to, co było im potrzebne, i odeszli. Uszkodzenia, jakie spowodowały w ciałach kule nieprzyjaciela, zemdliły go. Zwymiotował, a kwaśny smak pustego żołądka zawsze przypominał mu o martwych towarzyszach.

Ichiki wkrótce dowiedział się o druzgocącej klęsce, jaką poniósł kapitan Shibuya, i postanowił ruszyć z pomocą na czele reszty oddziału. Jego ludzie zarzucili broń na ramię i wyruszyli w kierunku zachodnim, by spotkać się z wrogiem. Maszerowali nocą, docierając na zachód od rzeki Nalimbu o 4.30 rano. Znajdowali się zaledwie osiem kilometrów na wschód od linii obronnej wroga. Dnia 20 sierpnia o godzinie 12.00 Ichiki przedstawił swoim oficerom plan ataku. Pierwsza Kompania miała zaatakować na zachód od piaszczystej ławy, Druga Kompania – na plaży,

a Trzecia – z głębi lądu. Mieli zamiar zdobyć dawny obóz Specjalnej Jednostki Desantowej Marynarki Wojennej, znajdujący się pomiędzy rzeką Lunga a Potokiem Aligatora, rozwinąć oddziały w celu zajęcia lotniska, po czym ustanowić posterunki na wschód od rzeki Lunga, wykorzystując ją jako osłonę.

Gdy tylko wszystkie jednostki znalazły się na pozycjach, o 2.00 dano sygnał do ataku zieloną flarą. Atak 2. Kompanii przez piaszczystą ławę na plaży został na początku zdziesiątkowany przez bezpośredni ostrzał 37-milimetrowymi pociskami rozpryskowymi z bliskiej odległości. Gdy ci, którzy przeżyli, rzucili się naprzód, utknęli w zaporze z drutu kolczastego, która znajdowała się przed stanowiskami wroga. Kule z broni maszynowej znów siekały nacierające grupy, ale pomimo ściany ognia kilku żołnierzy dotarło do okopów obrońców. Walka wręcz była zacięta; broniący się używali rozładowanych karabinów jak włóczni lub maczug, atakujący zaś swoich bagnetów, wyciągniętych noży i pistoletów. Zarówno jedni, jak i drudzy walczyli o swoje życie.

Japońska Armia Cesarska tak mocno wierzyła w etykę wojownika, że podczas szkoleń wdrażała przekonanie, iż kiedy żołnierze japońscy atakują, wróg załamuje się i ucieka. Takie były ich doświadczenia w walkach w południowo-wschodniej Azji i Chinach. Ale przy ich pierwszym spotkaniu z amerykańskimi Marines okazało się, że wcale tak nie jest. Ci ludzie walczyli jak diabły. W ciągu mniej niż godziny wszyscy żołnierze japońscy znajdujący się wewnątrz zasieków z drutu kolczastego byli martwi lub umierający. Ichiki rzucił do akcji swoją kompanię karabinów maszynowych, ale było to za mało i za późno. Artyleria wroga namierzyła ją, gdy próbowała oskrzydlić obrońców, i szybko wyeliminowała z walki.

Odgłosy bitwy dotarły do Takiego. W poczuciu obowiązku skierował się na północ, by dołączyć do oddziału. Był zmęczony i głodny, dygotał i ociekał pozostałościami tego, z czym miał kontakt, leżąc na wilgotnym poszyciu dżungli. Ale po zdrapaniu pijawek z nóg i ramion za pomocą bagnetu skierował się naprzód, mając nadzieję, że dotrze do swojego oddziału na czas i będzie znów walczyć. Gdy już był w pobliżu, jego uszy przeszyła kakofonia strzałów z broni ręcznej i maszynowej oraz ognia artyleryjskiego. Trudno mu było nawet sobie wyobrazić, co się działo z jego jednostką.

W nocy z 21 na 22 sierpnia broniący się podjęli kontratak, który zepchnął siły Ichikiego do trójkąta w pobliżu ujścia Potoku Aligatora. Uwięzieni w pułapce, z morzem za plecami i szczękającymi czołgami wroga prącymi ku nim przez piaszczystą ławę, próbowali przedostać się wpław w bezpieczne miejsce, ale dosięgnął ich celny ostrzał. Pułkownik Ichiki odebrał sobie życie w pokucie za przegraną[51]. Do 16.30 oddział Ichikiego przestał istnieć. Ranni przygotowali ze swych ciał żywe pułapki, ukrywając pod sobą granaty ręczne. Kiedy nieprzyjaciel zbliżał się, żeby sprawdzić ciało, wystawiał się na wybuch, a żołnierz umierał z honorem za swojego cesarza. To, co stało się później, przeraziło Takiego.

Zorientowawszy się szybko, że japońscy żołnierze mają podejście „walcz aż do śmierci”, wróg z zimną krwią zaczął strzelać do każdego ciała leżącego na polu bitwy, by upewnić się, że jest martwe[52]. Taki obserwował, jak zwłoki podskakują, trafione strzałem z karabinu lub pistoletu. Zemdliło go to i rozzłościło. Poprzysiągł sobie, że zapłacą za to. On przeżył i udało mu się uciec do dżungli. Jak dużo czasu minie, nim nadciągną posiłki? Co miał robić do tego momentu? Gdzie był? Czy ktoś jeszcze przeżył?

Wiele pytań. Żadnych odpowiedzi, na razie. Spośród 915 ludzi, którzy wylądowali z oddziałem, 777 było martwych, 12 rannych (w tym 1 oficer) zostało pojmanych. Schwytano również dwóch nierannych, a jeden poddał się dobrowolnie. Ocalało zaledwie 123 żołnierzy[53].

Znalazłszy przesiekę w głębi lądu pomiędzy cienistymi palmami, Taki zwolnił i dokonał 360-stopniowego przeglądu terenu. Ze szkolenia wiedział, że powinien wrócić do punktu, z którego wystartował, więc skierował się w stronę wybrzeża, obierając okrężny szlak, by uniknąć wykrycia. Pozostali, którzy również przeżyli, w grupach dwu- lub trzyosobowych także podążali w kierunku Taivu Point[54]. Gdy miało się do dyspozycji tylko bagnet do cięcia gęstego poszycia dżungli, pokonanie krótkiego dystansu, łącznie z przerwami na odpoczynek, zabierało kilka godzin. Ale po wyjściu z dżungli można było znacznie przyspieszyć powrotny marsz. Głodni jak wilki, rabowali po drodze plony z lokalnych ogrodów. Nie wiedzieli, że zostali już przez swoje dowództwo spisani na straty. Kryjąc się za dnia w dżungli, by nie zostać dostrzeżonym z powietrza, wkrótce popadli w lekką rutynę chowania się, picia, znajdowania pożywienia i maszerowania; czynności te powtarzali następnego dnia. Wkrótce grupa się rozpadła, gdyż każdy żołnierz, zmęczony, głodny, chory lub ranny, zaczął sam decydować, czego wymaga jego służba.

Co noc, układając się do snu, Taki był świadom nieustannego bzyczenia owadów żądnych napicia się ciepłej krwi. Zgubiwszy swoją moskitierę, opędzał się od nich, plaskając w nie przez krótki czas, zanim wyczerpany zapadał w głęboki sen. Nie był świadomy, że te maleńkie stworzenia roznoszą choroby mogące obezwładnić całą armię – malarię i gorączkę tropikalną. Gdy on spał, one ucztowały.

Kiedy 23 sierpnia poranne słońce przebiło się przez baldachim dżungli, opanowało go przeraźliwe uczucie osamotnienia. Przeszedł go lekki dreszcz. Może to przez zimne, cuchnące błoto ściółki dżungli? A może przez to, że był teraz celem wroga? Kiedy tak stał w przejmująco wilgotnym powietrzu i nikłych promieniach słońca przedostających się przez liście palm, myślał o swojej sytuacji, a szkolenie znów wzięło górę. Dokonał obiektywnego przeglądu warunków, w których się znalazł – systematycznie, tak, jak go nauczono. Po stronie pozytywów było to, że miał jedzenie, odpowiednie, chociaż przemiękające ubranie, wystarczającą ilość amunicji, broń i to, co chyba najważniejsze – będąc niedostrzeżonym, mógł swobodnie zabijać. A negatywy? Mógł jednak zostać pojmany przez wroga, z powodu braku kontaktu z dowództwem nie miał żadnych rozkazów. Jego dalsze postępowanie wydało mu się nagle jasne. Musi się ukryć w dżungli do czasu, kiedy pułkownik Ichiki przywiedzie resztę pułku na zachód, by nawiązać kontakt bojowy z wrogiem. Do tego czasu postara się zrobić dobry użytek ze swojej amunicji.

Przedarłszy się przez dżunglę, zostawiwszy za sobą oznaczenia na trasie, żeby odnaleźć drogę powrotną, dotarł do poszarpanego wzgórza niezbyt daleko od pasa startowego. Słyszał ryk silników startujących i lądujących samolotów nieprzyjaciela. Zdjął górną część siatki maskującej i zaczął wpinać w nią trawy rosnące wzdłuż grzbietu wzgórza. Umieścił ich trochę również na siatce swojego hełmu. Skradał się do wierzchołka wzgórza, żeby zająć pozycję umożliwiającą dosięgnięcie celów. Podczołgał się na odległość około 200 metrów od lądowiska i wybrał lekką wypukłość w gruncie, porośniętą takimi samymi trawami, jakie miał na siatce maskującej hełm i ubranie.

Leżąc nieruchomo, powoli dosięgnął leżącej za nim lunety i wyjął ją ze skórzanego futerału. Rozmazał trochę brudu na tubie, żeby uniknąć odbłysku, po czym przymocował lunetę do wsporników na karabinie.

Zerkając przez lunetę, powoli przejrzał teren zajmowany przez wroga od lewej do prawej i z powrotem. Dookoła lotniska wystawione były warty, ale znajdowały się zaledwie 100 metrów od jego skraju. Taki nie był nimi zainteresowany. Chciał gry o wyższą stawkę: wyższy dowódca, może pilot albo przynajmniej starszy podoficer. Dostrzegł pojedynczego Marine udającego się w kierunku końca pasa startowego i rozpoczął procedurę strzelecką – cel, przytrzymać, wdech, połowa wydechu, naciśnięcie spustu. Pocisk opuścił lufę, ale nie trafił celu, bo żołnierz się pochylił, żeby podnieść upuszczony przedmiot. Ponaddźwiękowy świst kuli postawił wszystkie warty w stan najwyższej gotowości. Taki leżał nieruchomo i czekał, aż pojawi się następny cel. Przy następnym strzale odniósł sukces. „Chyba oficer” – pomyślał. Może nawet pilot! Jeszcze jeden strzał i przeniósł się w inne miejsce. Ten cel również osunął się w dół, kiedy dosięgła go kula. Nadszedł czas, by się wycofać. Pokonując powoli drogę w dół pagórka, podniósł się na nogi i zgięty wpół dotarł do wysokich traw oraz znaków, dzięki którym miał trafić z powrotem do swojej kryjówki za wzgórzem.

Taki kontynuował swoje działania przez siedem kolejnych dni. Skończyła mu się żywność, musiał się ograniczyć do jedzenia orzeszków betel, orzechów kokosowych, czerwonych mrówek i ślimaków[55]. Wodę czerpał ze strumienia na wzgórzu, który płynął tuż obok jego obozowiska. Ubranie miał w strzępach i cały był pokryty bąblami po ukąszeniach owadów i pijawek, co doprowadzało go prawie do obłędu przez swędzenie, jakie

temu towarzyszyło. Ale jego karabin był w dobrym stanie, a on umiejętnie gospodarował amunicją. W nocy 29 sierpnia dostrzegł ze swojej żerdzi podpływające okręty, maskujące się przez zaciemnienie. Około 450 ludzi ze 124. Pułku Piechoty i 300 z drugiego rzutu pułkownika Ichikiego wylądowało w Taivu Point[56]. Następnej nocy przybyła na ląd wraz z zaopatrzeniem pozostała część 28. Pułku, a 31 sierpnia generał Kawaguchi, obecnie starszy dowodzący, przywiódł kolejnych 1200 żołnierzy na brzeg[57].

Kawaguchi rozkazał wcześniej pułkownikowi Akinosuku wylądować z oddziałami liczącymi 1000 osób na zachód od rzeki Matanikau, w pobliżu miejsca wcześniejszego obozu morskich sił desantowych. W trakcie transportu nocne samoloty myśliwskie wroga zbombardowały kilka spośród wiozących ich 61 barek desantowych, w wyniku czego oddziały Oki zostały rozdzielone, schodząc na ląd w różnych punktach wybrzeża, na zachód od linii amerykańskich. Ostatecznie zebrano zaledwie 600 żołnierzy zdolnych do walki[58].

Przed 5 września siły Kawaguchiego liczyły w sumie 6200 żołnierzy, wobec, jak nadal wierzył, 2000 Marines, broniących lotniska i niewielkiej przestrzeni wokół niego. Szacunkowe siły wroga były sześciokrotnie zaniżone. W rzeczywistości tego, co obecnie nazywane jest lotniskiem Hendersona, broniło prawie 12 000 amerykańskich Marines[59].

Snajper Marines na atolu Tarawa pozuje do zdjęcia. Używa oryginalnego specjalistycznego karabinu Springfield M1903 z celownikiem Lyman lub Stevens sprzed drugiej wojny światowej.

Po tygodniu skradania się pomiędzy swoją kryjówką za wzgórzem a Taivu Point Taki spotkał swoich towarzyszy, którzy przeżyli i ukrywali się w dżungli. Nie posiadali się ze szczęścia, gdy wylądowały siły Kawaguchiego. Zostali włączeni do 3. Batalionu 124. Pułku Piechoty (III/124), nakarmiono ich, dano im czyste, suche mundury i poinformowano ich na odprawie, jakich zagrożeń ze strony dżungli mogą oczekiwać. Mogli wreszcie chociaż kilka godzin odpocząć. Oczekując na lądowanie dodatkowych sił, Kawaguchi nadal opracowywał plany opanowania pasa startowego, pierwotnego celu ataku.

Dnia 8 września, zebrany teraz pod Koli Point[60], III Batalion gotowy był wyruszyć do dżungli z zamiarem zaatakowania lotniska od południa w swojej części ataku na

stanowiska Marines. Jak obawiał się Taki, pomimo odprawy, która ostrzegała przed niebezpieczeństwami dżungli, oficerowie nie doceniali trudów jej pokonywania. Stała się ona ich drugim wrogiem, z którym przyszło im walczyć. Żołnierze batalionu ruszyli w dżunglę przemoczeni przez ulewny deszcz oraz swój własny pot. Ślizgając się i potykając, z mozołem rozpoczęli swój pochód w kierunku pasa startowego. Moskity ucztowały na nich tak, jakby nigdy wcześniej nie posmakowały ciepłej ludzkiej krwi. Pacnięcia i przekleństwa były jedynymi odgłosami, oprócz chrząknięć i postękiwania, gdy któryś z żołnierzy upadał w błoto pod swoimi stopami. A była to zaledwie część problemu.

Nie posiadając dokładnych map terenu, batalion zabłądził i nie dotarł na pozycje ataku aż do wczesnych godzin rannych 12 września[61] – dnia, w którym atak miał się rozpocząć. Kawaguchi nie zdawał sobie również sprawy, że część jego sił, maszerująca na zachód wzdłuż brzegu, poniosła klęskę pod Tasimbogo, tracąc sprzęt artyleryjski i radiowy w wyniku ataku wroga z morza. Nie wiedział także, że Oka nie przyprowadził swoich oddziałów na miejsce 11 września o zachodzie słońca. Nie wyruszyli więc na wschód o 4.00 12 września, a przed 22.00 jego oddziały, choć słyszały odgłosy walki, nie znajdowały się dostatecznie blisko, by móc wesprzeć atak. Żołnierze byli głodni, zmęczeni, nękani chorobami i udręczeni przez insekty po 18-godzinnym marszu[62]. Mimo to plan Kawaguchiego był dalej realizowany, ponieważ siły główne – jak się wydawało – pozostały niewykryte.

W rzeczywistości zwiadowcy zwerbowani wśród tubylców donosili obrońcom, że kolumny Japończyków posuwają się w kierunku lotniska. Amerykańscy Marines przygotowali swoją obronę do spotkania z nowym zagrożeniem. Ich

artyleria i moździerze zostały wycelowane na ścieżkę, którą, jak sądzili, przybędą napastnicy – 900-metrowej długości wzgórze o zakrzywionym kształcie z pagórkiem o wysokości 24 metrów na południowym krańcu. W centralnej części wzgórza było jeszcze jedno wzniesienie, o wysokości około 35 metrów n.p.m. Wzgórze przypominało kształtem owada z nogami jak ostrogi po obydwu stronach. Było porośnięte raczej trawami niż roślinnością charakterystyczną dla dżungli, a wygląd tych traw umożliwiał atakującym zbliżenie się niezauważonym. Żeby zminimalizować ryzyko niespodzianki, obrońcy oczyścili zarośla, by otworzyć pole ostrzału dla swojej broni maszynowej w oczekiwaniu na spodziewany atak. Jednak i tak siły obrońców składały się z nielicznych zmęczonych, głodnych i pozbawionych snu żołnierzy[63].

Taki został wysłany na czoło sił atakujących na zwiady, ale przecinka wzdłuż wzgórza nie pozwoliła mu podejść bliżej i dokonać właściwej oceny szeregów przeciwnika. Odświeżywszy mieszany kamuflaż na siatce hełmu, plecach, bokach i przedniej części torsu, skradał się przez trawy *cogon* do wzniesienia, które pozwoliło mu na wycelowanie karabinu. Przeglądając teren od prawej do lewej i z powrotem, zaobserwował okopywanie się przeciwnika, rozciąganie drutu kolczastego i rozwijanie linii łączności wzdłuż całego wzgórza przed nim. Pojawił się jakiś oficer, nadzorując prace – świetny cel w odległości 150 metrów. Ostrożnie celując, Taki w sposób automatyczny wykonał wyćwiczoną sekwencję czynności – za pomocą teleskopu namierzył poprawnie cel; wdech; pół wydechu i wytrzymanie; wolne i gładkie naciśnięcie spustu i lekkie zdumienie reakcją karabinu. Gdy karabin uderzył go w ramię, widział, jak jego cel skręca się w prawo i upada na ziemię. Wszelkie prace natychmiast ustały, ale nie było

żadnych innych dostępnych celów. Zabił czy nie? Jeśli chodzi o ten konkretny strzał, nigdy się tego nie dowie. Ale przynajmniej jeden oficer nie będzie dzisiaj walczył. Taki wycofał się na teren swojego dowództwa i złożył przełożonym raport z tego, co widział. Nadszedł czas ataku, ale gdzie był III batalion? Wysłano Takiego w kierunku rzeki Lunga, żeby ich odnalazł.

Kawaguchi wysłał 2000 ludzi, by przeprowadzić atak przez wzgórza, ale tylko I/124 był obecny. III/124 (oprócz Takiego, zwiadowcy) wraz z II/4 przybyły na podstawę wyjściową do natarcia o dwie godziny później. Te trzy bataliony, w sile ponad 2500 żołnierzy, ciągnęły naprzód, tracąc poczucie kierunku i prawie mijając wzgórze. Zawróciły na bagienną nizinę pomiędzy skrajem dżungli a wzgórzem[64]. Oddziały rozbiły się na mniejsze, potem się rozproszyły, a niektóre się wymieszały, co zdezorganizowało dowodzenie i kontrolę. Małe grupki piechoty miały przeciwko sobie dżunglę i okopanych Marines.

Gdy Taki dotarł do swego oddziału, oddział ten spotkał I/124 w czasie marszu i wkrótce oba oddziały się wymieszały. W końcu I/124 otrzymał rozkaz udania się na zachodnią stronę rzeki Lunga, więc oddziały mogły się rozdzielić. Ale teraz była tylko godzina do wschodu słońca, o wiele za późno na nocny atak. III Batalion, rozdzielony ostatecznie od pierwszego, kontynuował marsz naprzód, aż dotarł do linii obrony nieprzyjaciela, ale nie mógł wykorzystać nadarzającej się okazji. Dwóch z oficerów zostało zabitych, co pozostawiło batalion bez dowodzenia. Niektórzy żołnierze, odkrywszy luki w linii wroga, rzucili się poprzez nie z założonymi bagnetami, strzelając z biodra podczas biegu. Ale gdy już się znaleźli wewnątrz stanowisk

nieprzyjaciela, pogubili się bez dowództwa i ostrożnie wycofali[65].

Pięć z dziewięciu uszkodzonych japońskich czołgów 1. Samodzielnej Kompanii Czołgów przy ujściu rzeki Matanikau, na Guadalcanal, po walce 22 października 1942 roku.

Rozniosły się plotki, że marsz pułkownika Oki na wschód się nie powiódł, w rezultacie czego wróg został zaatakowany tylko z jednej strony, a nie – jak planowano – z trzech. Oka zażądał 13 września przez radio, żeby Kawaguchi opóźnił swój atak uprzedzający, by dać swoim ludziom szansę dotarcia na pozycje i zaatakowania z południowego zachodu. Zirytowany generał Kawaguchi ścierpiał wszystkie te opóźnienia, które musiał tolerować, ale wydal rozkaz, że ostateczny atak rozpocznie się o 22.00. W ciągu dnia deszcz bomb spadł na wzgórze, ponieważ Cesarskie Siły Powietrzne wspierały piechotę. Ale ten nalot bombowy posłużył jako wskazówka dla obrońców co do tego, gdzie dokładnie nastąpi atak japońskiej piechoty. Stanowiska obronne przeniesiono o 200 metrów do tyłu, żeby poprawić ich rozkład i zmylić napastnika[66].

Pomimo rozkazów Kawaguchiego I/124 rozpoczął atak o 18.30; uderzył w obronę 500 metrów na wschód od rzeki Lunga i na południe od wzgórza. Przed 21.00 artyleria wroga, wcześniej ustawiona na odpowiedni zasięg, ostrzelała atakujących i skróciła ogień do 200 metrów od linii obrony. Dowódca 1. batalionu został zabity. Mimo to przed 22.30 siły główne uderzyły na wzgórze. Pociski moździerzowe ze strony japońskiej zaczęły spadać na pole bitwy. W odpowiedzi granaty nieprzyjaciela potoczyły się w dół wzgórza, na miejsce, w którym zgromadzeni byli atakujący. W końcu w górę wzleciała czerwona flara, sygnalizując atak generała. Japończycy skuleni, z nastawionymi bagnetami, natarli, krzycząc: „Banzai!”, pędząc na oślep w ogień z broni ręcznej i linię karabinów maszynowych.

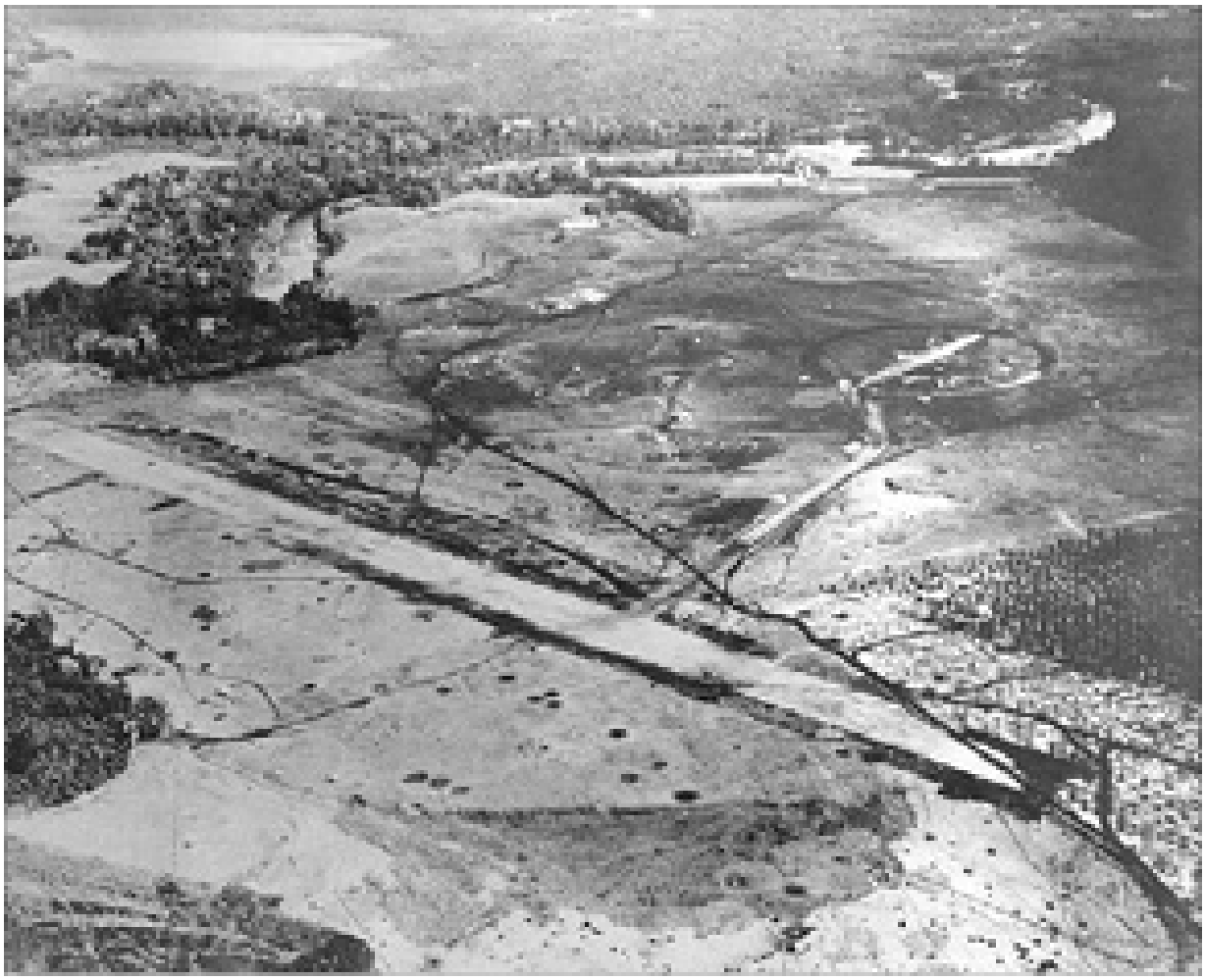

Lotnisko Hendersona na Guadalcanal widziane z samolotu lotniskowca USS Saratoga, sierpień 1942 roku. Warto zwrócić uwagę na rozproszenie samolotów po lewej stronie pasa startowego, pomiędzy kraterami po pociskach. U góry fotografii widoczna rzeka Lunga. Wzgórze Bloody Ridge jest po lewej stronie, lecz poza zasięgiem wzroku.

Kompanie 4. oraz 5. i 7. z II Batalionu uderzyły na skraj wzgórza. Kompania 7. dotarła do północno-wschodniej strony wzgórza i dowódcy rozkazali 50–60 żołnierzom pozostałym z 6. kompanii nacierać, pomimo że ich dowódca został ranny. Dotarli na zachodni skraj pasa startowego dla mniejszych myśliwców o 5.30, ale zostali tam powstrzymani przez obrońców.

Batalion rezerwowy Kawaguchiego (III/124) nigdy nie rozpoczął walki, chociaż, gdyby włączył się do akcji, mógłby doprowadzić do zwycięstwa tego dnia. Jego żołnierze błąkali się w dżungli, pozbawieni przywództwa aż do 19.30, kiedy to postanowili uderzyć z młodszym oficerem na czele. Do czasu, kiedy dotarli do linii walki, zasadniczo było już po wszystkim – świtało[67].

Atak osłabł ze wschodem słońca, ale małe grupy obu stron często wymieniały ogień, gdy patrolowały swe przednie stanowiska. Taki skorzystał z okazji sprawdzenia swojego kunsztu, oddając liczne strzały z odległości pomiędzy 150 a 300 metrów, ponieważ przenosił się po każdym strzale. Wierzył, że zaliczył 12 strzałów – to naprawdę dobry dzień. Ale ogólnie atak zakończył się – krótko mówiąc – klęską.

Dnia 14 września Kawaguchi wydał rozkaz odwrotu przez rzekę Matanikau. Podczas dni spędzonych na marszu na zachód poprzez postrzępione podnóża gór zarówno dżungla, jak i głód zaczęły stwarzać zagrożenie dla jego oddziałów. Ci, którzy mogli iść, uzupełniali swoją ubogą dietę w orzeszki betel, ślimaki i inne produkty zbierane po drodze. Szczęściarze znajdowali nawet ryby zabite granatami ręcznymi[68]. Ranni niesieni byli przez czterech żołnierzy, piąty niósł rynsztunek pozostałych czterech. Za tą piątką szło pięciu innych, którzy przejmowali niesienie rannego, kiedy pierwsza grupa potrzebowała odpoczynku lub nie mogła dłużej nieść. Niektórzy ranni umierali w drodze, gdyż surowe obchodzenie się z noszami powodowało otwieranie ran, i tak już zainfekowanych larwami. Gdy żołnierze maszerowali, ich broń lądowała przy drodze, gdyż opuszczały ich siły, żeby ją nieść. Najpierw ciężka broń, potem hełmy i karabiny. W końcu 19 sierpnia o 14.00 dotarli do Kokumbony[69].

Wykorzystując następne 10 dni na odbudowę oddziału, ponowne zaopatrzenie go i otrzymanie wsparcia z armii, Kawaguchi opracował plany następnego ataku, przygotowując jednocześnie swoją jednostkę do obrony. Bataliony II i III dostały rozkaz utrzymania wysoko położonych terenów wzdłuż wybrzeża, na spodziewanym kierunku ataku wroga. Takiemu przydzielono funkcję zwiadowcy dla tej grupy i zbudowanie swojego stanowiska daleko przed stanowiskami batalionów[70]. Rozkazy, by przejąć wschodni brzeg rzeki Matanikau, zostały wykonane, więc można było tam rozmieścić posiadany sprzęt artyleryjski. Nie pasowało to jednak do poprzedniego planu Kawaguchiego[71].

Wróg pojawił się 27 września na wyższym wschodnim brzegu Matanikau w rejonie drewnianego mostu (nazywanego „One-log Bridge”) i został zaatakowany przez 12. Kompanię, wspieraną przez moździerze z zachodniego brzegu. Tymczasem 9. Kompania zaatakowała przez piaszczystą łachę u ujścia rzeki pomimo morderczego ognia ze strony batalionu Marines. O 13.30 atak został ponowiony, ale znów go odparto. Wróg dotarł na tyły atakujących dzięki morskiemu desantowi trzech kompanii Marines, które wylądowały na plaży, na zachód od Point Cruz. Z mozołem przesunęły się o 500 metrów w głąb lądu, do pierwszej linii wzgórza. Pułkownik Oka rozkazał II/124, który był ulokowany na zachód od miejsca lądowania Marines, zaatakować wroga od tyłu. Oka był przekonany, że wróg został uwięziony w pułapce przy plaży, i wydał rozkazy, żeby go zniszczyć.

II/124 przesunął się dalej na zachód i pozostawił zniszczenie osadzonych na mieliźnie Marines 8. Kompanii. Wywiązała się ostra walka wręcz, ale ostrzał okrętów wroga spowodował, że kompania musiała przerwać atak, co

pozwoliło amerykańskim Marines na ewakuację barkami desantowymi[72].

3 października generał Masao Maruyama, dowódca 2. Dywizji, wylądował, by przejąć dowodzenie nad wszystkimi siłami na wyspie. Rozpoczął wzmacnianie i zaopatrywanie garnizonu, wykorzystując to, co cesarska marynarka nazywała mrówczym transportem (ang. *ant transport*) – grupę okrętów przeznaczoną do wspierania oddziałów na wyspie. Pomiędzy 1 a 7 października około 6000 ludzi, 51 ton zaopatrzenia, 7 dział i tony amunicji zostały dostarczone na Tassafaronga. Taki mógł teraz liczyć na przynajmniej jeden posiłek dziennie, choć wciąż było to bardzo niewiele[73].

O 10.00 wróg nawiązał kontakt z III/4 Pułku Piechoty, 500 metrów na wschód od rzeki Matanikau, wzdłuż drogi nad wybrzeżem (szlak rządowy). Udało mu się odebrać II/4 kontrolę nad odcinkiem 500 metrów wschodniego brzegu rzeki. Trzecia Kompania niechętnie ustąpiła pola, udało im się nawet przetrwać ostrzał kilku 75-milimetrowych haubic Marines z bliskiej odległości, ale za to utrzymali zachodni brzeg. W nocy z 7 na 8 października wróg kilkakrotnie pozorował ataki u ujścia Matanikau, żeby odwrócić uwagę od dwóch innych swoich jednostek, przedzierających się na północ wzdłuż rzeki. Owe dwie jednostki nieprzyjaciela zaatakowały 3. Kompanię i wyparły ją w kierunku wybrzeża. I tak znalazła się ona w pułapce, mając za plecami rzekę.

Ulewny deszcz dał żołnierzom trochę wytchnienia od walk. Marsz przez dżunglę, co najmniej ryzykowny, był uciążliwy przez potykanie i ześlizgiwanie się ze ścieżki w gąszcz, ale dał czas oddziałom nad Matanikau. Przed zachodem słońca 3. Kompania spróbowała wyrwać się z potrzasku i przekroczyć piaszczystą łachę. Dym z granatów dymnych

miał ukryć ich ruch w kierunku łachy, ponieważ jednak powietrze było oczyszczone przez deszcz, dał im niewielką osłonę, gdy ruszyli na linię wroga. Drut kolczasty zatrzymał natarcie i zaczęła się brutalna i zacięta walka wręcz. Zaledwie nielicznym żołnierzom z 3. Kompanii udało się przekroczyć rzekę[74].

Dla żołnierza takiego jak Taki rozróżnianie dni i nocy stało się bez znaczenia. W czasie szkolenia kładziono nacisk na nocne ataki i zaskoczenie. Teraz to *jego* jednostka doświadczała nocnych ataków i zaskoczenia ze strony wroga. Nadal wypełniał swoje zadanie jako zwiadowca i powiększał swoją listę zabitych przy każdej sposobności. Według ostatnich szacunków sądził, że zabił 3 oficerów, 11 podoficerów i przynajmniej 15 innych żołnierzy wroga. Ale nie mógł być nigdy pewien, ilu naprawdę. Japońska Armia Cesarska była teraz w odwrocie na zachód i z powodu braku wyszkolenia w działaniach defensywnych budowała swoje stanowiska obronne najlepiej, jak umiała.

Dnia 10 października przybył nowy dowódca w osobie generała Hyakutake, dowódcy 17. Armii. Dostarczył on rozkazy z kwatery głównej, które przekazał 15 października. Oddziały nie miały wystarczająco dużo czasu, żeby dojść do siebie po chorobach, odniesionych ranach i głodowaniu, ale rozkazy to rozkazy. Polecenia pułkownika Ichikiego zawsze były jasne i proste, natomiast nowy ich zestaw stawiał na skomplikowane działania przeciwko wrogowi. A złożone plany bitew w warunkach wojny prowadzonej w dżungli często szły na opak.

Plan zakładał atak na Marines ze wszystkich kierunków oraz zmuszenie ich do rozproszenia swoich sił na szerokim froncie walk. Plan ten przedstawiał się następująco:

(1) Generał Major Tadashi Sumioshi, dowodzący artylerią 17. Armii, poprowadzi ciężką broń na

wybrzeże. Będzie to działanie dywersyjne, wsparte pięcioma batalionami piechoty.

(2) I/228 i kompania saperów wylądują w Koli Point o 2.00 dnia X (data ataku do ustalenia), ponieważ wywiad powietrzny poinformował generała Hyakutake, że Marines budują nowy pas startowy w pobliżu tego miejsca.

(3) Dywizja Sendai (Druga), dowodzona przez generała majora Masao Maruyamę (do którego Hyakutake dołączyłby później swój sztab i kwaterę główną), pomaszeruje przez podnóże niewielkiej góry (obecnie nazywanej Górą Austen) i podąży drogą Maruyamy[75]. Następnie skręci na północ, w kierunku lotniska. Wymagało to ciężkiego marszu przez nieoznaczony na mapach, porośnięty dżunglą obszar. Zaletą manewru było natomiast, że ani tubylcy, ani zwiadowcy wroga go nie wykryją.

(4) Manewr przez dżunglę, prowadzony przez generała majora Yumio Nasu, miał prowadzić wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Lunga do jej zakrętu na północ i dalej, aż do pasa startowego. Istotnym celem było zrównoważenie trzonem tych sił 29. Pułku Piechoty.

(5) Prawe skrzydło, dowodzone przez generała majora Kiyotaki Kawaguchiego, będzie się składało z 230. Pułku Piechoty z batalionem III/124, zastępującym III/130.

(6) Generał Maruyama będzie dowodził 16. Pułkiem Piechoty, stanowiącym rezerwę dywizji.

Bardzo czysty żołnierz Marines na Russell Island w 1944 roku, z nowiutkim Springfieldem 1903-A4. Widoczny brak celownika, co było wielkim mankamentem w walkach na bliskim dystansie podczas wielu bitew na wyspach Pacyfiku.

Pierwsze oddziały opuściły obozowisko 16 października. Każdy żołnierz niósł amunicję, pocisk artyleryjski i 12-dniowe racje żywnościowe oraz swoją własną broń i wyposażenie. Artylerzyści rozmontowali swoje działa i w czasie transportu musieli nieść je w częściach. Maszerowali, używając kompasu, po prostych liniach lądem, nie mogąc omijać trudnego terenu. Dopiero po dwóch dniach, 18 października, końcowa część kolumny opuściła obóz. Czoło 30-kilometrowej kolumny przekroczyło już rzekę Lunga[76]. Generał Maruyama błędnie skalkulował 20 października swoją pozycję na koniec marszu. Sądził, że jest jakieś siedem kilometrów od lotniska, podczas gdy w rzeczywistości był dwa razy dalej.

Na wybrzeżu Sumioshi rozdzielił swoje siły, wysyłając pułkownika Okę ze 124. Pułkiem Piechoty (bez 3. Batalionu) na południe wzdłuż zachodniego brzegu Matanikau do mostu One Log Bridge. Na dany sygnał miał zaatakować z północy, wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Matanikau, oskrzydlając linię wroga. Sumioshi zaś, sam dowodząc północnym segmentem swoich rozdzielonych sił, pozostał na wybrzeżu z III/4, wspólnie z pułkownikiem Nakagamą, który dowodził I/4 i II/4 oraz kompanią czołgów.

Na przeciwległej flance, bazując na nowych zdjęciach lotniczych, generał Kawaguchi poprosił o pozwolenie przesunięcia punktu swojego ataku bardziej na wschód. Maruyama odmówił i Kawaguchi został zwolniony z dowodzenia. Zastąpił go dowódca 230. Pułku Piechoty, pułkownik Shoji. Rozkazy dla zachodniej części wojsk, by uderzyć na wroga na południowy wschód od rzeki Lunga, zostały podtrzymane nawet wtedy, gdy Shoji zaprotestował przeciwko zwolnieniu Kawaguchiego jako rozwiązaniu „niesamurajskiemu”[77].

Odrzucając zastrzeżenia, Maruyama zarządził ostateczny wymarsz 22 października na godzinę 18.00. Armia ostrożnie posuwała się naprzód w kierunku linii wroga, poprzedzana przez Takiego i wielu jeszcze innych zwiadowców. Choć podejście było trudne, wszystkie jednostki dotarły do swoich wyznaczonych pozycji i przygotowały się do ataku. Grupa pułkownika Oki, próbując 22 października oskrzydlić wroga, mogła posunąć się naprzód zaledwie o kilometr z powodu głębokich jarów porośniętych dżunglą i małych błotnistych strumieni dopływowych, które przecinały ich szlak. Oka zabłądził na szlaku z dwoma ze swoich trzech batalionów strzelców, które niepotrzebnie pomaszerowały dalej na wschód, ale

zaznaczył, że będzie gotowy do ataku o 15.00 następnego dnia[78].

Taki został wysłany na czoło. Miał dokonać zwiadu co do obrony przeciwnika. Przekazał w raporcie, że małe patrole wroga dokonują wypadów, najwyraźniej próbując zlokalizować siły Maruyamy.

Dzień X został wyznaczony na 23 października. Żołnierzom rozkazano zrzucić plecaki i ruszyć w kierunku stanowisk wroga. Zwiadowcy wysłani 22 października donieśli tylko o gęstej dżungli dookoła. Po uciążliwym marszu przez splątane ścieżki dżungli oddziały były na skraju wyczerpania. Zatem ze względu na brak gotowości armii do frontalnego ataku dzień X przeniesiono na 24 października.

Dżungla sprawiała problemy nie tylko podczas marszu. Dowodzenie i kontrola rozdzielonych jednostek są trudne nawet w najlepszych warunkach. Tutaj zaś teren, pogoda i przeszkody wspólnie dezorganizowały oddziały zbliżające się do lotniska. Wielu spośród wysłanych zwiadowców nie wróciło, gubiąc się w dżungli lub ginąc z ręki wroga. Na zachodnim skrzydle Sumioshi nie był w stanie przekazać rozkazu zarządzającego opóźnienie ataku o jeden dzień.

Choć jednak pochód był nieskoordynowany, udało się dziewięciu czołgom przesunąć na odległość 200 metrów od pozycji wroga na wybrzeżu. Ich głośne przemieszczanie się nie było słyszane przez wroga dzięki sporadycznemu ogniowi artylerii na linie nieprzyjaciela. Ale II Batalion 4. Pułku Piechoty wyruszył naprzód dopiero 23 października o 17.00, więc czołgi musiały czekać. O brzasku pierwsze cztery z nich ruszyły do przodu, ale zostały zatrzymane przez ostrzał 37-milimetrowymi pociskami przeciwczołgowymi. Wówczas druga fala – pięciu czołgów – potoczyła się naprzód i wjechała w rejon walki. Pomimo że załodze jednego czołgu udało się przedrzeć przez druty

kolczaste na stanowiska wroga, wkrótce został on obezwładniony i porzucony. Wszystkie dziewięć czołgów zostało zniszczone; spośród 41 członków ich załóg przeżyło jedynie 17 żołnierzy, a 10 z nich nie odniosło ran[79].

Współrzędne miejsca walk były dobrze znane amerykańskim artylerzystom. Gdy tylko bitwa się rozpoczęła, atakujący zostali ostrzelani ponad 6000 pocisków, przelatujących ze świstem nad linią Japończyków. O 21.00 zaczął padać deszcz i w ciągu godziny atak się załamał. Dnia 24 października przed godziną 1.15 zapadła nad Matanikau cisza[80].

Główny atak na lotnisko Hendersona z południa został teraz wyznaczony na 24 października na godzinę 19.00. O 16.00 ulewna burza przeszła przez wyspę, jeszcze bardziej utrudniając Japończykom marsz. Ale o 21.00 niebo przejaśniało i nastała piękna, rozświetlona gwiazdami noc. Takiego i czterech innych zwiadowców wysłano, by zlokalizowali druty kolczaste wzdłuż linii wroga. Celem tej misji nie było zabijanie, więc Taki pozostawił swój karabin. Podkradając się powoli, pod osłoną ciemnego nieba, dotarł na tyle blisko, żeby usłyszeć rozmowy (i chrapanie) Marines w zagłębieniach wzdłuż wzgórza. Jakieś 30 metrów przed nimi leżał rozciągnięty drut kolczasty. Na całej długości linii rozwieszone były w pewnych odstępach opróżnione z jedzenia puszki; każda miała w środku kilka kamyków, żeby zadźwięczały, gdy ktoś je potrąci. Służyły jako prymitywny sygnał wczesnego ostrzegania. Taki powoli wycofał się w trawiaste zarośla, aż do miejsca, w którym wróg nie mógł go już dojrzeć. Schylając się co chwila, wrócił, by złożyć raport o tym, co widział.

Dnia 25 października 30 minut po północy rozpoczęto nieskoordynowany atak na linię Amerykanów. O godzinie 1.15 w nocy 9. Kompania ruszyła wprost na stanowiska

broni maszynowej i w ciągu pięciu minut wszyscy jej żołnierze byli zabici. Do 2.15 artyleria wroga prowadziła ostrzał wzdłuż trasy ataku, zwłaszcza wzdłuż ścieżki na lewym skrzydle atakujących. Znaleźli się w martwym punkcie i szybko doszli do wniosku, że pozostanie tam oznaczało śmierć. Ucieczka zaś wiązała się z ryzykiem zagubienia w dżungli. Wielu wybrało śmierć, nie ucieczkę[81]. Tylko jeden mały oddział przebił się przez linię wroga i na krótko utworzył wyłom na głębokość od 100 do 150 metrów. Kontratakujący Marines zabili tę niewielką grupę i zdołali przejąć trzy karabiny maszynowe typu Nambu, jak również odebrać dwa amerykańskie karabiny maszynowe. Na tym małym przyczółku straciło życie 37 żołnierzy japońskiego imperium[82].

Kolejne serie desperackich ataków przypuszczonych następnej nocy okazały się równie bezowocne i dla dowódców japońskich stało się jasne, że atak się nie powiódł. Rozpoczęto więc wycofywanie się na zachód, ku północno-zachodniemu brzegowi wyspy. Oddziały cierpiały z powodu wycieńczenia, niedożywienia, chorób i nieopatrzonych ran, ale maszerowały. Zapiski z dziennika odzwierciedlają trudy tego marszu:

> *27 października…* [po trzech dniach marszu] jemy tylko po maleńkiej łyżeczce soli i garści płatków ryżowych dziennie.
> *30 października…* jedzenie opanowuje umysł… próbuję myśleć o innych rzeczach, ale nie umiem[83].

Gdy tak maszerowali na zachód, walcząc na swych tyłach, wyłaniały się z dżungli i dołączały do nich małe grupki zagubionych żołnierzy. Byli w równie opłakanym – o ile nie gorszym – stanie co ich maszerujący towarzysze. Cierpieli z powodu ukąszeń pijawek, komarów i skorpionów oraz

niekończącej się wilgotnej zgnilizny poszycia dżungli. Niektórzy zdołali przedłużyć swoją egzystencję, jedząc rośliny lub ryby, ale wszyscy byli już skrajnie niedożywieni.

Przed 18 grudnia szanse głodujących żołnierzy były już mierzone w inny, przerażający sposób. Spodziewana długość przeżycia, według jednego z prowadzących zapiski, była następująca:

Ci, którzy mogą stać na nogach – 30 dni.
Ci, którzy mogą siedzieć – 3 tygodnie.
Ci, którzy nie mogą usiąść – 1 tydzień.
Ci, którzy sikają, leżąc – 3 dni.
Ci, którzy przestali mówić – 2 dni.
Ci, którzy przestali mrugać – do jutra.

Dni się ciągnęły, a walka stała się chaotyczna i desperacka – nie miała nic wspólnego z prawdziwą obroną. Był jeden wyjątek, dzięki któremu Taki zmienił swój przydział. Oddziały jako takie już się nie liczyły, więc postanowił się przyłączyć do grupy, którą dowodził major Takeyoshi Inagaki.

Inagaki stworzył najmocniejszą pozycję obronną na wyspie, na obszarze, który nazwał „Gifu” – od prefektury na swojej rodzinnej wyspie Honsiu. Umiejscowiona była na zachód od szczytu Mount Austen, pomiędzy dwoma wzgórzami. Było tam około 45 niewykończonych, ale wytrzymałych bunkrów ułożonych w kształcie podkowy, otwartą stroną na zachód pomiędzy dwoma wzgórzami. Ich konstrukcje wkopane były w ziemię, spięte balami i wzmocnione później od wewnątrz oraz na zewnątrz błotem. Ściany były grube na dwa bale, dachy na trzy, ponieważ drewno kokosowe łatwo było przebić ogniem maszynowym. Tylko bezpośrednie uderzenie ze 105-milimetrowej haubicy mogło zniszczyć te konstrukcje.

W każdym bunkrze znajdował się jeden lub dwa karabiny maszynowe Nambu oraz dwóch lub trzech strzelców. Rozmieszczenie bunkrów umożliwiało im wspieranie się nawzajem ogniem. Na zewnątrz, przed główną linią, u podnóża wysokich indyjskich drzew figowych i mahoniowych Inagaki ustawił pozycje dla strzelców indywidualnych i tych, którzy obsługiwali lekką broń maszynową. W tej twierdzy Alamo było ich około 500. Gifu było na dodatek trudne do wykrycia. W dżungli odległość, z której się zabijało, rzadko przekraczała 30 metrów, ale w Gifu wrogi żołnierz mógł dostać z zaledwie kilku metrów z niewidocznej strzelnicy[84].

Przy kilku okazjach Inagaki wysłał Takiego za linie wroga, by siał spustoszenie swoim kunsztem snajperskim. Pracując po swojemu, na czele atakującej kompanii, szykował sobie siedzibę, metodycznie wybierał jednego wrogiego żołnierza i umieszczał go na skrzyżowaniu linii w celowniku. Jego zabójcze strzały siały strach i zamieszanie w szeregach wroga, dając Takiemu rzadki powód do uśmiechu. Ukradkiem wracając do Gifu po zapadnięciu ciemności, on i jego koledzy zwiadowcy wymieniali się opowieściami o swoich „wycieczkach na polowanie”.

Dnia 25 grudnia batalion wroga zbliżył się do Gifu, ale został odepchnięty przez ostrzał. Misją tych oddziałów armii amerykańskiej (prawie wszyscy Marines opuścili wyspę przed 15 grudnia) było zaatakowanie i zajęcie Mount Austen (było to raczej kilka wzgórz, a nie pojedyncza góra) w pobliżu Gifu. Udało im się przejąć Mount Austen dopiero 1 stycznia. Tego dnia Inagaki rozdał swoim oddziałom ostatnie racje żywnościowe – dwa herbatniki i jeden twardy cukierek na osobę.

Po otrzymaniu pozwolenia 16 stycznia rozpoczęły się natychmiastowe przygotowania do opuszczenia wyspy.

Żołnierze zostali posegregowani do wyjazdu – najpierw ranni, potem chorzy, następnie głodujący, po nich zdolni do służby – wsiądą na pokład statków, które przypłyną. Czekali do 1 lutego 1943 roku, kiedy to o 22.40 statki przypłynęły w końcu do brzegu do Cape Esperance. O 24.00 wysłano ku brzegowi szalupy, by rozpocząć ewakuację[85].

O 1.53 zaokrętowano ostatniego żołnierza w Kamimbo, a o 1.58 w Cape Esperance. Pozostało jeszcze 1270 ludzi w Cape Esperance i kolejnych 300 w Kamimbo. Admirał Koyanagi, który wsiadł na jeden ze statków ratunkowych, zanotował:

> [żołnierze] mieli na sobie tylko strzępy ubrań tak brudnych, że ich fizyczne zniszczenie było ogromne. Prawdopodobnie byli szczęśliwi, ale nie okazywali emocji. Wszyscy mieli dengę (gorączkę tropikalną) lub malarię i nieustanną biegunkę. Ich układ pokarmowy był tak zniszczony, że nie mogliśmy ich karmić niczym poza owsianką[86].

Nawet generał Isoroku Yamamoto, zapoznający się z medycznym raportem z akcji ratowniczej, był wstrząśnięty tym, co przeczytał:

> [żołnierze] byli tak niedożywieni, że ich brody, paznokcie i włosy przestały rosnąć, a ich stawy wydawały się żałośnie wielkie. Mieli tak wychudzone pośladki, że ich odbytnice były kompletnie odsłonięte, a na pokładach niszczycieli, które ich zabrały, cierpieli na nieustanną i nieopanowaną biegunkę[87].

Większość tych będących w opłakanym stanie oddziałów była bezpieczna na pokładzie okrętów cesarskiej marynarki, ale do uratowania było więcej żołnierzy. Zostali oni zorganizowani w zgrupowanie obronne, mające osłaniać ewakuację. Była to zbieranina ludzi z różnych jednostek,

w tym kilku żołnierzy z oddziału Ichikiego (do którego należał również Taki), którzy przeżyli. Amerykanie ograniczyli swoje działania do wysyłania patroli, co dało grupom oczekującym na ratunek trochę wytchnienia od stałego napięcia.

Dwóch Marines z karabinami Springfield, wyposażonymi w celowniki Unertl, na Okinawie w maju 1945 roku. Celownik Unertl, o 8-krotnej mocy powiększenia, przewyższał inne w strzelaniu na dalekie odległości.

Przygotowując się do ewakuacji, 4 lutego pułkownik Matsuda, obecnie najstarszy stopniem dowódca na wyspie, rozkazał odkomenderowanie 128 ludzi na wschodni brzeg rzeki Segilau jako straż tylną. Polecił również, że dodatkowa straż tylna, składająca się z 70 ludzi, ma być wysunięta na zachód od rzeki Bongei, a reszta dowództwa ma się przenieść do Maravovo i przygotować do ewakuacji. Po zagorzałej dyskusji, jak i z kogo zbudować tylną straż, podjęto decyzję, by pozostawić pod Bongei tylko tych,

którzy nie mogą chodzić, a rannych do leczenia ambulatoryjnego zabrać o 15.00 do Segilau. Ci, którzy byli w stanie strzelać, zostali poproszeni o opóźnianie wroga, dopóki będzie można, a potem o zabicie siebie samych przed pojmaniem. Każdemu żołnierzowi w tym położeniu dano dwie tabletki dwuchlorku rtęci, który powodował pewną, lecz wyjątkowo bolesną śmierć. Pozostałym rozkazano zabić tych, którzy sami nie mogli strzelać.

Tego rozkazu Taki nie mógł zrozumieć. Ci żołnierze odważnie strzelali do wroga, zostali ciężko ranni i wytrzymali transport na noszach przez pozbawioną dróg dżunglę. A teraz, z ranami zainfekowanymi przez larwy, tak bardzo potrzebujący pomocy medycznej, mają być po prostu zastrzeleni? I to przez własnych podoficerów! Tego już było zbyt wiele. Odwrócił się z niesmakiem i smutkiem. Czy jemu też się to przydarzy?[88]

Drugi konwój ratunkowy przybył w nocy 4 lutego i kolejnych 3921 grup zostało zabranych na pokład. Kierowały się na Bougainville. Jeden człowiek-szkielet, który troszczył się o swego przyjaciela i go niósł, leżał teraz obok niego na pokładzie statku. Przyjaciel już nie żył, ale jego nieodłączny kompan nie chciał tego zaakceptować.

Pułkownik Matsuda martwił się o swoją tylną straż – jak ich wyciągnąć? Kolejna morska akcja ratunkowa była ryzykowna, ale ostatecznie zdecydował się na tę opcję jako jedyną możliwą. Siły armii amerykańskiej mozolnie posuwały się na zachód, w kierunku ostatniego przyczółku, pozostali żołnierze słyszeli pociski artyleryjskie bijące w Maravovo. Były też raporty o ogniu z karabinów maszynowych dochodzącym z Segilau, co nadal niepokoiło dowództwo. W końcu, o zachodzie słońca, mając 26 pancerników gotowych wyjść w morze, Matsuda przeorganizował oddziały w cztery grupy po 500 żołnierzy.

Pomiędzy 21.30 a 22.15 pozostałe grupy zostały zaokrętowane[89].

Oprócz jednego samotnego snajpera.

Poł godziny po północy 8 lutego 1943 r. ogłoszono, że wszystkie pozostałe grupy zostały zabrane na pokład. Żeby wypełnić przysięgę Hashimoto, że nigdy ich nie opuści, szalupy ratunkowe pływały tam i z powrotem, nawołując tych, którzy mogli się gdzieś zapodziać[90]. Taki słyszał te nawoływania i przez chwilę kusiło go, żeby na nie odpowiedzieć. Ale nie zrobił tego. Zanim inni wyjechali, jego przyjaciel wciągnął go na górę, do jego kryjówki na palmie. Nie było to trudne. Ważył teraz mniej niż 40 kilogramów. Wyniszczony przez malarię i dezynterię, nie jadł nic od tygodni. Ale był zły. Chciał pomścić śmierć swoich przyjaciół i tych rannych, którzy zostali dobici przez swoich podoficerów. Chciał oddać cześć własnej rodzinie i cesarzowi, umierając jak wojownik. Aby spełnić to pragnienie, zdecydował pozostać na brzegu.

* * *

Jego myśli powracają do teraźniejszości, jest świadom bólu, jaki wywołuje żerdź, na której siedzi w swojej kryjówce. Lina, na której został wciągnięty, przywiązana jest na dole do pnia drzewa, a on czeka – cierpliwie, po cichu, bez ruchu – przejęty swoją misją. Czekanie w samotności jest szczególnie trudne, gdy musi milczeć i pozostawać w bezruchu przez długi czas. Cierpną mu mięśnie, a zakończenia nerwów wołają o ulgę; on jednak wciąż siedzi bez ruchu i w milczeniu. I gdy tak siedzi, dokładnie zdaje sobie sprawę, jak wiele zniosło jego ciało, nawet kiedy jego umysł mówił mu, że więcej już nie da rady. Zmęczenie raczej wyostrza niż przytępia jego zmysł wzroku

i słuchu. Sprawdza zapas amunicji, ale pozostał mu już tylko jeden nabój.

Sprawi, że będzie miał znaczenie.

Jest 9 lutego 1943 roku. Przesiedział na drzewie całą noc, oczekując na przybycie sił wroga. Gdy zbliża się czoło 1. Batalionu 161. Pułku Piechoty Amerykańskiej Dywizji[91], Taki starannie mierzy w porucznika jednostki. Naciska spust, żeby wystrzelić ostatni nabój, utrzymując twarz ofiary w soczewce swojej lunety. Arisaka szarpie jeszcze raz, a Taki widzi przez celownik, jak głowa oficera eksploduje, rozpryskując się na czerwono i szaro.

Choć nie ma już amunicji, Taki instynktownie odciąga zamek karabinu do tyłu. Słyszy krzyczące głosy żołnierzy wroga i widzi, jak celują w kierunku jego kryjówki na drzewie.

Świat wydaje się zwalniać. Amerykański pocisk, kaliber .30, mknie w stronę głowy Takiego. Taki prawie że widzi, jak wchodzi w jego czaszkę. Nie czuje upadku z drzewa. Jego długa droga do krótkiego życia skończyła się.

Źródła

Książki

Leo J. Daugherty III, *Fighting Techniques of the Japanese Infantryman 1941–1945: Training, Techniques and Weapons* (MBI Publishing, 2002)

R. B. Frank, *Guadalcanal, The Definitive Account* (Penguin, 1992)

B. McCoy, *Japanese Army Snipers*, World War Two (e-book dostępny poprzez stronę internetową www.quikmaneuvers.com, 2008)

Gary Nila, Robert A. Rolfe, *Japanese Special Naval Landing Forces: Uniforms and Equipment 1932–1945* (Osprey, 2006)

G. L. Rottman, *Japanese Infantryman 1937–45: Sword of the Empire* (Osprey, 2005)
P. R. Senich, *U.S. Marine Corps Scout-Sniper, World War II and Korea* (Paladin Press, 1993)

Źródła internetowe
www.ww2db.com – baza danych dotyczących bitew drugiej wojny światowej, jednostek, załóg, statków; baza fotografii
Artykuł z Wikipedii „Battle of Guadalcanal” („Bitwa o Guadalcanal” – dostępny również w j. polskim), dostęp: styczeń 2011
www.lonesentry.com

Rozdział 6

WASILIJ ZAJCEW
Marynarz Stalingradu

Tak jak w przypadku poprzedniego pokolenia, Zajcew i jego rówieśnicy wydawali się urodzeni, by odnaleźć swoje ostateczne przeznaczenie na wojennym froncie.
W następstwie rewolucji październikowej z 1917 roku nowo powstałe państwo sowieckie skupiło się na radykalnej modernizacji wojska w celu zwiększenia potęgi militarnej Rosji do poziomu jej europejskich sąsiadów. Nie ma wątpliwości, że taka reforma potrzebna była już od dawna, ponieważ stara rosyjska armia była żałośnie wyposażona, słabo wyszkolona i miernie dowodzona przez oficerską elitę, która postrzegała przeciętnego rosyjskiego żołnierza pochodzenia chłopskiego jako prostackie, bezmyślne zwierzę. Podczas pierwszej wojny światowej armie niemiecka i austro-węgierska posiadały w swoich szeregach na froncie wschodnim licznych snajperów, którzy zbierali krwawe żniwo wśród nieszczęsnych Rosjan. Ci, mimo ogromnej armii, nie mieli ani snajperów, ani celowników optycznych, przez co nie byli w stanie odpowiedzieć na ostrzał snajperski. Wielu spośród żołnierzy, którzy przetrwali potworne walki na tamtym froncie, zostało potem starszymi podoficerami i oficerami nowej, sowieckiej armii. I nie zapomnieli ciężkiej lekcji, jakiej nauczyli się w okopach.

Rosja zabrała się więc do przemiany praktycznie rzecz biorąc XIX-wiecznej armii feudalnej w największą, najnowocześniejszą i najlepiej wyposażoną siłę zbrojną w Europie. Z powodu jej liczebności (w 1925 roku armia

liczyła 560 000, a w 1935 roku składała się już z 1 300 000 żołnierzy) wymiana wyposażenia stanowiła poważny problem – zarówno pod względem finansowym, jak i logistycznym. Generał Aleksiej Brusiłow (1853–1926), późniejszy głównodowodzący Armii Czerwonej, podjął decyzję o pozostawieniu starego modelu strzelby Mosin-Nagant model 1891/30 (która była wystarczająca, jeśli nie wybitna), ale postanowił również, że wyprodukowany zostanie nowy karabin, przeznaczony specjalnie dla snajperów.

Był to relatywnie prosty proces, gdyż od 1926 roku Armia Czerwona zaczęła produkcję dobrych kopii niemieckich celowników, bazując na wzorcach Zeissa/Kahlesa i Emila Buscha. Dzięki drobnym modyfikacjom można było je zamontować po lewej stronie zamka Mosina. Od 1932 roku pierwsze z tych karabinów snajperskich były dostępne dla armii.

Nowy celownik, o czterokrotnym powiększeniu PE, był w unikalny sposób dopasowany, tak że pokrętła zarówno ustawienia poprawek bocznych, jak i podniesienia celownika były łatwe w użyciu, nawet bez ściągania rękawiczek. W latach 1932–1938 wyprodukowano ich ponad 54 000 egzemplarzy. Konstrukcja sprawdziła się, dając możliwość zgrupowania 10 strzałów na obszarze 3,6 centymetra przy odległości 100 metrów oraz na obszarze 34 centymetrów przy odległości 550 metrów przy użyciu zwykłego pocisku ze stalowym płaszczem kalibru 7,62 x 54 mm i 13,6-gramowego pocisku ze zwężającą się tylną częścią (SBT). Późniejsze wykorzystanie cięższej, przebijającej pancerz amunicji pozwoliło na ścieśnienie zgrupowania kul i nieznaczne zwiększenie maksymalnego efektywnego zasięgu do 700 metrów. W 1936 roku celownik uproszczono, tworząc mniejszy i lżejszy model PU, który

ostatecznie stał się podstawym wyposażeniem dla sowieckich snajperów na czas całej drugiej wojny światowej i sporej części zimnej wojny.

Nawet jeśli produkcja broni szła bardzo dobrze, byłaby ona bezcelowa z powodu braku odpowiedniej liczby żołnierzy potrafiących się nią posługiwać. Powstał więc plan szkolenia strzelców wyborowych opracowany przez generała Woroszyłowa. Do 1939 roku około 60 000 żołnierzy wręczono Odznakę Strzelców Wyborowych Woroszyłowa. Należy jednak podkreślić, że nie byli to wyszkoleni snajperzy, lecz dobrzy strzelcy, którzy mieli w przyszłości pobierać nauki w rosyjskich szkołach snajperskich. Żeby zdobyć praktyczne doświadczenie, kilkuset sowieckich snajperów brało udział w hiszpańskiej wojnie domowej (od lipca roku 1936 do kwietnia roku 1939).

Pewna swojej nowej militarnej potęgi, Armia Czerwona zaatakowała pod koniec 1939 roku Finlandię, nie przewidując, że zostanie zatrzymana przez setki fińskich snajperów, którzy okazali się zabójczo skuteczni. Byli oni w większości wyposażeni w niemal identyczną broń co żołnierze sowieccy, lecz tylko nieliczni używali celowników, które zamarzały i zaparowywały na siarczystym mrozie. Wielu z nich było myśliwymi, przyzwyczajonymi do niesprzyjających warunków oraz potwornego zimna (–45°C nie było niczym niezwykłym) i okazali się lepsi od lepiej wyposażonych snajperów sowieckich. W rezultacie Armia Czerwona została zmuszona do odwrotu po tęgim laniu z rąk Finów. Doprowadziło to do gwałtownego przewartościowania snajperskiego treningu i taktyki – gdy zatem Niemcy podjęli brzemienną w skutkach decyzję o zaatakowaniu Rosji w czerwcu 1941 roku, musieli stawić czoła licznej armii sowieckich snajperów, którzy byli wtedy

prawdopodobnie najbardziej doświadczoną i najlepiej wyposażoną siłą tego typu na świecie.

Sowieccy snajperzy na froncie karelskim podczas kontynuacyjnej wojny przeciwko Finlandii.

Sowiecki snajper w akcji przeciwko armii fińskiej. Jego mundur jest dobrze ukryty, ale brak maskowania karabinu był błędem, który mógł kosztować życie.

Snajperzy z sowieckiej 104. Dywizji Strzelców w marcu 1943 roku. Mężczyzna po lewej ma na sobie zimowy kamuflaż wzoru przedwojennego, drugi – wersję wprowadzoną w 1941 roku.

Młodzieńcze lata Zajcewa

W ten właśnie zamęt został wrzucony młody marynarz, Wasilij Zajcew[92]. Urodzony 23 marca 1915 roku w rodzinie chłopów i myśliwych z Jeleninskoje na Uralu, był uczony obsługi broni palnej już od najmłodszych lat. W wieku 12 lat dostał 20-milimetrową dubeltówkę i pas naboi napełnionych masywnymi kulkami śrutu. Otrzymał również proroczą radę:

> Stałem się dorosłym […] i niezależnym myśliwym. Mój ojciec, wspominając dni, w których walczył pod dowództwem Brusiłowa, powiedział mi: „Używaj każdego pocisku rozsądnie, Wasilij. Naucz się strzelać i nigdy nie pudłuj. To ci pomoże – i to nie tylko podczas polowania na czworonogie bestie”.

Mimo niskiego wzrostu (mierzył około 158 cm, w rodzinie przezywano go „Mały”) był silny fizycznie i bardzo samodzielny. Jak wspominał później jeden z oficerów, był bardzo skromny i miał „powolną gracją ruchów oraz nadzwyczaj spokojną naturę”[93]. Cechowała go również ogromna stanowczość. Spędził raz noc na siarczystym mrozie, tropiąc wilka wraz ze swoim kuzynem Maksymem – ostatecznie dopadł i zabił zwierzę. Zafascynowany sztuką tropienia, spędzał w lasach tyle czasu, ile tylko mógł. Swój zapach maskował ostrym zapachem borsuczego tłuszczu. Jego siostra narzekała wręcz, że „śmierdzi jak zwierzę”.

> Nauczyłem się rozpoznawać ślady dzikich zwierząt, jak gdybym czytał książkę. Tropiłem legowiska wilków i niedźwiedzi, budowałem kryjówki tak dobrze zamaskowane, że nawet dziadek nie mógł mnie znaleźć, dopóki się do niego nie odezwałem.

Używanie dubeltówki o krótkim zasięgu oznaczało, że musiał podchodzić bardzo blisko swojej zdobyczy, a niezliczone godziny spędzone na tropieniu, czołganiu się i cierpliwym czekaniu miały w przyszłości zaprocentować w sposób, którego Zajcew nie mógł przewidzieć.

Życie w wojsku

W 1937 roku został wcielony do wojska jako marynarz sowieckiej floty na Pacyfiku i do końca swojej kariery był dumny, że nosił tzw. tielniaszkę, charakterystyczną koszulkę

marynarską w biało-niebieskie pasy. Ze względu na małą posturę został uznany za nieodpowiedniego do służby na froncie, oddelegowano go więc do pracy w składzie morskim we Władywostoku. Jego obowiązki aż do wybuchu wojny nie były zbyt ambitne. W czasie wojny jednak, coraz bardziej rozgniewany raportami o okrucieństwie Niemców i poruszony ciężkim położeniem obrońców Leningradu, kilkakrotnie zgłosił się na ochotnika do walki na froncie. Ostatecznie we wrześniu 1942 roku założył mundur szeregowca 1047.2 Pułku Strzelców, w kolorze khaki; tak jak pozostali marynarze, swoją ukochaną tielniaszkę nosił pod mundurem.

Jego zapoznanie ze Stalingradem i sława snajpera rozpoczęły się szkoleniem na obrzeżach zrujnowanego miasta, gdzie bynajmniej nie ćwiczył swoich umiejętności snajperskich, lecz odbywał trening w walce wręcz: używaniu pistoletów maszynowych, bagnetów, noży, saperki i granatów ręcznych. „My, marynarze, byliśmy teraz uczeni łapać granaty w locie i rzucać je ponownie w okopy”.

Po skończeniu treningu wraz z towarzyszami został zawieziony zatłoczonymi drogami nad rzekę Wołgę. Było to dla nich doświadczenie szokujące: mnóstwo starców, kobiet i dzieci ubranych w brudne szmaty, jak również potoki rannych, ledwie idących żołnierzy, owiniętych w zakrwawione bandaże, z trudem mijały wozy armii.

> Chcieliśmy zapytać ich o bitwę, lecz ich wygląd mówił sam za siebie. Szli jak zombie. Miasto wyglądało jak tlące się, pachnące siarką piekło, z wypalonymi budynkami, żarzącymi się niczym czerwone węgle, oraz ogniem pochłaniającym ludzi i maszyny.

W nocy 22 września przekroczyli Wołgę na łodziach, a następnie zostali skierowani na teren Długiego Wąwozu,

który był przedwojenną dzielnicą hut metalu. Tu ich pułk został od razu posłany do ataku. Mało brakowało, a militarna kariera Zajcewa skończyłaby się, zanim miała szansę się rozpocząć:

> Nagle przygwoździł mnie wielki Niemiec. Uderzył mnie kolbą swojej broni, lecz na szczęście cios otarł się o czubek mojego hełmu, a nie o twarz. Udało mi się wtedy wyślizgnąć i złapać go ręką od tyłu za szyję. Kiedy się tak miotał, udusiłem go.

Przez tydzień pułk odpierał ataki pełną parą w fabryce metalu, a w pewnym momencie Zajcew został prawie pochowany żywcem w bunkrze pełnym trupów. Było to typowe dla walk w mieście. Lecz nie do tego najlepiej się nadawał.

Jedno przypadkowe spotkanie odmieniło przebieg wojny dla Zajcewa. Wraz z kilkoma towarzyszami z oddziału czołgał się przez ruiny płonącego składu paliwa na obrzeżach dzielnicy przemysłowej, gdy ciężki ostrzał z niemieckich karabinów maszynowych zmusił ich do szukania osłony. Zajcew znalazł się obok żołnierza, który był jeszcze mniejszy od niego, „chuderlawej namiastki żołnierza” – jak go później opisywał. Zafascynowany, obserwował, jak mały człowieczek przedzierał się do przodu, aż do miejsca, z którego mógł zobaczyć pozycje niemieckich karabinów maszynowych ponad kupą starych kamieni brukowych:

> Przyłożył swój karabin do prawego ramienia. Karabin ten miał jakąś dziwną rurkę na wierzchu. Po chwili niski żołnierz zaczął celować i – TRACH! Przeniósł ciężar ciała i po kilku sekundach strzelił ponownie – TRACH! I nagle oba karabiny maszynowe zamilkły.

Po zakończeniu operacji Zajcew zapytał o tożsamość owego żołnierza. Jak się okazało, był to snajper, sierżant Galifan Abzałow, który miał na swoim koncie już ponad 100 zabitych. Zajcew był nim zafascynowany i desperacko chciał z nim porozmawiać, lecz nie miał ku temu okazji – z powodu lekkiej rany nogi od kuli został wycofany z linii frontu na kilka dni.

Snajper Zajcew

Kiedy powrócił na linię frontu, sytuacja była stosunkowo spokojna, a Zajcew wraz z kilkoma innymi żołnierzami siedział w głębokim leju po pocisku artyleryjskim. Palili papierosy. Nagle niemiecki karabin maszynowy zaczął ostrzeliwać ich pozycję. Jeden z towarzyszy Zajcewa dostrzegł stanowisko wroga, oddalone o jakieś 600 metrów, i wręczył mu peryskop:

> Rzuciłem szybko okiem, następnie podniosłem karabin i, praktycznie bez celowania, wystrzeliłem. Żołnierz obsługujący karabin maszynowy runął na ziemię. W przeciągu kilku sekund pojawiło się dwóch kolejnych, których wyeliminowałem błyskawicznie, zużywając na każdego zaledwie po jednym naboju.

Generał Wasilij Czujkow i komisarz Vadim Gurow oglądają karabin snajperski Wasilija Zajcewa. Zajcew stoi po prawej stronie w białym kombinezonie kamuflującym.

Biorąc pod uwagę, że było to strzelanie na szybko przy użyciu zwykłego karabinu bez celownika optycznego, był to naprawdę imponujący strzał, który w normalnych warunkach przeszedłby jednak niezauważony. Ale wyczyn młodego żołnierza został dostrzeżony przez nieznanego mu dowódcę brygady, Batiuka, który natychmiast kazał zaopatrzyć Zajcewa w broń snajperską. Był to Mosin-Nagant z celownikiem PE, który pozostał jego ulubioną bronią przez resztę służby. Pomimo braku formalnego przeszkolenia z zakresu posługiwania się bronią tego typu i dbania o nią Zajcew od razu zabrał się do pracy na swojej nowej pozycji, a zabijanie znienawidzonych najeźdźców – nazistów – przypadło mu do gustu:

> Podobało mi się, że jestem snajperem i mam możliwość dowolnego wyboru swoich ofiar. Przy każdym strzale miałem wrażenie, że słyszę pocisk przebijający się przez czaszkę wroga, nawet gdy cel był oddalony o 600 metrów. Czasami jakiś nazista spoglądał w moją stronę, niemalże patrząc mi w oczy i nie mając pojęcia, że są to ostatnie sekundy jego życia.

Z powodu braku odpowiedniego szkolenia Zajcew zmuszony był uczyć się regulacji celownika optycznego metodą prób i błędów. Na szczęście proces ten nie był trudny, gdyż Zajcew był zarówno inteligentny, jak i – pomimo swojego wiejskiego pochodzenia – zdolny w sprawach technicznych. Strzelanie na dalekie odległości było oczywiście znacznie trudniejsze z powodu bocznego wiatru, zmieniającego lot pocisku, do czego nie był przyzwyczajony. Jak później przyznał, przy określaniu siły wiatru korzystał z licznych słupów dymu, unoszących się znad pożarów:

> Nastawiłem celownik na odległość 550 metrów i patrzyłem, czy wiatr wpłynie na mój strzał. Jeśli dym […] unosił się w górę w prostej linii, to znak, że wiatr był tego dnia słaby, dzięki czemu nie musiałem brać na niego poprawki.

Robił, co mógł, pośród tlących się ruin miasta, lecz był w swoim zadaniu dość osamotniony. Nie było bowiem żadnej oficjalnej decyzji o ustanowieniu sekcji snajperów w jego pułku. Wszystko to miało się jednak zmienić 21 października 1942 roku, kiedy to Zajcew został wezwany do bunkra, żeby zobaczyć się z dowódcą Jabłoczkinem, który był pułkowym „politrukiem” czy też – jak się to mówiło – starszym komisarzem politycznym. „Masz nowe rozkazy – powiedział lakonicznie. – Od tej pory twoim priorytetem jest

eliminowanie tych wałęsających się niemieckich maruderów obsługujących karabiny maszynowe”. Zajcew zaprotestował, mówiąc, że nie jest to zadanie, które byłby w stanie wykonać w pojedynkę. „Rozumiem – odparł komisarz – i właśnie dlatego daję ci ten rozkaz. […] Chcę, żebyś rozejrzał się po tym pokoju i wybrał kilku dobrych strzelców, a potem ich wyszkolił”.

Do Zajcewa powoli dotarło, że polecono mu stworzenie jego pierwszej szkoły snajperów poprzez wybranie kilku ludzi z pokoju pełnego rannych i znerwicowanych żołnierzy. „W jaki sposób? – zastanawiał się. – Czy oczekują ode mnie, że stworzę oddział snajperów z tej garstki żołnierzy?”. Mimo swoich obaw wybrał młodego inżyniera ze wstrząśnieniem mózgu, Michaiła Ubożenko, który odmówił wcześniej ewakuacji. Wręczył mu broń snajperską wraz z pięciominutowym instruktażem. Ubożenko zastrzelił dwóch Niemców, jednego po drugim, co rozzłościło wroga, który w odwecie skierował na nich ogień karabinu maszynowego. Schowali się więc szybko, a Zajcew poczynił refleksje na temat swojej pierwszej próby nauczania.

> W ten sposób ruszyła nasza szkoła snajperów. Ja, profesor, byłem w rzeczywistości jej pierwszym uczniem. Do tej pory uczyłem się jedynie na własnych błędach.

Jego proces selekcji bazował na pierwszym wrażeniu, jakie sprawiali kandydaci, a jego instynkt mylił się niezwykle rzadko. Jak to później komentował: „Ogólnie los uśmiechnął się do mnie, jeśli chodzi o moich snajperów”. Wkrótce zrekrutował Nikołaja Kulikowa („intelektualistę […], który bardzo starannie dobierał słowa”), Aleksa Griazewa („olbrzyma […], który był w stanie bez większego wysiłku podnieść dużą tokarkę, ważącą ponad sto kilogramów”)

oraz kolejnego wielkoluda w osobie Saszy Reutowa, który specjalizował się w używaniu karabinu przeciwpancernego PTRD i mógł go nosić przez cały dzień bez zmęczenia, mimo że karabin ważył około 20 kilogramów. Kolejnymi wybranymi byli strzelcy: Morozow, Abzalow, Szajkin, Miedwiediew, Dwojaszkin oraz Kostrikow, a ten mały zespół stał się później znany jako „zające Zajcewa” czy też „zajączki”.

Snajperzy rosyjskiej 32. Armii po wręczeniu odznak. Mają na sobie letnie mundury, takie jak podczas walki. Podczas walki nie noszono jednak żadnych odznak ani insygniów.

Znalezienie czasu na instruktaż podczas bezustannych walk było prawie niemożliwe. W przeciwieństwie do

snajperów z innych armii, którzy byli zwolnieni z normalnych obowiązków z powodu długich godzin pracy, od snajperów Armii Czerwonej oczekiwano udziału w patrolach i staniu na straży do tego stopnia, że wielu potrafiło zasnąć pod ostrzałem z wyczerpania. Nawet zwykle niezmordowany Wasilij sięgnął kresu swoich sił fizycznych. Snajper wspomina, jak raz został wezwany, by złożyć raport swojemu dowódcy kompanii, porucznikowi Kotowowi:

> Moje nogi zaczynały się poddawać, kołysałem się na boki. Kiedy adiutant poinformował Kotowa o moim przybyciu, rozwścieczony dowódca batalionu zlustrował mnie od góry do dołu i widząc, w jakim jestem stanie, ostro powiedział: „Zabrać go stąd i dać mu się wyspać”.

Portret Hitlera przygotowywany jako cel podczas szkolenia sowieckich snajperów. Żołnierz stojący twarzą do obiektywu trzyma karabin Mosin-

Nagant 1891/30 z celownikiem optycznym PE.

Sowiecka ilustracja ukazująca zastosowanie osłony kamuflażowej podczas operacji snajperskich. Obok osłona tego typu używana przez parę kobiet – snajpera i obserwatora.

Snajper w Stalingradzie

Przy nieustannym bombardowaniu z powietrza przez niemieckie heinkle i sztukasy, jak również ciągłym ostrzale artylerii obu stron, walki w płonących ruinach przybierały charakter niemal surrealistyczny. Całun dymu wisiał nieustannie nad ruinami, przesłaniając słońce i sprawiając, że żołnierze sapali i kasłali od gryzących oparów. Spora część walk odbywała się w podziemnych tunelach oraz kanałach ściekowych, a dzień i noc zlewały się ze sobą w ciągłym półświetle. Walki stawały się również coraz bardziej brutalne. Niemcy dobijali rannych żołnierzy sowieckich przy użyciu miotaczy ognia, Rosjanie odpowiadali podrzynaniem gardeł bezbronnym Niemcom czy też wrzucaniem granatów do przepełnionych bunkrów Czerwonego Krzyża i dobijaniem ocalałych za pomocą pistoletów maszynowych. Szczególny strach i nienawiść budzili snajperzy obu stron, dla których złapanie przez wroga oznaczało nieuchronną śmierć, często przy użyciu metod przypominających najbardziej okrutne metody tortur średniowiecza.

Wielu snajperów nosiło przy sobie pistolety, które traktowali jako ostatnią deskę ratunku na wypadek wpadnięcia w okrążenie. Podczas obrony Moskwy dwie z kobiet-snajperów, Natalia Koszowa i Marija Poliwanowa, broniły się do ostatnich naboi, po czym podobno objęły się w ostatnim uścisku, detonując granaty między sobą, czym zasłużyły sobie na pośmiertne Odznaki Bohatera Związku Radzieckiego.

W chaosie rumowisk i tuneli praca snajpera była szczególnie trudna, ponieważ broń snajperska przeznaczona jest przede wszystkim do starć na dalekim dystansie, podczas gdy znaczna część walk odbywała się na bardzo bliską odległość. Zajcew napisał, że skradanie się z bronią snajperską na plecach pośród rumowisk było niezwykle trudne. „Czołganie się jest dla snajpera bardzo trudne. Długi karabin na plecach nieustannie przesuwa się z jednej strony na drugą, więc trzeba się zatrzymywać i go poprawiać”. Broń z powtarzalnym zamkiem była również powolna w użyciu w ogniu walki i nieporęczna w ciasnych przestrzeniach, więc większość snajperów nosiła także pistolety maszynowe PPSh 41, użyteczną broń kompaktową o dużej szybkostrzelności – rzędu 900 pocisków na minutę – jak również szeroko rozpowszechnione granaty ręczne RGD-33, zazwyczaj tyle, ile dało się zmieścić w kieszeniach. Niemieckie pistolety maszynowe MP 40 były również popularne, lecz razem z zapasową amunicją, granatami oraz jedzeniem stanowiły spore obciążenie i zdecydowanie nie były najlepszą metodą wykorzystania umiejętności snajperów.

Obie strony zaczęły również rutynowo używać pocisków eksplodujących – co było oczywiście sprzeczne z regułami wojny, lecz w Stalingradzie reguły cywilizowanego postępowania nic nie znaczyły. Sowieccy snajperzy

preferowali pracę blisko niemieckich linii i przemieszczali się między nimi w nocy, wybierając na kryjówki piwnice czy zrujnowane budynki – wszelkie miejsca, z których mieli dobre pole widzenia i ostrzału. Nieustanny ostrzał artylerii, daleki od zniszczenia miasta, zamienił je w rzeczywistości w raj dla obrońców, gdyż wszędzie stały zrujnowane budynki z dziurami od pocisków lub ostrzału dział, a siedzenie głęboko w cieniu pokoju dawało snajperowi świetną ochronę. Był on praktycznie niemożliwy do zauważenia i tylko zdecydowane natarcie piechoty mogło go wypłoszyć:

> Parliśmy naprzód przez rumowisko. Obsługi naszych karabinów maszynowych ostrzeliwały okna, podczas gdy grenadierzy wchodzili przez duże wyrwy w murze. Rzucali swoje ładunki, a my biegliśmy naprzód, strzelając w górę w kierunku schodów i wyżej położonych pomieszczeń. Więcej granatów, oślepiających błysków oraz ogłuszającego huku i wpadliśmy do pomieszczenia nad nami. Martwy Iwan leżał w kałuży krwi, z bronią snajperską w rękach. Było tam jedzenie i woda oraz smród ekskrementów. Żył tam całymi dniami, eliminując nas jednego po drugim. Nie próbował nawet uciekać[94].

Praca wykonywana przez „zajączki” na zajmowanym przez nich terenie wokół wzgórza Mamajewa zaczęła być jednak zauważana przez Niemców, ponieważ miejsce to zamieniło się w śmiertelną pułapkę. Najmniejsze wystawienie się przez nieostrożnego żołnierza kończyło się kulą od jednego z sowieckich snajperów. Do listopada Zajcew miał na koncie ponad 100 potwierdzonych trafień, a jego ludzie, licząc łącznie, znacznie przekroczyli tę liczbę. Metodą niemieckich snajperów był zwykle ostrzał z pierwszych pozycji na własnych liniach, lecz chcąc wyeliminować tę

małą bandę, stali się bardziej przebiegli i wkrótce zaczęli zwracać szczególną uwagę na ten oddział snajperów. Zajmując okopy na poszarpanych pociskami stokach zaciekle atakowanych wzgórz, Rosjanie spędzali całe dnie na odpieraniu kontruderzeń za pomocą nie tylko broni snajperskiej, lecz również granatów i pistoletów maszynowych. Wróg był często tak blisko, że – jak to skomentował Zajcew – czasami nie trzeba było nawet celować. Lecz po upływie 10 dni wszyscy członkowie grupy byli niedożywieni i wycieńczeni, desperacko brakowało im wody, a w ich działania zaczęła się wkradać nieostrożność.

> Ledwie zdążyłem przyłożyć karabin do ramienia, a fryce już podnieśli karabin maszynowy [...] i otworzyli ogień. Ale ich nowy strzelec nie miał żadnej osłony. Przymierzyłem i wystrzeliłem, a karabin zamilkł. Wtedy zdałem sobie sprawę, że wrogowie mnie obserwują. Wiedziałem, że muszę zmienić położenie. Zostawiłem hełm jako przynętę, [...] następnie czmychnąłem przez okop w poszukiwaniu innej pozycji. Wtedy zacząłem myśleć o tym, jak bezmyślnie fryce pozwolili nam się zauważyć, i wtedy to wszystko do mnie dotarło. „Chłopaki – to pułapka [...]".

Lecz było już za późno. Sasza Griazew został trafiony wybuchającym nabojem, który wyrwał wielką dziurę w jego klatce piersiowej. Zajcew i jego ludzie pochowali towarzysza, po czym przysięgli sobie, że będą zachowywać większą ostrożność – i że dokonają zemsty na niemieckim snajperze. Przystąpili do wielogodzinnej, dokładnej obserwacji niemieckich linii. Ich oczy były podrażnione i czerwone, starali się pozostać w bezruchu, szukając jednocześnie najmniejszej wskazówki, która zdradziłaby ukrytego snajpera. Przez swój peryskop Zajcew leniwie

liczył stertę starych niemieckich łusek, po czym przyszło mu na myśl:

> W jednej z nich brakowało dna! Przez taką łuskę […] ktoś mógł widzieć na dużą odległość. Podniosłem się lekko. Nagle tam w osłonie – to było jak krzesanie iskry! Eksplodujący nabój rozdarł znajdujący się za mną wał.

Wstrząśnięty, lecz zdecydowany na wszystko, Zajcew wraz ze swoim snajperskim kompanem Kulikowem najpierw zaznali odrobinę tak potrzebnego im snu, a następnie wykradli się na swoje pozycje przed świtem i ostatecznie odnaleźli poszukiwaną pustą łuskę, teraz będącą już w innym miejscu i dobrze zakamuflowaną.

> Nikołaj cofnął się i za pomocą kija podniósł hełm kilkanaście centymetrów nad wał. Niemiec oddał strzał, który przebił hełm na wylot. Byłem zaskoczony, że dał się złapać na tę przynętę.

Zajcew cierpliwie obserwował, jak Niemiec sięgnął po zużyty nabój. Było to standardowe zachowanie snajperów, niezostawiających po sobie żadnych śladów. Gdy to robił, poruszył się nieznacznie, podnosząc głowę. Dokładnie tego Rosjanin potrzebował. Kilku sekund z widokiem czystej linii strzału:

> Pozwoliło mi to dostrzec kilka centymetrów czaszki, których potrzebowałem, żeby wyzerować broń. W tej sekundzie padł mój strzał. Pocisk trafił go w linię włosów. Hełm spadł do przodu, opierając się o brwi, a jego broń leżała bez ruchu, z lufą wciąż w pustej łusce.

Działania kontrsnajperskie

Snajperzy zdali sobie sprawę, że nie mieli już przewagi, ponieważ Niemcy zaczynali wysyłać w bój swoich doświadczonych snajperów. Jak pisał Zajcew: „Z każdym dniem stawali się coraz bardziej ostrożni i coraz bardziej przebiegli”. Lecz rosyjska zawzięta obrona wzgórza trwała nadal, a oni namierzali obsługę karabinów maszynowych i obserwatorów artyleryjskich. Jednak nie każdy strzał był celny. Gdy niemiecki żołnierz otworzył ogień maszynowy, obaj – Zajcew i Kulikow – nastawili swoje celowniki na 300 metrów i wystrzelili. Ku ich zaskoczeniu broń nadal strzelała.

> Siedzieliśmy z Nikołajem w ciszy. Obaj byliśmy zawstydzeni, że spudłowaliśmy. Może to zmęczenie wpływało na nasz wzrok, może celowniki zaczęły szwankować, a może to nasz oddech był nierówny. Wtedy przypomniałem sobie, że strzelam przecież w dół wzgórza. W takich warunkach zawsze ciężko określić odległość – zawsze trzeba dodać co najmniej 10% mierzonego dystansu. W wąwozie na dole nazistowski karabin maszynowy ponownie otworzył ogień. „Posłuchaj – powiedziałem – mam go ustawionego na dystansie 350 metrów, ty strzelaj na 400 metrów”. Wycelowaliśmy ponownie i wystrzeliliśmy jednocześnie. Nikołaj zabił strzelca, podczas gdy mój pocisk uderzył zbyt blisko.

Pod koniec jesieni, po niemal miesiącu na linii frontu, Zajcew i jego ludzie zostali wreszcie wycofani z tego okropnego wzgórza i oddelegowani do specjalnego zadania: mieli spróbować namierzyć wzrastającą liczbę nazistowskich snajperów, którzy mieli na swoim koncie coraz więcej ofiar wśród sowieckich żołnierzy. Praca kontrsnajperska stawała się coraz ważniejsza i coraz bardziej niebezpieczna, chociaż czasem zamieniała się

w farsę. Blisko jednego z punktów dowodzenia troje ludzi zostało trafionych jednego dnia, wliczając w to porucznika z grupy Zajcewa, Arkipa Sucharewa. Sfrustrowany swoją nieumiejętnością znalezienia kryjówki uporczywego snajpera, Zajcew zaczął wykrzykiwać niemieckie wulgaryzmy przez megafon. Najpierw jeden, następnie drugi pocisk zadźwięczał mu za uszami. Niemiec znajdował się pod wagonem pociągu, lecz Zajcew nie miał jak go trafić. Polecił więc początkującemu snajperowi Gorozajewowi, by ten oślepił wroga lusterkiem z peryskopu. Modląc się, żeby podstęp zadziałał, Zajcew przeczołgał się do innego punktu obserwacyjnego, zostawiając po sobie prymitywną atrapę. Przekonany o wykonaniu śmiertelnego trafienia, Niemiec popełnił kardynalny błąd. Wstał i zawiesił broń na ramię. Gorozajew starannie wycelował:

> W tym momencie spostrzegłem, że nazista musiał zauważyć odbicie z celownika optycznego Gorozajewa. Wyraz jego twarzy zmienił się z triumfalnego na zaniepokojony, nagle zaczął podnosić broń i celować w nas. Zabrzmiał strzał Gorozajewa. Pocisk powalił nazistę na ziemię.

Wykorzystanie elementów naturalnego kamuflażu do zamaskowania zarówno munduru, jak i hełmu. Sowiecki snajper przygotowuje się do oddania strzału.

Starannie zamaskowany zespół rosyjskich snajperów.

Do tej pory doświadczony Zajcew przyswoił sobie kilka metod radzenia sobie z wrogimi snajperami. Jego metodą działania było wykorzystanie realistycznej atrapy i ustawienie jej tuż obok bardzo dobrze zakamuflowanego stanowiska. Kiedy snajper strzelał w atrapę, najwyraźniej z marnym efektem, próbował często drugi raz, dając Zajcewowi kilka sekund na oddanie strzału. Czasami udawał też nowicjusza. „Usypiałem czujność przeciwnika lub też po prostu bawiłem się z nim trochę”. Wtedy wystawiał siebie samego jako atrapę, którą do tego czasu Niemcy nauczyli się ignorować: „Kopnięciem odrzucałem atrapę na bok i łapałem głowę snajpera na swój celownik”.

Narodziny legendy

Mało było okazji dla nowo mianowanych snajperów, takich jak Gorozajew, by otrzymać jakiekolwiek formalne szkolenie

snajperskie. Każdy człowiek był potrzebny w walce, więc większość „zajączków” szkolona była na linii frontu poprzez przypisanie jednego lub dwóch do doświadczonego snajpera. Często była to bardzo krótka służba – przeciętny czas przetrwania na linii frontu dla żołnierza piechoty wynosił 24 godziny, dla snajpera poniżej tygodnia – lecz ci, którzy przetrwali dłużej, stawali się przeważnie świetni (w swoim fachu). Niezmiernie rzadko zdarzało się, że tacy ludzie zawodzili. Jeden snajper, Sidorow, został przeniesiony ze swojej jednostki za przedkładanie osobistych dokonań ponad bezpieczeństwo towarzyszy broni. Generalnie jednak postawa ludzi związanych z oddziałem snajperów była niezachwiana.

Do wczesnej zimy 1942 roku Zajcew stał się swego rodzaju legendą na froncie i gdziekolwiek pojawiał się pilny problem, wzywano go i jego ludzi, by znaleźli rozwiązanie, co z resztą zawsze robili. Mimo że czasem opisywano go jako niewyedukowanego wieśniaka, Zajcew był inteligentny i rozważny, tak jak wielu innych snajperów. Często preferował milczenie nad rozmowę, lecz gdy już miał coś do powiedzenia, było to przeważnie coś godnego uwagi.

Jeden jego zwykły komentarz do oficera został podłapany przez sowiecką prasę, zdesperowaną poszukiwaniem żołnierzy, którym mogliby przypiąć metkę bohatera. Zajcew powiedział: „Dla nas nie ma ziemi za Wołgą”, co miało się stać wezwaniem bojowym do zaciętej obrony Stalingradu.

Wkład snajperów w obronę wzgórza Mamajewa nie pozostał niezauważony przez najwyższe dowództwo. Pewnego popołudnia Zajcewa wezwano na rozmowę z politrukiem, dowódcą do spraw politycznych, który zaczął wypytywać snajpera o jego pracę. Zajcew żachnął się, uznając to za kwestionowanie jego oddania sprawie, i zaczął tyradę, która została szybko przerwana. „Wasilij,

źle mnie zrozumiałeś. Nie podważam twoich osiągnięć. Tak naprawdę opisuję twoje wyczyny w swoich raportach już od miesiąca”.

> Nagle dotarło do mnie, że ten kapitan Grigoriew był dziennikarzem. Opowiedziałem mu o honorze snajpera, o moich towarzyszach i o rzeczach, które odkryłem, przyglądając się taktyce snajperów. Później wszystko to stało się obiektem dyskusji w jednym z departamentów *Stawki* [naczelnego dowództwa]. Grigoriew zdołał utrwalić moje losy i w jakiś sposób przekazał je do wysokiego dowództwa w formie artykułu.

Nieświadomy niczego Zajcew miał się właśnie stać legendą.

Zmiana taktyki

Wyrzucając wywiad ze swoich myśli, Zajcew pośpieszył do ludzi, którym przydzielono zadanie odnajdywania i eliminowania wzrastającej liczby niemieckich snajperów, polujących na sowieckich obserwatorów artyleryjskich. Szczególnie jeden z nich przysparzał im problemów, więc wykorzystując trajektorię pocisków trafiających w peryskop obserwatora, snajperzy obliczyli, że nazistowski strzelec kryje się w ogromnym kominie. Zaczaili się tam, czekając, aż wyjdzie. Po czterech miesiącach walk dało się zauważyć stopniową zmianę nacisku w taktyce oddziału snajperskiego. Nie wystawiali się już na ryzyko poprzez zabijanie każdego Niemca, którego zaobserwowali. Po części było to spowodowane terenem, na którym walczyli. Czekali teraz w szczególności na cele, które były wystarczająco ważne, by oddać do nich strzał. Było teraz zbyt wielu snajperów wroga na froncie, by ryzykować ujawnienie swojej pozycji bez istotnej przyczyny. „Ograniczyliśmy nasze strzały do wrogich snajperów i do

najbardziej niebezpiecznych z ich stanowisk z karabinami maszynowymi”.

Żołnierz Armii Czerwonej celuje z karabinu Mosin-Nagant M1893/30, tutaj z zamocowanym z boku celownikiem optycznym PEM.

Przy jednej okazji uparł się, żeby ani on, ani jego towarzysze nie strzelali do oficera będącego bardzo kuszącym celem. Czekali i zignorowali również innego Niemca, który się pojawił. Snajperzy zaczynali się niepokoić, lecz Zajcew był nieugięty. Tak więc czekali. Nagle:

> Przysadzisty, elegancki oficer nazistów pojawił się zza rogu, na swojej marynarce miał insygnia pułkownika. Za nim podążał snajper niosący piękną broń myśliwską z ogromnym celownikiem optycznym. Pojawiło się dwóch kolejnych oficerów [...]. Jednym z nich był major noszący Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębu. Za nim był kolejny pułkownik. Nikołaj i ja wymieniliśmy

> spojrzenia. To było to, o czym marzyliśmy i na co byliśmy skłonni czekać, by złowić grube ryby. Odpuszczenie sobie małych rybek było ceną, którą snajper musiał zapłacić za moment taki jak ten. Kiwnąłem głową na „tak” do Nikołaja, a on dał znak pozostałym. Zabrzmiały nasze strzały [...]. Wykonaliśmy podręcznikowe trafienia w głowę i wszyscy czterej naziści padli na ziemię.

Niemcy byli tak rozwścieczeni, że rozpoczęli nie tylko potworny ostrzał artyleryjski, ale również nalot z powietrza na snajperów. Mieli szczęście, że wyszli z tego tylko z powierzchownymi ranami i tymczasową głuchotą. Gdy tylko udało im się doczołgać do własnych linii, sektor został zaatakowany i snajperzy musieli toczyć bój o przeżycie na linii frontu, często walcząc na bardzo krótki dystans. Trzech z nich zostało ciężko rannych, lecz ostatecznie udało się odeprzeć atak.

Pozostali snajperzy, wyczerpani, zgłosili się do bunkra dowodzenia, gdzie Zajcewa zaskoczył wybuch śmiechu jego pułkownika. Wszyscy przypominali strachy na wróble, mając na sobie podarte i poszarpane mundury, dziwne nakrycia głowy, rosyjskie lub niemieckie płaszcze wojskowe z jakimiś odznakami sportowymi, a na twarzy kilkudniowy zarost. Zajcew dostał rozkaz zabrania swoich ludzi do bunkra komisarza w celu otrzymania nowych uniformów. Gdy wszedł, oficer odniósł się do niego z troską. „Czekałem na ciebie, strachu na wróble. Wejdź do środka”. Ku jego zdziwieniu, dano mu piękny mundur, który należał wcześniej do komisarza brygady Zubkowa.

Gdy tylko wyposażono go wraz z resztą jego ludzi w nowy sprzęt, zostali wprowadzeni do bunkra dowodzenia, w swoich nowych, olśniewających mundurach, lecz cali pozalepiani plastrami w miejscach ran i rozcięć na

twarzach. Ku ich zdziwieniu, do środka wszedł generał porucznik Czujkow, dowódca 62. Armii. Potwierdził, że dni wykorzystywania uzdolnionych snajperów jako piechoty dobiegły końca:

> Wy, towarzysze, walczycie wyśmienicie. Zdaję sobie sprawę, że troje waszych kolegów leży rannych [...], lecz stało się tak z prostego powodu. Zapomnieliście o swoim zadaniu. Zamieniliście się w zwykłą piechotę z pistoletami maszynowymi. Nie zamierzam marnować więcej waszego czasu [...]. Pamiętajcie: musicie starannie dobierać swoje cele. Za każdy błąd płacimy krwią. Postarajcie się spojrzeć na tę walkę z szerszej perspektywy. Wtedy będzie dla was jasne, w jaki sposób musicie działać. Życzę wam powodzenia.

Wtedy wyszedł, a po nim również milczący snajperzy. Oprócz Zajcewa, który usiadł i zamyślił się. „Walka w Stalingradzie sporo mnie nauczyła. Dojrzałem i stałem się silniejszy. Wiedziałem, że jestem innym żołnierzem niż ten, którym byłem zaledwie miesiąc wcześniej”.

Gra toczyła się nadal, lecz jej reguły szybko się zmieniały.

Pojedynek

Spotkanie z Czujkowem naraziło go na nieprzyjemność ze strony zazdrosnego kapitana, który zabrał mu dowództwo nad oddziałem snajperów i wysłał go ponownie na wzgórze Mamajewa, co było w tym momencie praktycznie wyrokiem śmierci. Współpracując z innym snajperem, Piotrem Tjurinem, Zajcew był zdecydowany ponownie przejąć kontrolę nad tym obszarem, ale został on opanowany przez Niemców nagłym natarciem. Wykorzystując zdobytą broń wroga, wraz z Tjurinem zignorowali swoje nowe rozkazy i rozpoczęli wściekły kontratak na tyłach niemieckich linii, zmuszając zdezorientowanego wroga do ucieczki.

Zajcew walczył nieprzerwanie już od czterech miesięcy i odczuwał skutki przemęczenia:

> Byłem kompletnie wyczerpany, a zmęczenie to najgorszy wróg snajpera. Kalkulowałem również swoje szanse na przetrwanie. Każdego dnia zabijałem średnio czterech do pięciu Niemców – trwało to od mojego przybycia do Stalingradu. Z każdym mijającym dniem, gdy nie zostałem trafiony, miałem wrażenie, że mam po prostu dobre rozdanie kart. Wiedziałem, że to nie może trwać wiecznie.

Był również świadomy, że reportaże prasowe o nim i jego snajperach będą pilnie śledzone przez Niemców, co potwierdziło się po przesłuchaniu więźnia, który zeznał, że dowodzący berlińską szkołą snajperów – major König[95] – został wezwany na front w celu wyeliminowania go. Zajcew był na swój sposób dumny, że dokonania jego grupy doprowadziły do takiej sytuacji. Lecz przyznał również, że po raz pierwszy miał pewne wątpliwości. Chociaż pozornie pewny siebie, był świadomy, że jeśli słowa więźnia były prawdą, czekał go pojedynek z najbardziej doświadczonym snajperem, z jakim miał kiedykolwiek do czynienia. Jedyny czynnik działający na jego korzyść to fakt, że był przyzwyczajony do określania charakterystyki operacyjnej wrogich snajperów: „Byłem w stanie rozróżnić tych doświadczonych [...] od nowicjuszy oraz tchórzy od cierpliwych i zdeterminowanych”.

Zajcew zazwyczaj rozkładał proces lokalizowania nowej pozycji snajpera na dwie fazy. Wypytywał żołnierzy o to, gdzie i jak zostali ostrzelani, a następnie ustalał prawdopodobną pozycję snajperskiej kryjówki za pomocą trajektorii pocisków. Zaczynał wtedy przeszukiwanie linii frontu przy użyciu peryskopu, który uważał za lepszy i o

wiele trudniejszy do zauważenia niż celownik optyczny czy lornetka. Wnikliwie analizował zmiany poziomu aktywności na froncie. „Doświadczenie mówiło mi, że miejsca, które wcześniej wrzały aktywnością, lecz później zamieniły się w obszary martwej ciszy, kryją prawdopodobnie przebiegłego snajpera". Przyznał jednak: „charakterystyka nowego supersnajpera była dla mnie wciąż trudna do określenia".

Nie było wątpliwości, że stawiał im czoła znakomity snajper, ponieważ w ciągu jednego dnia zniszczył celownik na broni Morozowa oraz zranił Sahikina, a obaj byli bardzo doświadczonymi snajperami. Zajcew i Kulikow przejęli stanowisko zranionej dwójki i rozpoczęli cierpliwe badanie linii wroga. Zignorowali podniesiony hełm naprzeciwko, stanowiący najwyraźniej podpuchę. Był jednak wskazówką, że ktoś chce, by zdradzili swoje położenie. Tak więc siedzieli, obserwowali i czekali. Jednego ranka dołączył do nich ich oficer do spraw politycznych, Daniłow, który, przekonany o zauważeniu snajpera, podniósł się z ekscytacji i w odpowiedzi dostał kulkę prosto w głowę. Był to dowód, którego Zajcew potrzebował. „Tylko wybitny snajper mógł tak strzelić, z taką szybkością i precyzją. Wytężałem wzrok, patrząc przez swój celownik godzina po godzinie, lecz nie mogłem go zlokalizować".

Snajper musiał być w jakiś sposób wywabiony, więc Zajcew założył rękawicę na kawałek drewna i powoli ją podniósł. Strzał, który ją trafił, wyszedł bezpośrednio z przodu, gdzie leżała kupa stali i cegieł. Były tam zawsze i Zajcew do tej pory je ignorował. Połapawszy się w sytuacji, Zajcew i Kulikow zaczęli się naradzać. Kulikow podnosił swój hełm bardzo powoli, co robiłby tylko bardzo doświadczony obserwator. Rozległ się strzał, a Kulikow poderwał się z głośnym krzykiem i rzucił na ziemię.

Przekonany, że wreszcie namierzył swój cel, Niemiec wychylił głowę zza kupy żelaza. Było to tylko przelotne spojrzenie, lecz Zajcewowi to wystarczyło. „Pociągnąłem za spust i głowa nazisty opadła. Celownik jego broni leżał w bezruchu, wciąż błyszcząc w świetle słońca”. Po zmroku dwójka snajperów wyciągnęła martwego Niemca z jego kryjówki. Zabrali jego broń oraz dokumenty i posłali je do swojego dowódcy dywizji.

Ostateczna batalia

Grupa snajperów, składająca się obecnie z 13 ludzi (7 zginęło lub zostało rannych), nie miała okazji do odpoczynku. Na początku stycznia 1943 roku zostali wysłani na nowy odcinek frontu. Chociaż Zajcew nie był tego świadomy, miała to być jego ostatnia bitwa, jak na ironię skutkująca obrażeniami, które bez wątpienia ocaliły jego życie – ponieważ nikt nie był w stanie przetrwać w Stalingradzie do końca. Nadchodziło nowe uderzenie Niemców i snajperzy mieli za zadanie wyeliminować tylu oficerów, ilu się da. Jak ujął to Zajcew, mieli „pozbawić głowy” niemiecką piechotę poprzez usunięcie jej liderów. Tak też zrobili, z dużym powodzeniem, wykorzystując skoncentrowany ogień snajperski. Była to nietypowa taktyka, lecz w tym przypadku niezaprzeczalnie skuteczna, gdyż trzech snajperów zapisało na swoim koncie łącznie ponad 50 trafień.

Para rosyjskich snajperów skrada się wzdłuż brzegu rzeki, by zająć dogodne stanowisko do ostrzału niemieckich oddziałów.

Zapominając o swoich własnych zasadach, Zajcew podbiegł w kierunku grupy poddających się Niemców – prosto na ścieżkę rakietowego ostrzału zaporowego. „Widziałem, jak [rakieta], obracając się, pruła powietrze. Pocisk wylądował około 30 metrów ode mnie, odbił się raz i – bum!”. Uderzenie przypaliło mu głowę i wbiło mu małe odłamki stali w twarz i oczy. Obudził się w szpitalu, poowijany bandażami. Przez miesiąc żył w ciemności, ucząc się identyfikować rozmaite dźwięki dochodzące ze szpitalnego oddziału oraz cierpiąc na stres pourazowy. Jego nastroje wahały się między dzikim śmiechem a łzami. W pewnym sensie wymuszony odpoczynek był terapią, której potrzebował, a w swoim uporze akceptował ślepotę jedynie jako dolegliwość tymczasową.

Po pięciu tygodniach bandaże ostrożnie odwinięto i Zajcew był w stanie zobaczyć blade zarysy stojącego wokół niego personelu. Nadal potrzebował intensywnego leczenia i miał być wysłany do szpitala okulistycznego w Moskwie, lecz po drodze polecono mu spotkać się z Czujkowem, który awansował go do rangi porucznika. Stalingrad został wreszcie odbity przez Armię Czerwoną, a zmarznięci, głodujący Niemcy poddawali się gromadnie[96]. Zajcew leczony był nadal z powodu zaburzenia widzenia przez pionierskiego chirurga, profesora Fiłatowa, ostatecznie odzyskując pełną sprawność wzroku.

Przy kilku okazjach wypytywany był przez członków Biura Politycznego i przywódców Armii Czerwonej o swoje doświadczenia i przemyślenia na temat przydatności snajperstwa – szczegóły, które miały później fundamentalny wpływ na szkolenie snajperów sowieckiej Rosji. Po jednym z takich wywiadów, z Michaiłem Kalininem[97], ku swemu zaskoczeniu otrzymał złotą odznakę Orderu Lenina, najwyższe państwowe odznaczenie:

> Przez kilka następnych minut bałem się nawet oddychać. W uszach szumiało mi od tej całej ekscytacji. Dźwięk ten był jakby echem bitwy o Stalingrad [...], w której na pewien czas musieliśmy zapomnieć, że za Wołgą też jest ziemia.

Po wojnie Zajcew opuścił armię w randze kapitana. Asystował w szkoleniu snajperów i wiele podróżował, wygłaszając wykłady o swoich doświadczeniach. Chociaż był prawdopodobnie najbardziej znanym rosyjskim snajperem, jego oficjalny wynik 242 zabitych nawet nie zbliżał się do rekordu[98]. Wstąpił na uniwersytet i studiował inżynierię, otrzymując stopień naukowy w 1952 roku. Później został profesorem. Zmarł w 1991 roku

w wieku 76 lat, zaledwie 10 dni przed upadkiem Związku Sowieckiego.

Ostatnim życzeniem Zajcewa było zostać pochowanym przy pomniku obrońców Stalingradu, na cmentarzu wojennym na wzgórzu Mamajewa, gdzie tak wielu jego towarzyszy oddało życie w obronie Rosji. Zgodnie z tym życzeniem 31 stycznia 2006 roku został ponownie pochowany, z pełnymi honorami wojskowymi. Jego trumna spoczęła w pobliżu monumentu z jego słynnym zdaniem: „Dla nas nie ma ziemi za Wołgą”.

Źródła

Wszystkie cytaty zawarte w tym rozdziale pochodzą z autobiografii Zajcewa: Vassili Zaitsev, *Notes of a Russian Sniper*, Frontline Books, 2010.

Rozdział 7

CLIFFORD SHORE
Brytyjski snajper, szkoleniowiec, teoretyk i historyk

Kapitan Clifford Shore odegrał ważną rolę w rozwoju potencjału snajperskiego Wielkiej Brytanii w czasie drugiej wojny światowej poprzez utworzenie efektywnego programu szkoleniowego dla snajperów. Jego książka *With British Snipers to the Reich* jest również postrzegana jako klasyczna pozycja na temat snajperstwa. Wciąż uważa się ją za istotne źródło wiedzy, zarówno ze względu na jej perspektywę historyczną, jak i spojrzenie na rozwój techniki i wykorzystanie snajperów.

Na początku 1943 roku Shore próbował założyć szkołę snajperską w Anglii, ale w owym czasie nie było zbytniego zainteresowania jego propozycją. Shore wspominał jednak, że istniało już wtedy przynajmniej kilka szkół snajperskich. Pierwsza, o której mówił, była niewielkim ośrodkiem w Szkocji, mającym początkowo kształcić *ghillies* (*ghillie* – nazwa szkockiego myśliwego), umiejących już dobrze strzelać i mających pewne doświadczenie oraz umiejętność użycia przyrządów optycznych. Umieli oni też różnymi technikami przekazywać swoją wiedzę o tropieniu i przygotowanie strzeleckie. Trochę snajperstwa uczono także w Centrum Szkolenia Komandosów w Szkocji. Chociaż Shore opisywał później, dlaczego według niego wykształcony w Bisley strzelec nie mógł być dobrym snajperem, podkreślał, że szkoła snajperska założona w Bisley na początku wojny wydała sporo wartościowych absolwentów. Kolejną szkołą, która uczyła snajperstwa, była

szkoła w Północnej Walii, jednak Shore uważał, że najbardziej przydatnym jej aspektem był dwudniowy kurs dla dowódców batalionów, który uświadomił im rolę snajperów. W pewnym sensie uważał to za bardziej wartościowe niż samo szkolenie snajperskie, gdyż dowodzący oficerowie zaczynali rozumieć, jak wykorzystywać snajperów na polu walki. Chociaż Shore twierdził, że w 1940 roku Brytyjski Korpus Ekspedycyjny (BKE) niewiele zrobił dla snajperstwa, przynajmniej jedno źródło podaje, że wśród początkowych bodźców do założenia pierwszej brytyjskiej szkoły snajperskiej w okresie drugiej wojny światowej był sukces brytyjskich „snajperów" w opóźnianiniu niemieckiej piechoty podczas ewakuacji Dunkierki. Ta nieścisłość może wynikać z semantyki, ponieważ niektórzy członkowie BKE mogli dobrze się spisywać w „ustrzeliwaniu" Niemców, mimo iż nie byli wyszkolonymi snajperami.

Później, w miesiącach poprzedzających lądowanie w Normandii (ang. *D-Day landings*), Shore próbował zdobyć karabiny snajperskie i wyposażyć w nie najlepszych strzelców, ale mu się to nie udało. Nawet jego próby nabycia karabinu z celownikiem optycznym, wojskowego lub zwykłego, w celu użycia go w walce nie powiodły się. Gdy jego oddziały zostały zaokrętowane do desantu w Normandii, musiał się zadowolić karabinem Lee-Enfield P14 z żelaznymi celownikami.

W czasie lądowania na brzegu Shore natychmiast dostrzegł skuteczność niemieckich „snajperów", którzy w większości byli raczej strzelcami wyborowymi piechoty niż wyszkolonymi specjalistami. Mimo to ich ogień trzymał oddziały aliantów przyszpilone precyzyjnym ostrzałem do plaży, powodując, że obawiały się pójść w głąb lądu. Natychmiast pojął, jaką siłą w hamowaniu wroga mogliby

być wszechstronnie wyszkoleni snajperzy. Doszedł do wniosku, że skoro te regularne oddziały działające jako strzelcy wywołują tak wiele strachu, snajper wyszkolony w zabijaniu na zasadzie „jeden strzał, jedna ofiara” mógłby spowodować prawdziwy zamęt. Z właściwą sobie bystrością Shore zauważył, że efekt psychologiczny snajperów byłby nawet większy niż ich rzeczywista efektywność w zabijaniu.

Dwóch brytyjskich żołnierzy prowadzących patrol we Francji latem 1944 roku. Widać gęsto zalesiony teren. Żaden ze snajperów nie ma na karabinie celownika – w takim terenie nie były zbyt przydatne.

Po drugiej wojnie światowej, jeszcze przed publikacją swojej książki w 1948 roku, Shore rozmawiał z kombatantami i przekonał się, że o wiele bardziej bali się ognia celnego snajpera niż moździerzy, artylerii, bomb czy pistoletów maszynowych. Żołnierze po prostu bardziej bali się kuli, na której wypisane było ich imię, niż takiej z napisem „do wszystkich, których może to dotyczyć”.

Będąc sam strzelcem wyborowym i rozumiejąc podstawowe zasady snajperstwa, Shore zakrył swe insygnia oficerskie i polecił swoim podoficerom zakryć ich szewrony, ponieważ snajperzy zwykle w pierwszej kolejności strzelali do oficerów, radiotelegrafistów, podoficerów i wszystkich tych, których śmierć mogła zdezorganizować funkcjonowanie oddziału. Jego dowódca odwołał jednak te rozkazy, czym naraził oddziały na większe niebezpieczeństwo. I chociaż Shore rozumiał snajperów i sztukę snajperską, jego przełożeni najwyraźniej nie. To podejście zmieniło się w trakcie wojny, gdy niemieccy snajperzy zbierali swoje żniwo, zabijając oficerów i podoficerów noszących miękkie czapki, lornetki lub rulony z mapami i nieposiadających strzelb czy karabinów. W końcu zakrywanie insygniów rang oraz unikanie ubrań i wyposażenia, które umożliwiałyby zidentyfikowanie oficera bądź podoficera, stały się standardową procedurą.

Kiedy jego oddziały wyszły już poza przyczółki, Shore postanowił zbadać każdą kryjówkę snajperską, którą odnaleziono. Interesowało go zwłaszcza, jak były umiejscowione, by uzyskać najlepsze pole ostrzału. Podczas marszu przez Belgię i Holandię jednostka Shore’a wciąż okazjonalnie spotykała się z ogniem ze strony niemieckich strzelców, ale wątpił, by byli to prawdziwi snajperzy. W Belgii lokalny ruch oporu generalnie wyeliminował snajperów. Kiedy jednak Shore chciał nabyć broń, którą udało im się przejąć, okazało się, że tak naprawdę nie był to karabin snajperski.

Shore próbował również prześledzić mity, z którymi się spotkał na temat niemieckich strzelców wyborowych – łącznie z tymi, że były wśród nich kobiety wyszkolone na snajperów, prawdopodobnie Francuzki, które poślubiły Niemców, oraz że niektórzy snajperzy strzelali

z wierzchołków drzew. Zdarzało się oczywiście spotykać Niemców na wierzchołkach drzew, ale według Shore’a byli to w większości obserwatorzy, a nie snajperzy. Ponieważ sam był strzelcem wyborowym, trudno mu było uwierzyć, że niemiecki strzelec mógł zająć stabilną pozycję strzelecką, usiłując utrzymać się na drzewie. Co więcej, po oddaniu kilku strzałów z drzewa ucieczka z niego byłaby prawie niemożliwa. Niemniej przyznał, że w późniejszym czasie widział niemieckie podręczniki, które podawały przykłady użycia wierzchołków drzew jako stanowisk strzeleckich.

Czasami stare metody dobrze się sprawdzają. Oddział amerykańskiej piechoty próbuje zlokalizować niemieckiego snajpera, wystawiając na widok hełm.

W październiku 1944 roku Shore napotkał w pobliżu Eindhoven w Holandii szyld szkoły dla snajperów i przekonał swojego dowódcę, by pozwolił mu do niej uczęszczać. Shore był tam w swoim żywiole. Przekonał się,

że instruktorzy z pułku Lovat Scouts – spośród których wielu przed wojną było szkockimi myśliwymi z gór – byli świetni, dlatego też z pasją oddał się szkoleniu w zakresie tropienia, obserwacji i strzelania. Shore, jako najstarszy oficer na kursie, był zaskoczony tym, że niektórzy spośród uczestniczących w nim oficerów byli zadziwiająco słabymi strzelcami, nawet mając do dyspozycji doskonałych trenerów. Spostrzegł również, że niektóre karabiny snajperskie były dość niedokładne.

Widoczny na zdjęciu brytyjski sierżant czyści karabin snajperski Lee-Enfield za pomocą niemieckiego aluminiowego wycioru.

Prawdopodobnie jest to fotografia pozowana, ponieważ trudno byłoby wykonać tę czynność z zamkiem na swoim miejscu.

Według wojennych standardów strzeleckich snajperzy kończący szkolenie powinni umieć trafić człowieka w głowę z odległości 200 jardów [1 jard = 0,914 m] i w tors z odległości 400 jardów. Były to minimalne standardy i większość snajperów potrafiła im sprostać, trafiając w cele z dalszych odległości.

Program szkolenia wspomnianej szkoły dla snajperów zawierał różne przedmioty:

Ogólne: organizacja, sprzęt i taktyczne wyszkolenie snajperów;
Obserwacja: ogólna, teleskop, lornetka, lokalizacja ognia;
Ćwiczenia terenowe: ukrywanie się, kamuflaż, poruszanie się, tropienie;
Strzelanie: ogólne, źródła błędów, zerowanie, karabin snajperski, strzelanie o świcie, trzymanie broni, tabela elewacji, celowanie – wiatr i ruch, rozpoznawanie celów, określanie odległości, ćwiczenia w strzelaniu na poligonie.

Major Underhill, który dowodził szkołą, był przekonany, że wojenna szkoła snajperska powinna znajdować się jak najbliżej linii frontu, by dać szkolącym się możliwość zdobycia prawdziwego snajperskiego doświadczenia. Zanim jednak grupa Shore’a była gotowa ukończyć szkolenie, linie frontu gwałtownie przesunęły się w głąb Niemiec. Aby umożliwić przeszkolonym zdobycie doświadczenia, przyłączono ich, po przejściu Renu, do 51. Dywizji Piechoty. Jak zanotował Shore, kolejną zaletą tego, że szkoła snajperska przemieszczała się wraz z postępującymi oddziałami, było to, że instruktorzy snajperów mogli

spędzić od czasu do czasu dzień lub dwa, pracując ze „snajperami” z pierwszej linii frontu, spośród których nieliczni tylko przeszli jakiekolwiek szkolenie. Chociaż Shore odnotowuje, że jakaś niemiecka kula przeleciała w pewnym momencie bardzo blisko niego, nie była to kula pochodząca od prawdziwego snajpera niemieckiego, a on sam nie miał prawie żadnej szansy na wykorzystanie swoich nowo nabytych umiejętności snajperskich aż do zakończenia wojny.

Wyposażenie brytyjskiego snajpera
Zgodnie z zaleceniem szkoły dla snajperów
Karabin nr 4 (T), kurtka z kamuflażem typu Denision Smock, osłona twarzy, teleskop zwiadowcy pułku, lornetka, kompas, 50 sztuk nabojów kaliber .303, 2 granaty wz. 36, 5 sztuk amunicji smugowej, 5 sztuk amunicji przeciwpancernej, butelka wody, 1 racja żywnościowa.

Shore zauważył, że pomimo iż powyższe wyposażenie było zalecane, snajperzy często sami decydowali, co zabrać ze sobą na misję.

Karabin nr 4 (T) był standardowym karabinem snajperskim opracowanym przez firmę Holland & Holland. W rozdziale swojej książki poświęconym brytyjskiej broni snajperskiej Shore bardzo dobrze wypowiadał się o karabinie nr 4 Mk 1 (T) i wskazywał, że każdy karabin był wybierany pod kątem celności, następnie mocowano na nim dwie metalowe blaszki podtrzymujące celownik optyczny (nr 32 TS), podpórkę ramienia i specjalny strzelecki pas nośny. Celownik nr 32 TS miał tylko 3-krotne powiększenie i wbudowane pokrętło do korygowania wysokości na odległościach pomiędzy 100 a 1000 jardów. Wersja Mk 1 celownika pozwalała na korygowanie wysokości przy 50-

jardowych przyrostach, natomiast wersje Mks II i III – przy 100-jardowych. Pokrętło ustawienia poprawek bocznych („bębenek odchylenia”, jak go określa Shore) umieszczone było po lewej stronie celownika nr 32. Celownik ten słynął ze swojej wytrzymałości, bez wątpienia dlatego, że pierwotnie był przeznaczony do użytku w pistolecie automatycznym Bren. Shore poczynił również uwagę, że istotną częścią w szkoleniu snajperów powinno być wdrażanie nawyków właściwego dbania o broń, ponieważ do szkoły przychodziła broń po użytkowaniu jej na polu walki – praktycznie bezwartościowa.

Kurtka Denison Smock była zaprojektowana dla wojsk powietrznodesantowych. Była wodoodporna, wiatroszczelna, miała kamuflujący wzór i dużo kieszeni. Była bardzo popularna wśród snajperów. Zasłona na twarz, z kamuflażem w kolorze brązowym i zielonym, zacierała kontury i kolor twarzy snajpera, kiedy się pod nią chował.

Każdej drużynie snajperskiej wydawano teleskop pułku zwiadowców, noszony zazwyczaj przez wywiadowcę. Był to teleskop o 20-krotnej sile powiększenia, 3-krotnie rozkładany, z potrójnym zestawem soczewek. Niektórzy snajperzy, w tym wielu z oddziału Lovat Scouts, uważali ten teleskop za zbyt masywny i nieporęczny, ale według Shore’a sprawdzał się dobrze. Dostępny był również lżejszy teleskop Ross, ale miał zaledwie 15-krotne powiększenie. Jeśli chodzi o karabiny, Shore podkreślał, że snajperzy powinni się nauczyć obchodzić z teleskopami i je konserwować (zwłaszcza w trakcie nauki), żeby nie porysować soczewek podczas ich czyszczenia. Wymieniając zalety wspomnianych teleskopów, Shore wskazywał, że są one w stanie wychwycić ruch oddziałów z odległości ponad 16 kilometrów. Shore zalecał również, by snajper

i obserwator zmieniali się przy teleskopie co 20 minut, by nie stracić koncentracji.

Lornetki – różnego typu – również były w powszechnym użyciu. Snajperzy wykorzystywali je do lustrowania terenu w poszukiwaniu celu, korzystając z ich szerszego pola widzenia. Najpowszechniejsze były lornetki o 7-krotnej mocy powiększenia, ale Shore odnotował, że jego lornetka miała 10-krotne powiększenie. Jeśliby napotkał potencjalny cel, powiadomiłby obserwatora, by sprawdził to za pomocą teleskopu. Następnym celnym spostrzeżeniem Shore'a było to, że lornetki wykazywały największą przydatność o zmroku lub w świetle księżyca, ponieważ miały właściwość skupiania światła.

Ostatnim przedmiotem służącym do „obserwacji" był kompas pryzmatyczny, niesiony przez snajpera i służący do raportowania informacji na przykład o zaobserwowanych celach artyleryjskich lub moździerzowych.

Główne zaopatrzenie w amunicję składało się z 50 sztuk nabojów kaliber .303. Ta standardowa amunicja do karabinu była noszona w bandolierze i używana do przystrzeliwania karabinu bądź do zwykłego strzelania. Na ogół snajperom wydawano standardowe naboje typu Mk VII 174-*grain* [1 gran (ang. *grain* ~ 0,06479 g], jednak niektórzy snajperzy próbowali dostać naboje typu Mk VIIIz 175-*grain,* ze zwężonym tyłem pocisku, które były przeznaczone do użytku w ciężkich karabinach maszynowych Vickers i dawały większy zasięg. Litera „z" wskazuje na zastosowanie prochu nitrocelulozowego. Naboje te miały opinię bardziej celnych przy odległościach powyżej 300 metrów. Co więcej, ponieważ przednia 1/3 część naboju była wypełniona wewnątrz aluminium, plastikiem lub nawet sprasowanym papierem, podczas zapłonu ciężki tył naboju koziołkował, powodując większą

ranę. Nabój pozostawał stabilny podczas lotu i uzyskiwał większą siłę rażenia przy dalszych odległościach. Jakąkolwiek amunicję wybierał snajper, wybierał odpowiednią, żeby raz wyzerowawszy, nie musiał go ponownie zerować do nowego naboju.

Snajperom zalecano również noszenie dwóch granatów wz. 36. Znane także pod nazwą bomby Millsa, granaty te miały fragmentowaną na wzór ananasa obudowę i noszone były przez snajperów na wypadek niespodziewanego natknięcia się na pozycje niemieckie podczas tropienia. Wielu snajperów nie lubiło czołgania się z granatami wz. 36 w kieszeniach!

Snajperów uczono, by nosili amunicję zarówno smugową, jak i przebijającą pancerz. Pięć sztuk amunicji smugowej mieli nosić w prawej kieszeni spodni i wykorzystywać do wskazywania celu. Shore twierdzi, że nigdy nie słyszał, aby jakiś brytyjski snajper kiedykolwiek użył tej amunicji. Lewa kieszeń spodni przeznaczona była na pięć sztuk amunicji przebijającej pancerz (AP, *armour-piercing*). AP używano do ostrzeliwania niemieckich pozycji z bronią maszynową, ponieważ celny strzał często wyłączał je z akcji.

Standardowa butelka wody przewieszona przez ramię służyła do odświeżania się. Jednak niektórzy doświadczeni snajperzy używali wody do zwilżania gruntu przed wylotem lufy, żeby nie wzbijać kurzu. Czasem też, aby zachować zapas wody, sikali na ziemię w tym miejscu, żeby była wilgotna. Zalecano również mieć przy sobie rację żywnościową, która bardzo się przydawała, gdy snajperowi przyszło spędzić na pozycji cały dzień.

Shore odnotował również, że w szkole dla snajperów dostępne były tuby z kremem do kamuflażu. Większość snajperów używała jednak materiałów improwizowanych, takich jak sadza z garnków do gotowania, która

przełamywała biel twarzy. Często robili sobie również rękawiczki z juty, żeby zamaskować ręce.

Prawie natychmiast po ukończeniu kursu Shore zgłosił się na stanowisko instruktora w szkole dla snajperów. Zanim jednak jego przydział dotarł, wojna w Europie się skończyła, a szkoła, która stała się częścią Centrum Szkolenia Brytyjskiej Armii Renu, znalazła się w Niemczech. Jeszcze przed przydziałem do kadry szkoły dla snajperów Shore często miał okazję sprawdzić swoją wiedzę na temat broni w praktyce, naprawiając zdobyczną broń dla kolegów.

Zaraz po zameldowaniu się w szkole dla snajperów Shore zaczął prowadzić wykłady z historii brytyjskiego karabinu, amunicji do broni ręcznej oraz porównania brytyjskiej broni ręcznej z bronią ręczną innych państw. Choć spędzał wiele czasu na prowadzeniu wykładów, ćwiczył nadal swoje umiejętności tropienia w trakcie polowań z przyjaciółmi – podoficerami z Lovat Scouts, mianowanymi na instruktorów. Później, gdy prowadził kursy dla snajperów, często korzystał z pomocy niektórych z nich, by zademonstrować umiejętność pokonywania dużych odległości podczas tropienia, nie będąc wykrytym.

W swojej książce *With British Snipers to the Reich* Shore omawia, jak kursanci wkrótce się przekonali, że techniki ukrywania się i tropienia nie są aż tak trudne:

> Człowiek o przeciętnej inteligencji szybko zauważył, że ćwiczenia na poligonie opierały się na zdrowym rozsądku, rozsądku myśliwego: na unikaniu złamania zarysów tła; wyglądaniu zza zasłony, a nie sponad niej; pozostawaniu w cieniu; pamiętaniu o tym, że cień może się przesunąć; wtapianiu się w tło; unikaniu odizolowanych lub wyróżniających się z otoczenia kryjówek i wszelkich niepotrzebnych ruchów. Zaczynał

> również pojmować znaczenie kamuflażu, potrzebę posiadania odrobiny kontrastu w kolorze i tonie barwy, by osiągnąć efekt rozproszenia. Pokazywano mu, jakie praktyczne metody może wykorzystać, by się ukryć, łącznie z siatką maskującą głowę i twarz; pokryciem rąk kremem maskującym, błotem lub brudem albo założeniem rękawiczek; schowaniem ciała pod kurtką typu Denison Smock, którą dodatkowo można udoskonalić poprzez przymocowanie do niej kępek z juty. Karabin można było zamaskować, malując go lub owijając jutą, trzon teleskopu – zakryć siatką służącą do kamuflażu twarzy lub starą skarpetką w kolorze khaki po odcięciu „stopy", a lornetkę – zamaskować kawałkiem juty, owiniętym wokół przedniej strony wspornika.
>
> Kładziono nacisk na fakt, że snajper sam powinien się szkolić w rozpoznawaniu rodzajów kamuflażu stosowanego przez wroga. Miało to dwojaki cel – snajper stawał się staranniejszy w dobieraniu własnego kamuflażu [...].

Podczas swego pobytu w Europie, zarówno zanim uczęszczał do szkoły dla snajperów, jak i wtedy, gdy już był w niej instruktorem, Shore poczynił obserwacje oraz rozwinął własne pomysły na temat tego, co powinno się znaleźć w programie kursu snajperskiego. Po powrocie do swego pułku, jeszcze przed zwolnieniem, otrzymał szansę przełożenia teorii na praktykę. Wyznaczono go do przeprowadzenia szkolenia snajperskiego dla członków jego jednostki.

Z perspektywy czasu Shore uznał, że 10–14-dniowe kursy snajperskie prowadzone w czasie wojny były prawdopodobnie zbyt krótkie, żeby zapewnić naprawdę efektywne szkolenie. Jednak były z pewnością lepsze niż brak szkolenia w ogóle. Wyszkolono zresztą w ten sposób

kilku bardzo skutecznych snajperów. Shore zauważył również, że szkoła, która przemieszczała się wraz z armią brytyjską w północnej Europie, była lepiej zorganizowana i bardziej efektywna niż niektóre inne. Jako przykład podał jedną ze szkół dla oddziałów basenu Morza Śródziemnego, która nie była nawet wyposażona w karabiny snajperskie. Z drugiej strony, jak podkreślił, szkoła działań górskich w Libanie miała w swoim programie szkolenia snajperstwo i tropienie.

Jednym z najważniejszych wniosków, jakie Shore wysnuł w odniesieniu do szkolenia snajperów, było to, że instruktorzy powinni mieć doświadczenie snajperskie wyniesione z walki. Nie tylko czyniło ich to bardziej wiarygodnymi, zwłaszcza kiedy uczyli weteranów wojennych, ale również pozwalało udzielać miarodajnych, praktycznych wskazówek. Kiedy na instruktora wybierano kogoś tylko z powodu zdolności pedagogicznych, Shore był zdania, że taka osoba powinna spędzić przynajmniej trochę czasu na linii frontu, by do umiejętności pedagogicznych dodać doświadczenie. To między innymi z tego powodu usytuowanie szkoły snajperskiej w pobliżu linii frontu było wysoce rekomendowane.

Shore wniósł również istotne spostrzeżenia dotyczące takich cech snajpera jak temperament i pochodzenie. W książce *With British Snipers to the Reich* napisał:

> Faktem jest, że snajper zabija z mniejszymi wyrzutami sumienia niż człowiek w walce wręcz. Osobiste odczucia żalu lub kwestionowanie motywów spowalniają w człowieku krytyczny instynkt zabijania, a snajper, który pozwoli sobie na taki tok myślowy, nie przetrwa długo. Konieczne jest, by postrzegać zabijanie wroga niczym pacnięcie muchy, jak odruchowe, automatyczne działanie. Tylko dwie rzeczy

powinny interesować snajpera – wykonanie zadania i ujście z życiem. Oswojenie ze „snajperskim zabijaniem” nie jest tak trudne czy ciężkie jak zabijanie z bliska. Człowiek umiera znacznie wolniej, niż się to wydaje przeciętnej osobie. Często, gdy zostaje trafiony, szczerzy zęby w głupim uśmiechu, białka oczu wywracają się mu do góry, śmiertelny pot lśni na czole, a ofiara upada na ziemię z przyprawiającym o nudności charkotem w gardle – trudno jest słuchać tego dźwięku bez emocji. Snajperowi zazwyczaj darowany jest ten widok, chyba że jest na tyle szybki, żeby spojrzeć na ofiarę przez lornetkę, lub trafiony znajduje się w tak bliskiej odległości, że snajper – jeśli chce – może dostrzec cały ten obraz w swoim celowniku.

Snajperstwo nie jest nieokreślonym strzelaniem na chybił trafił do czegoś nieznanego w jakiejś oderwanej walce. To osobiste, indywidualne zabicie człowieka z zimną krwią. To sztuka, którą trzeba studiować, ćwiczyć i udoskonalać. Często słyszałem, że w związku z tym snajper powinien być człowiekiem przepełnionym śmiertelną nienawiścią do szwabów czy innego wroga. Ale przekonałem się, że ludzie, którzy kipieli w sercu nienawiścią do wszystkiego, co niemieckie, tak jak i ci, którzy stracili żony, dzieci i domy w swoich zbombardowanych miastach, nie nadawali się na dobrego zabójcę z karabinem. Typ, jakiego szukałem, to człowiek działający z zimną precyzją, myśliwy z czasów pokoju, niedarzący swego wroga nienawiścią, lecz wykazujący pasję do tropienia i zabijania.

Kiedy snajper znalazł się już na pozycji do strzału, wypełniał go wewnętrzny bezruch; oddech nie był zupełnie normalny, zmysł słuchu się wyostrzał. Pojawiało się również podekscytowanie, które znają wszyscy myśliwi, a które skutkuje nieświadomym tężeniem nerwów. Gdy tylko szwab pojawiał się

> w zasięgu widzenia, a wskaźnik nie poruszał się na celu, nie było miejsca na skrupuły – trafić go czy odebrać życie. Prawdziwy myśliwy nigdy nie jest rzeźnikiem; nie pragnie zabijać dla sztuki zabijania – jest coś pierwotnego w tropieniu i zabijaniu, co pochłania wszystkie inne uczucia i sprawia, że serce i mózg nie posiadają się z radości, wypełniają się działaniem i euforią.

Pomimo iż w czasie drugiej wojny światowej brytyjscy snajperzy byli w większości zaangażowani w ruchome działania wojenne, Shore nadal wskazywał znaczenie umiejętności budowania kryjówek w sytuacjach, w których snajper ma pozostać w danym miejscu przez jakiś czas. Dobrze zbudowana kryjówka chroni przed złą pogodą i zapewnia schronienie, ale powinna również dawać minimalną swobodę ruchu bez narażenia się na wykrycie. Rozmiar i konstrukcja kryjówki będą się różniły w zależności od terenu i dostępnych materiałów. Shore podkreślał, że światło nie powinno przeświecać przez dziury w źle skonstruowanej kryjówce.

Shore kładł nacisk na trzy ostrzeżenia w kwestii strzelania z kryjówki:

- niebezpieczeństwo strzelania o zmroku lub świcie, kiedy rozbłysk z wylotu lufy może zdradzić snajpera;
- niebezpieczeństwo pojawienia się dymu podczas strzelania w mroźne poranki lub w wilgotne dni;
- konieczność zwilżenia gruntu na zewnątrz kryjówki, jeśli istnieje ryzyko wzbicia się kurzu.

Dość powszechnym problemem zauważonym przez Shore’a była skłonność do budowania kryjówek, w których

było zbyt mało miejsca na głowę. Wśród możliwych do wykorzystania lokalizacji, o których wspominał, były te pod żywopłotami, w stertach gruzu, w zniszczonych budynkach, w porozpruwanych okopach – w połączeniu z osłoną kamuflującą głowę. Przy korzystaniu ze zrujnowanych budynków zalecał wybieranie na odpoczynek miejsca z dala od okien i dziur, tak by snajper pozostawał w cieniu. Gdziekolwiek kryjówka była budowana, powinna mieć dobre pole ostrzału. Potrzebne były też alternatywne kryjówki, na wypadek gdyby zmienił się plan działania.

Po wojnie Shore postawił sobie za cel porozmawiać z tyloma snajperami, z iloma się da, i zebrać możliwie najwięcej pożytecznych danych. Był zainteresowany zwłaszcza określeniem tych misji, w których snajperzy mogli spisać się najefektywniej. Wśród akcji, które uznał jako najlepiej dostosowane do sekcji snajperów przydzielonych do brytyjskich batalionów, były: kontrola ziemi niczyjej pomiędzy liniami brytyjskimi a nieprzyjacielskimi, eliminowanie załóg wroga obsługujących broń maszynową, zajmowanie ukrytych pozycji na pasie ziemi niczyjej w celu ostrzeliwania stanowisk wroga (przytaczał wiele przypadków eliminowania niemieckich wartowników obejmujących wartę lub schodzących z niej), eliminacja artylerii wroga lub jego obserwatorów, eliminowanie oficerów i podoficerów (brytyjscy snajperzy byli szkoleni w rozpoznawaniu insygniów wojskowych Niemców i innych wrogich armii), wykorzystywanie celowników optycznych do prowadzenia obserwacji i zbierania informacji dla swoich oddziałów. Wydawało się, że zwłaszcza oficerowie batalionowi potrafili docenić wartość snajperów w panowaniu nad strefą ziemi niczyjej, ponieważ działania

snajperów pozwalały na wycofywanie żołnierzy z linii frontu w czasie dnia, na odpoczynek i gorący posiłek.

Shore wskazał również na kilka przypadków, w których – jak sądził – rola snajperów byłaby nieoceniona, gdyby wykorzystywano ich częściej w czasie wojny. Snajperzy są bezcenni w wykrywaniu i neutralizowaniu snajperów nieprzyjaciela pozostawionych na tyłach w celu opóźniania działań przeciwnika. Stwierdził także, że wykorzystanie snajperów wysuniętych daleko przed własne oddziały do infiltracji linii wroga i atakowania jego tylnych pozycji oraz eliminowania załóg obsługujących broń mogłoby znacznie przyspieszyć działania, a nawet doprowadzić do przełomu.

Omawiając działania kontrsnajperskie, Shore poczynił ciekawe spostrzeżenia na temat tzw. fałszywych głów, z których powszechnie korzystano w okopach w czasie pierwszej wojny światowej, by sprowokować ogień snajperów wroga, a tym samym zlokalizować ich i wyeliminować. Chociaż brytyjskie szkoły snajperskie miały kilka takich atrap głów, które były bardzo dobrej jakości, mobilny charakter działań wojennych w czasie drugiej wojny światowej spowodował, że rzadko z nich korzystano. Niemniej w przypadku jakiegoś szczególnie dokuczliwego snajpera niemieckiego można było je wykorzystać.

Im głębiej Shore analizował skuteczne wykorzystanie snajperów, tym bardziej był przekonany, że doświadczenie myśliwskie było wielkim atutem. Odkrył na przykład, że wielu utalentowanych myśliwych służących jako snajperzy potrafiło rozpoznać ruch wroga dzięki obserwowaniu reakcji zwierząt na danym obszarze. Zauważył również, że dobrą nauką dla brytyjskich snajperów była próba naśladowania „najlepszych” kłusowników. Opisując skuteczność snajperów z różnych państw, podkreślał, że największe sukcesy były udziałem tych z doświadczeniem

myśliwskim. Zauważył, jak duże sukcesy odnosili norwescy myśliwi z gór w strzelaniu snajperskim do Niemców w górskich wsiach w czasie inwazji i okupacji Norwegii. Podobnie Shore chwalił snajperów fińskich, którzy byli myśliwymi i traperami.

W końcu Shore wysnuł wniosek, że bogate doświadczenie myśliwego było lepszym wskaźnikiem sukcesu w roli przyszłego snajpera niż umiejętności strzelca wyborowego, jakie można było nabyć na strzelnicy w Bisley. Był przekonany, że oprócz strzelania do częściowo ukrytego celu myśliwi szybko i w praktyczny sposób nabywali umiejętności właściwej oceny odległości i odchylenia toru pocisku wskutek wiatru. Z własnego doświadczenia wiedział, że nauczenie kursantów minut kąta w celu oceniania wysokości położenia jakiegoś celu i ustawiania poprawek bocznych celownika nie dla wszystkich kończyło się pomyślnie. Co więcej, myśliwi mieli lepsze wyczucie terenu i wybierali stanowiska strzeleckie, w których promienie słońca nie odbijały się od soczewek teleskopu, a podmuch z wylotu lufy podczas wystrzału nie wzbijał pyłu. W dyskusji na temat szkolenia snajperów Shore sugerował wręcz, że instruktaż powinien obejmować gry myśliwskie.

Dla poparcia swojej tezy Shore użył przykładu australijskich snajperów, którzy wcześniej polowali na kangury. Wielu z nich zabiło znaczną liczbę Japończyków, wykorzystując te same umiejętności, które pozwalały im ustrzelić kangura bez uszkodzenia skóry, obniżającego jej wartość. Zauważył również, że wielu australijskich snajperów było szkolonych w strzelaniu na większe odległości niż snajperzy brytyjscy – co nie oznacza, że wśród snajperów brytyjskich nie było takich, którzy strzelaliby na dalekich dystansach. Shore wspomniał

również o technice używanej przy dużych odległościach, kiedy wielu snajperów pracowało razem. Jeśli nie mogli się zgodzić co do zasięgu danego celu, każdy z nich nastawiał swoje przyrządy celownicze na taki zasięg, jaki uważał za właściwy, i wszyscy w tym samym czasie oddawali strzał do wroga. Przynajmniej jeden strzał musiał być celny. Techniki tej używano czasami przy strzałach na bardzo dużą odległość – często okazywała się skuteczna.

Shore miał również interesujące spostrzeżenia na temat brytyjskich snajperów działających przeciwko Japończykom w tropikach. Odnosili oni zdecydowanie mniejsze sukcesy niż w Europie. Shore przypuszczał, że było to częściowo spowodowane upałem, który zmusił ich do noszenia koszul z krótkim rękawem, co nie pozwalało na amortyzowanie łokci i ramion, kiedy znajdowali się w pozycji strzeleckiej. Sugerował, że lżejsze ubrania typu safari, z wyścielanymi łokciami i ramionami, istotnie wpłynęłyby na poprawę wyników ich strzelania.

W odniesieniu do snajperów sowieckich Shore uważał, że wiele opowieści o nich było propagandą i że nie byli oni tak dobrzy, jak ich opisywano. Wierzył, że istniało wielu bardzo skutecznych snajperów, którzy dorastali na Uralu i Syberii i byli utalentowanymi tropicielami i myśliwymi, sugerował jednak, że to wyjątki. Przynajmniej część uzasadnienia tych konkluzji Shore’a pochodziła z powojennych przesłuchań Niemców, którzy walczyli na froncie wschodnim; twierdzili oni, że spotkali nielicznych, jeśli w ogóle, wyszkolonych snajperów. Można by tu oczywiście dyskutować, iż wielu skutecznych snajperów sowieckich walczyło pod Stalingradem, a Niemcy, którzy się z nimi bili, przebywali w obozach jenieckich w Związku Sowieckim jeszcze długo po zakończeniu wojny, w związku z czym nie mogli być przesłuchani przez Shore’a.

Zawsze interesujący się taktyką snajperską, Shore zwrócił uwagę na wykorzystanie sowieckich snajperów wysuwających się daleko naprzód, przed nacierające oddziały sowieckie. Kiedy artyleria niemiecka zajmowała już swoje stanowiska, snajperzy otwierali ogień do oddziałów przygotowujących się na spotkanie z Sowietami. Odnotował również, że snajperzy sowieccy używali tarczy pancernych, by móc zajmować pozycje na przedzie. Ci wysunięci na czoło często otwierali ogień na stanowiska broni maszynowej lub używali pocisków smugowych, by precyzyjnie wskazać własnej artylerii czołg lub stanowisko dział wroga. Shore był nieco sceptyczny co do skuteczności tej techniki, chociaż zwrócił uwagę, że Sowieci używali białych pocisków smugowych, które niknęły w bieli śniegu, podczas gdy Niemcy korzystali z czerwonych, zdecydowanie odróżniających się na śniegu.

Począwszy od dnia lądowania wojsk w Normandii (*D-Day*), Shore starał się zbierać informacje na temat niemieckich snajperów i doszedł do wniosku, że tak naprawdę niewielu spośród nich było wyszkolonych. Po raz kolejny mogło to wynikać z faktu, że większość snajperów niemieckich zaangażowana była na froncie wschodnim. Shore zauważył jednak, że we Włoszech oddziały brytyjskie napotkały kilku dobrze wyszkolonych niemieckich snajperów jednostek strzelców spadochronowych. W dyskusji nad taktycznym wykorzystaniem snajperów Shore komentował, że Niemcy przegapili prawdziwą szansę przerwania dostaw powietrznych aliantów – nie wykorzystali snajperów na zalesionych obszarach otaczających wybudowane w pośpiechu lotniska obsługujące samoloty, które wspierały działania aliantów. Powtarzające się od czasu do czasu celne strzały snajperskie sprawiłyby, że i piloci, i personel wspomagający czuliby się mniej swobodnie, poruszając się

wokół lotniska, i związałyby piechotę działaniami ukierunkowanymi na powstrzymywanie snajperów.

Pewnemu instruktorowi ze szkoły snajperskiej udało się we Włoszech oddać przynajmniej dwa zabójcze strzały z odległości 650 metrów – przy której Niemcy czuli się bezpiecznie. Ten sam instruktor opowiedział Shore'owi pewną historię, będącą dobrym przykładem strategii, którą się często stosuje w potyczkach snajperskich:

> Jerry bardzo chciał się dowiedzieć, gdzie jesteśmy; wiedzieliśmy, że nas nie widzi. Pewnego dnia wystawił fałszywy cel nad swoim okopem, żeby ściągnąć na niego nasz ogień, podczas gdy on sam spoglądał przez peryskop ustawiony w pobliżu. Wychwyciłem w moim teleskopie zarówno fałszywy cel, jak i peryskop, więc jestem pewien, że był dość rozczarowany niepowodzeniem swojego fortelu.
>
> Następnego dnia spodziewaliśmy się oczywistego – że spróbuje się z nami zmierzyć. O świcie obserwowaliśmy więc jedyne miejsce na schronienie, do którego mógł dotrzeć, gdy było ciemno, i z którego mógłby nas ostrzelać z zasięgu 300 jardów. Jak na Niemiaszka przystało, zrobił to, co oczywiste – był tam, gdzie się go spodziewaliśmy. Jeden wystrzał z brena, wycelowanego w niego i czekającego w gotowości, położył go, zanim zdążył stać się dla nas zawadą.

Oczywiście należy wziąć pod uwagę, że najlepsi snajperzy i myśliwi w armii brytyjskiej, wywodzący się z Lovat Scouts, zostali oddelegowani do Włoch w 1944 roku, kiedy już osiągnęli dobry poziom umiejętności we wspinaczce górskiej, tropieniu i snajperstwie.

Shore głęboko wierzył w brytyjski system pracy w zespole snajper-obserwator. System ten pozwalał obserwatorowi na używanie mocniejszego teleskopu i pomaganie snajperowi

w znajdowaniu celu oraz udzielanie mu psychologicznego wsparcia w obliczu samotności, jaka wiąże się z pracą snajpera. Shore uważał, że najlepszą bronią dla obserwatora był karabin M1, łatwy w noszeniu, lecz dający wystarczającą siłę ognia, gdy wymagała tego sytuacja. Od przesłuchiwanych po wojnie Niemców dowiedział się, że według wielu z nich system zespołowego działania snajpera i obserwatora dawał Brytyjczykom zdecydowaną przewagę nad snajperami niemieckimi. Jednak Shore uważał, że należy w tej kwestii uznawać indywidualne preferencje, bo – jak zauważył – niektórzy snajperzy woleli działać zupełnie sami.

Snajper armii amerykańskiej czyści swój karabin, model 1903-A4, w czasie kampanii włoskiej. Celownik Lyman miał niewielkie powiększenie, ale nie było to zbyt dużym minusem podczas walk na ulicach i na terenach wiejskich – powszechnych podczas kampanii w Europie.

Praktyczne wykorzystanie wielu snajperów miało miejsce nad rzeką Lamone. Pewien patrol tuż po przekroczeniu rzeki dostał się pod ogień wroga. Pomimo że patrol wycofał się z powrotem przez rzekę, na miejscu pozostał jeden ranny żołnierz. Dzięki działaniu wielu brytyjskich snajperów Niemcy nie mogli się zbliżyć do rannego, dopóki pod osłoną snajperów nie wysłano po niego łodzi i go nie uratowano.

Ponieważ Shore opracował swoje własne programy szkolenia snajperów, wykorzystał w nich swoje doświadczenie wojenne oraz doświadczenia innych osób. Jak już wcześniej wskazano, Shore nie uważał, by standardowe strzelanie do tarczy było dobrym szkoleniem dla snajperów – nadawało się ono według niego jedynie do wstępnej oceny ich zdolności strzeleckich. Shore twierdził, że idealna strzelnica do treningu snajperów powinna oferować urozmaicony teren, który umożliwiłby ćwiczenie obserwacji, tropienia i kamuflażu oraz praktyczne strzelanie do sztucznych trójwymiarowych celów. Taki teren szkoleniowy powinien być dostępny 24 godziny na dobę, tak by można było przeprowadzać ćwiczenia i w dzień, i w nocy. Również wbrew obiegowej mądrości strzelców biorących udział w zawodach, Shore uważał, że snajperów powinno się uczyć doceniać strzelanie z podpory, ponieważ często muszą korzystać z pewnego jej rodzaju, by oddać strzał.

Na kursach snajperskich oraz podczas pokazów dla dowódców batalionów i wyższych dowódców, na których prezentowano sposoby wykorzystania snajperów, Shore zauważył, że szczególnie przydatnym pokazem z punktu widzenia ekonomiki sił było porównanie ostrzału z ognia snajperskiego i ostrzału maszynowego z karabinów typu bren w przypadku podobnych celów i podobnych odległości. Każdy z ostrzałów wykonano do sześciu celów i niezmiennie ostrzał snajperski udowadniał swoją wyższość.

Shore miał nadzieję, że dzięki jego książce będzie można uniknąć powszechnego problemu polegającego na tym, że opracowywano program szkolenia snajperskiego w czasie wojennym, a następnie tracono wykształcone umiejętności w okresie pokoju do takiego stopnia, że karabiny snajperskie niszczały w magazynach z powodu nieużywania ich i braku konserwacji. Chciał też udowodnić potrzebę umiejscowienia snajperów w strukturze organizacyjnej batalionu piechoty. Shore wskazał, że w jednostkach, w których snajperów wykorzystano najefektywniej, byli oni przydzieleni do wspierania kompanii i znajdowali się pod bezpośrednimi rozkazami dowódcy batalionu, przy wsparciu ze strony dowódcy kompanii. Umiejscowienie snajperów pod oficerem o wyszkoleniu snajperskim również było uważane za bardziej efektywne niż pod dowództwem podoficera, który miałby mniejsze możliwości wpływu na wykorzystanie snajperów w służbie. To jednak rzadko miało miejsce. Standardowa organizacja sekcji snajperów w batalionie wyglądała następująco: jeden sierżant, jeden kapral, dwóch starszych żołnierzy i czterech szeregowych.

Shore podkreślał również dobitnie, że snajperzy powinni mieć jasno określone misje do wykonania. Nie należy ich wysyłać, żeby się włóczyli bez celu na linii frontu. Przyznał jednak, że było kilku „samotnych wilków", którzy najlepiej się sprawdzali, gdy po prostu wysyłano ich w miejsce toczenia się akcji.

Łącząc własne doświadczenie w strzelaniu i polowaniu, swoje wyszkolenie snajperskie oraz doświadczenia wyniesione z kontaktów z innymi snajperami i ich bronią, Shore wysnuł wnioski na temat cech idealnej broni snajperskiej. Rozpoczął swoje wywody od wskazania, że tradycyjny wojskowy karabin snajperski w armii brytyjskiej był karabinem służbowym o komorze nabojowej ładowanej

standardową amunicją, wybranym ze względu na celność powyżej średniej. Następnie zamocowano na nim celownik optyczny z przyrządami do ustawiania poprawek bocznych i podniesienia celownika.

Shore dowodził, że kaliber mniejszy niż .303 cala, strzelający lżejszą kulą z większą prędkością, byłby bardziej wskazany dla snajpera, gdyż strzelałby bardziej płasko, dzięki czemu wymagałby mniej poprawek na odległość. Jako odpowiedni zaproponował kaliber .276. Według Shore'a pożądany byłby również celownik z powiększeniem 4- lub 5-krotnym. Gdy omawiał swoje pomysły z doświadczonymi snajperami, większość się z nim zgodziła, chociaż usłyszał komentarze, że przydałyby się lepsze przykrywy soczewek w celowniku oraz że karabin powinien być lżejszy, a celownik montowany raczej ruchem przesuwnym niż dokręcającym, tak jak miało to miejsce w karabinie nr 4 Mk 1(T). Jako alternatywę pocisku o większej prędkości, kalibru .276, Shore wymienił szybki i celny pocisk kalibru .303, przeznaczony dla snajperów. W przypadku, gdyby snajperzy nie mogli otrzymać dostawy tej specjalnej municji, mogliby nadal korzystać ze standardowej amunicji służbowej kalibru .303.

Wkład Shore'a w snajperstwo nie polegał na liczbie zabitych, a na jego obserwacji i analizie szkolenia snajperów oraz taktyki ich działań oraz zawarcie wniosków i spostrzeżeń w książce *With British Snipers to the Reich*. Ponieważ książka Shore'a pojawiła się po 1948 roku, jej wpływ dał się dopiero odczuć w szkoleniu snajperów na potrzeby konfliktu w Korei i późniejszych. Jednak jako szkoleniowcowi snajperów w czasie drugiej wojny światowej udało mu się przekazać swoją wiedzę różnym snajperom, których trenował. Uważał on potrzebę gruntownego szkolenia snajperów za tak ważną, że odłożył

swój powrót do Wielkiej Brytanii i przez kilka tygodni samodzielnie, bez niczyjej pomocy prowadził kursy snajperskie dla podoficerów w swojej jednostce.

W 1946 roku „Dzięki Dowództwu Rady Armii" opublikowany został podręcznik pod tytułem S*mall Arms Training: Sniping* (Szkolenie w zakresie broni ręcznej: snajperstwo), gromadzący informacje uzyskane na temat szkolenia i wykorzystania snajperów podczas wojny. Wiele informacji o szkoleniu snajperów bazuje oczywiście na szkołach dla snajperów założonych podczas wojny, do których Shore uczęszczał. Czy Shore ma w tej publikacji własny wkład – nie wiadomo – nie przypisuje się tu bowiem nikomu autorstwa. Jednak podręcznik ten, zestawiony z późniejszą książką *With British Snipers to the Reich*, bez wątpienia oferuje bogactwo informacji przyszłym szkoleniowcom snajperów.

Shore z pewnością zgodziłby się z akapitami zamieszczonymi na początku podręcznika, mówiącymi o cechach i szkoleniu snajpera:

7. W pełni wyszkolony snajper może być określony jako żołnierz przygotowany do lokalizowania wroga niezależnie od tego, jak dobrze się ukrył, który potrafi iść po jego śladach lub leżeć i czekać na niego, nie będąc zauważonym, i który jest ekspertem w strzelaniu z karabinu. Jego celem jest zabić jednym nabojem. Jest on myśliwym grającym o dużą stawkę na polu walki i musi łączyć sztukę bycia myśliwym z niegodziwością kłusownika, a sztukę strzelania do celu z determinacją odszukania wroga.
8. Musi być wyszkolony nie tylko w precyzyjnym strzelaniu z karabinu, ale również, w wysokim stopniu, w obserwacji oraz sztuce maskowania się i kamuflażu. Bez dużych umiejętności obserwatora

> rzadko będzie w stanie znaleźć właściwy cel, a bez szerokiej wiedzy o sztuce maskowania się i kamuflażu rzadko zajmie pozycję strzelecką w zasięgu swojej ofiary; dlatego też obserwacja oraz sztuka maskowania się i kamuflażu muszą być całkowicie przez niego rozumiane.

Oczywiście komentarze o snajperze jako wielkim myśliwym lub kłusowniku mogły być poczynione przez samego Shore'a, ale również przez jego kompanów z Lovat Scouts. Zarówno w przypadku książki *With British Snipers to the Reich*, jak i publikacji *Small Arms Training: Sniping* klarowną intencją autora było uniknięcie błędu przyzwolenia na stagnację wiedzy o snajperstwie i zaniechania szkolenia snajperów, jak to miało miejsce po pierwszej wojnie światowej.

Źródła

Na równi z książką Clifforda Shore'a *With British Snipers to the Reich* (Greenhill Books, 1997) poleca się następujące pozycje:

British Army Instructions on Snipers and Sniping (The War Office, 1946)

John Plaster, *The History of Sniping and Sharpshooting* (Paladin Press, 2008)

Ian Skennerton, *The British Sniper: British and Commonwealth Sniping and Equipment, 1915–1983* (nakładem własnym, 1984)

Rozdział 8

SEPP ALLERBERGER
Snajper Wehrmachtu

Nowo przydzielony do służby snajperskiej w pułku strzelców górskich (*Gebirgsjäger*) armii niemieckiej, szeregowy Josef „Sepp” Allerberger dostał rozkaz wyeliminowania sowieckiego strzelca wyborowego, który zabił kilku jego towarzyszy broni. W sierpniu 1943 roku operacje w południowej części frontu wschodniego przekształciły się w tymczasową walkę w okopach, w której na plan pierwszy wysunęły się działania snajperskie. Oddział Allerbergera – rekrutowany spośród Austriaków 2. Batalion 144. Pułku Strzelców Górskich – słynął już ze snajperstwa, ale dla niego samego miała to być pierwsza misja.

Na szczęście dla Allerbergera sowiecki strzelec wyborowy był słabo wyszkolony i zbyt pewny siebie. Allerberger polecił żołnierzowi pomachać czapką nad okopem. Niedoświadczony strzelec sowiecki wypalił do czapki, a rozbłysk z wylotu lufy jego karabinu zdradził Allerbergerowi, ostrożnie oglądającemu przez lornetkę linię wroga, jego pozycję. Sowiecki snajper popełnił kolejny kardynalny błąd, pozostając na swej pozycji strzeleckiej – Allerberger dostrzegł nawet światło odbijające się od jego celownika optycznego.

Młody austriacki snajper przygotował się do oddania strzału, przyjmując pozycję za kilkoma kłodami w niemieckich okopach. Między nimi była mała szczelina, na tyle szeroka, by zmieścił się w niej wylot lufy, jednak zbyt mała, żeby można było użyć celownika optycznego.

Ponieważ jednak odległość była niewielka – zaledwie około 100 metrów – użycie mechanicznych przyrządów celowniczych wystarczało do wypełnienia zadania. Mając już wrogiego żołnierza na muszce, Allerberger – jak wielu innych snajperów przed nim – doświadczył momentu zawahania, ale wyszkolenie wzięło górę. Opanowując oddech, pociągnął delikatnie za spust.

Strzał zadźwięczał w pasie ziemi niczyjej. Kurz wzbity podczas wystrzału przesłonił widok, ale jakiś piechur krzyknął: „Perfekcyjny strzał! Zabiłeś tę świnię!”. Towarzysze Allerbergera zebrali się wokół niego, gratulując mu strzeleckiego wyczynu. Jako młody żołnierz, dopiero co przybyły na front, był nieco przytłoczony tymi pochwałami od zahartowanych weteranów, ale w duchu poczuł się niezmiernie uradowany, że odnalazł powołanie jako strzelec wyborowy Wehrmachtu.

Allerberger nie pasował do tradycyjnego modelu snajpera. Wielu z nich miało za sobą bogate doświadczenia z polowań myśliwskich w młodości. Snajper Armii Czerwonej Wasilij Zajcew doskonalił swoje umiejętności strzeleckie w wielkich lasach Północy, podobnie jak Simo Häyhä w swojej rodzimej Finlandii. Młody Bert Kemp polował na zalesionych wzgórzach Tennessee na wiewiórki do domowego garnka. Allerberger był natomiast uczniem stolarza, idącym zawodowo w ślady ojca. Ale w czasie dwóch lat walki na froncie wschodnim zebrał 257 potwierdzonych trafień, które uczyniły go drugim w kategorii najskuteczniejszych snajperów w armii niemieckiej w czasie drugiej wojny światowej.

Urodzony 24 grudnia 1924 roku w wiosce blisko Salzburga, Sepp Allerberger wychowywany był w surowym, autorytarnym otoczeniu, w którym służba wojskowa była nie tylko normą, ale i źródłem dumy. Jesienią 1942 roku

stwierdzono, że z medycznego punktu widzenia jest zdatny do służby wojskowej. Zgodnie z przekonującą maszyną propagandy ministra Rzeszy Josepha Goebbelsa, wojna na Wschodzie była prawie wygrana i potrzebne było tylko ostatnie uderzenie, by zapewnić Niemcom ostateczne zwycięstwo.

W lutym 1943 roku Allerberger został wcielony do oddziału strzelców górskich (niem.), którego austriacka kwatera główna znajdowała się w tyrolskim mieście Kufstein. Następnie został wysłany do Mittenwald na szkolenie podstawowe, które w niemieckiej armii było gruntowne i trudne. W czasie pobytu w Mittenwald przydzielono go do obsługi broni maszynowej i z tą właśnie specjalizacją latem 1943 roku został wysłany wraz z pozostałymi uzupełnieniami na front wschodni, gdzie dołączył do swojego pułku.

144. Pułk Strzelców Górskich był częścią 3. Dywizji Górskiej, rozlokowanej na terenie południowej Ukrainy, na zachodnim brzegu rzeki Doniec w pobliżu Woroszyłowgradu (obecnie Ługańsk). Allerberger prawie od razu po przybyciu na front znalazł się w strefie ciężkich walk podczas ofensywy sowieckiej, rozpoczętej w lipcu 1943 roku, mającej na celu odepchnięcie Niemców ku rzece Dniepr. Był to przerażający wstęp do warunków wojennych na froncie wschodnim, gdzie przeważające siły niemieckie zostały poddane zmasowanemu bombardowaniu artylerii Armii Czerwonej, po którym następowały – fala za falą – ataki piechoty, nieuchronnie zmuszające Niemców do odwrotu.

W czasie sowieckiej ofensywy wkrótce stało się dla Allerbergera oczywiste, że niemieccy żołnierze obsługujący broń maszynową są celem ognia nieprzyjacielskiego, zwłaszcza ze strony strzelców wyborowych Armii

Czerwonej, za których przyczyną liczba ofiar w szeregach niemieckich była nieproporcjonalnie wysoka. Po pięciu dniach walki Allerberger został trafiony – jednak nie przez kulę snajperską, a przez odłamek pocisku, który wbił mu się w lewą dłoń. Pomimo że nie była to groźna rana, został wysłany do dowództwa swojego pułku, gdzie dochodził do zdrowia, wykonując lżejsze obowiązki.

Jednym z jego zadań była naprawa uszkodzonej broni niemieckiej i sortowanie stosów przejętej drobnej broni sowieckiej. Przetrząsając sowiecką broń, natknął się na karabin snajperski Mosin-Nagant 91/30 z celownikiem optycznym PU o mocy 3,5. Ten toporny, ale solidny i celny karabin o czynności powtarzalnej, z magazynkiem pudełkowym o pojemności pięciu naboi, zaintrygował Allerbergera; chciał go wypróbować i kiedy dostał na to pozwolenie, strzelał z niego do celu, wykorzystując obfite zapasy zdobytej sowieckiej amunicji. Była to w istocie ta sama broń, która okazała się tak śmiercionośna, gdy korzystali z niej Wasilij Zajcew i Simo Häyhä. Allerberger tak swobodnie obchodził się z tym karabinem, że podoficer do spraw broni zachęcił go do rozwijania umiejętności strzeleckich. Wkrótce był w stanie trafić w pudełko od zapałek z odległości 100 metrów.

Pułk Allerbergera traktował snajperstwo poważnie, nie było więc przypadkiem, że w jego szeregach znalazł się między innymi Matthias Hetzenauer z Tyrolu, który uzyskał niewiarygodną liczbę 345 potwierdzonych trafień, co uczyniło go snajperem numer jeden nazistowskich Niemiec. Kiedy wieści o umiejętnościach Allerbergera w posługiwaniu się karabinem dotarły do jego dowódcy kompanii, został zwolniony z obsługi broni maszynowej i otrzymał nowy przydział na snajpera w swojej kompanii. Chociaż nie była to zbytnio kusząca perspektywa, zmiana ta

postawiła przed niezależnym Allerbergerem nowe wyzwania.

Przez pozostałą część 1943 roku Niemcy byli bezlitośnie spychani do tyłu przez Armię Czerwoną w serii katastrofalnych w skutakch ataków, których nie dało się długo powstrzymywać. Pomiędzy atakami Niemcy wycofywali się na nowe linie obrony, które utrzymywali do następnego ataku. To wycofywanie się i fazy defensywy sprawiały, że niemieccy snajperzy mieli możliwość zadawania znaczących ciosów celom sowieckim.

Do połowy września Niemcy wycofali się na nową linię defensywną nad Dniepr. Było dla nich oczywiste, że Sowieci planują wznowić ofensywę. Świadczyła o tym choćby liczba patroli zwiadowczych wysyłanych do sondowania niemieckich pozycji. Przełożeni Allerbergera dali mu dość dużo swobody, by prowadził swoją snajperską wojnę w taki sposób, jaki uzna za najlepszy. W owym czasie często wymykał się pod osłoną ciemności na pas ziemi niczyjej, zajmował dobrą pozycję strzelecką i czekał, co się wydarzy. Pewnego przejrzystego poranka dostrzegł sowiecki patrol idący naprzód zza małej kępy drzew. Wchodził w jego pole ostrzału w odległości zaledwie 150 metrów.

Oficerowie byli celem priorytetowym dla snajperów. Tamtego ranka Allerbergerowi dopisało szczęście: prowadzący patrol był niezwykle dobrze ubranym oficerem i ta elegancja munduru go zdradziła. Patrząc przez swój celownik optyczny, Allerberger dostrzegł nawet jego wypolerowane skórzane buty, gdy tamten stanął, by się rozejrzeć. To był prosty strzał, wycelowany w tors. Gdy dym z wybuchu uniósł się znad lufy, Allerberger zobaczył, jak pod oficerem ugięły się kolana i jak upadł na ziemię. Pozostali sowieccy żołnierze rozbiegli się w panice, nie wiedząc, skąd padł strzał. W normalnych warunkach

Allerberger wymknąłby się niepostrzeżenie, ale w tym przypadku zauważył, że jego pozycja nie była zagrożona, więc szybko wyprawił na tamten świat jeszcze dwóch żołnierzy, którzy dzielnie, choć zupełnie nierozsądnie próbowali ratować swojego martwego już oficera.

Po wojnie Allerberger, Hetzenauer i jeszcze jeden snajper z 3. Dywizji Górskiej, Helmut Wirnsberger, byli przesłuchiwani na temat swojej techniki i taktyki snajperskiej. Wszyscy trzej stwierdzili, że eliminowanie oficerów mogło powstrzymać atak wroga, a jeden z nich lakonicznie zauważył: „Pewnego dnia zabiłem ośmiu dowódców ataku wroga!”.

Chociaż w październiku Armia Czerwona z impetem sforsowała Dniepr, Niemcy zdołali utrzymać przyczółek na wschodnim brzegu rzeki pod Nikopolem, a oddziały górskie zostały przydzielone do jego obrony.

Ponieważ pogoda się pogorszyła i zaczął padać śnieg, żołnierze dostali nowe mundury z zimowym kamuflażem: odwracane na drugą stronę bawełniane komplety (wyścielane kłębkami bawełny), białe po jednej stronie, natomiast po drugiej ze standardowym wzorem kamuflażu. Wersja dla snajperów miała wszyte pętelki, tak by można było łatwo wpiąć w nie elementy naturalnego maskowania. Snajperzy mieli pewne zastrzeżenia co do tych mundurów – uważali, że trudno jest ukryć ową biel, gdy druga strona jest już znoszona. Dotyczyło to zwłaszcza kapturów, które dawały niebezpiecznie białą obwódkę dookoła twarzy. Allerberger, czego można się było po nim spodziewać, poszedł własną drogą i po przeprowadzeniu różnych eksperymentów namówił pułkowego krawca, by uszył mu na zamówienie kombinezon snajperski ze standardowym kamuflażem, jak również biały kombinezon z lekkiej

bawełny, który można by nosić w zimowych warunkach, ale też łatwo zdjąć i złożyć, gdy śnieg topniał.

Choć Allerberger zaczynał swoją karierę strzelca wyborowego jako „samotny wilk”, później zaczął postępować zgodnie ze standardową praktyką snajperską, korzystając z pomocy obserwatora w zakresie lokalizowania celów, określania miejsca opadania strzału i udzielania wsparcia psychicznego. Zaprzyjaźnił się z żołnierzem Balduinem Moserem; ich współpraca była bardzo efektywna, chociaż ich przyjaźń miała się skończyć tragicznie.

Allerberger zaczął używać sowieckiego wywróconego czołgu na pasie ziemi niczyjej jako platformy zarówno do obserwacji, jak i do strzelania. Ochrona, jaką zapewniał czołg, sprawiła, że zazwyczaj ostrożny niemiecki strzelec stał się zbyt pewny siebie. On i jego przyjaciel, Moser, zaczęli wielokrotnie korzystać z tego samego stanowiska. Przyciągnęło to uwagę sowieckiego snajpera, który cierpliwie czekał, aż powrócą do czołgu. Gdy Moser badał cele dla Allerbergera, snajper Armii Czerwonej zaatakował. Kula trafiła Mosera w dolną część twarzy, miażdżąc mu szczękę i wyrywając usta oraz sporą część języka. Była to straszna rana, wymagająca natychmiastowej pomocy medycznej, ale gdyby spróbowali się ruszyć z bezpiecznego miejsca, zostaliby natychmiast powtórnie trafieni przez sowieckiego snajpera. Allerberger patrzył w beznadziejnej desperacji, jak pozostała część języka Mosera zaczęła puchnąć, blokując dostęp powietrza do płuc. W tym czasie, który wydawał się wiecznością, Moser powoli się udusił. Dopiero kiedy zapadła noc, Allerbergerowi udało się zaciągnąć martwego towarzysza z powrotem na linie niemieckie. Nauczył się, że nic nie jest dane na zawsze.

Regularne przerwy w dostawach żywności do oddziałów na linii frontu zmuszały żołnierzy do plądrowania okolicy, a po ponad dwóch latach wojny na Wschodzie było już tragicznie mało jedzenia – oddziały często mogły liczyć tylko na dietę złożoną z jabłek i ogórków konserwowych. W styczniu 1944 roku Allerberger i jego towarzysze wycofali się z przyczółka w Nikopolu. Wtedy, wyniszczony trudami walki, złą pogodą i nieodpowiednią dietą, Allerberger zapadł na ostry atak nieżytu żołądka i jelit. Został wycofany z frontu, ale po okresie solidnego odpoczynku i właściwej opieki medycznej odzyskał siły na tyle, by wrócić do czynnej służby. Na froncie przeszedł pod rozkazy nowego dowódcy 2. Batalionu, kapitana Maxa Klossa, i od tego momentu działał na szczeblu batalionu, często pod bezpośrednim dowództwem Klossa.

Śmierć Mosera mocno wpłynęła na Allerbergera. Przez jakiś czas ponownie działał w pojedynkę, ale w końcu powrócił do korzystania z pomocy partnera w poszczególnych misjach, losując spośród ludzi doświadczonych w strzelaniu i rekonesansie. Uzyskał również pomoc swoich kolegów z piechoty do specyficznych operacji, które wymagały użycia broni maszynowej do ostrzału w kierunku wroga w celu zamaskowania jego własnego, bardziej precyzyjnego ognia. Zaowocowało to w pewnej akcji przeciwko sowieckiej piechocie nadzwyczajną liczbą 18 śmiertelnych trafień.

Jednak pomimo największych wysiłków Niemcy nie wytrzymali niszczycielskiej siły Sowietów i gdy wycofali się znad Dniepru za Bug, a potem nad Dniestr, byli tak ostro naciskani, że pod koniec marca 1944 roku zostali odcięci przez napierającą Armię Czerwoną. Szarżująca kawaleria kozacka prawie rozjechała pozycję Allerbergera, dlatego zmuszony był zamienić swój karabin snajperski na 9-

milimetrowy pistolet maszynowy MP 40, który zawsze miał przy sobie do walki z bliska. Gdy Kozacy zostali odepchnięci, pułkownik Anton Lorch podjął bolesną decyzję natychmiastowego odwrotu, która oznaczała pozostawienie ciężko rannych. Znając ich prawdopodobny los, pozostawiono im broń, by mogli zakończyć swoje cierpienie tuż przed pojmaniem. Odwrót powiódł się i przed 10 kwietnia resztki pułku przekroczyły Dniestr, znajdując w miarę bezpieczne miejsce.

Znalazłszy się na dalekim brzegu Dniestru, oddziały górskie miały sposobność zregenerowania sił i uzyskania wsparcia w czasie następnych tygodni. Ku uldze Allerbergera i jego towarzyszy, był to spokojny sektor, chociaż oddziały sowieckie zajmowały stanowiska na przeciwległym brzegu rzeki, która w tym miejscu miała około 400 metrów szerokości – zbyt wiele na zwykły strzał, ale w sam raz na strzał snajpera. Allerberger patrolował ten odcinek rzeki, strzelając do żołnierzy sowieckich, uśpionych złudnym poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawała im odległość od linii niemieckich.

Pewnego razu, w maju, Allerberger natknął się na grupę sowieckich żołnierzy hałaśliwie kąpiących się w rzece, około 600 metrów od jego pozycji. Dla Allerbergera i jego karabinu Mosin-Nagant był to trudny strzał na dużą odległość, ale wiatr był minimalny, a światło dobre. Opierając swój karabin na stercie brył darniowych, które właśnie wyciął, przygotował się do oddania strzału. Jego cel kąpał się nago na brzegu rzeki, był więc stosunkowo łatwy do zdjęcia. Zerkając szybko przez celownik po oddaniu strzału, wiedział, że mu się udało: wrogi żołnierz leżał nieruchomo na brzegu, podczas gdy jego towarzysze uciekli w poszukiwaniu schronienia. Allerberger już od dawna przestał mieć skrupuły co do strzelania do nieuzbrojonych;

wojna na froncie wschodnim była prostym wyborem między „zabić” a „zostać zabitym”, a zabicie celu z tak dużej odległości sprawiło mu cichą satysfakcję.

Gdy oddziały 3. Dywizji Górskiej odbudowywały swe siły, kapitan Kloss tak wszystko zorganizował, że Allerbergera wysłano z powrotem do Austrii na kurs dla snajperów. Do tego czasu Allerberger nauczył się już sporo o snajperstwie na polu walki, ale Kloss postanowił dać swojemu młodemu protegowanemu w pełni zasłużony odpoczynek od walk na froncie i szansę spotkania z rodziną.

Zatem 30 maja Allerberger oddał swój wierny karabin Mosin-Nagant i wsiadł do oczekującej ciężarówki, rozpoczynając pierwszy etap swojej pięciodniowej wędrówki do Austrii. Czterotygodniowy kurs miał miejsce w Seetaleralpe. Allerbergera miło zaskoczył fakt, że instruktorzy byli przyjacielscy, a atmosfera na zajęciach relaksująca. Pozostawało to w kontraście z nieustanną surowością szkolenia podstawowego. Allerberger odkrył również, że jego instruktorzy znali się na robocie, byli w większości byłymi snajperami, wycofanymi ze służby na froncie ze względu na odniesione obrażenia.

Armia niemiecka w początkowej fazie wojny zaniedbywała snajperstwo, ale dotkliwe straty zadane przez snajperów sowieckich na froncie wschodnim zmusiły ją do zmian w tym zakresie. Począwszy od 1943 roku szkoły snajperskie zaczęły kształcić strzelców wyborowych wysokiej klasy. Kurs obejmował podstawowe elementy techniki snajperskiej: strzelanie do celu, sztukę maskowania się i kamuflażu, rekonesans i taktykę. Niemieckie i sowieckie podejście do snajperstwa jako ważnej dyscypliny wojskowej w korzystny sposób kontrastowało z chaotycznym podejściem zachodnich aliantów. Brytyjski snajper instruktor, kapitan Clifford Shore, ubolewał nad

niefrasobliwym podejściem armii brytyjskiej do tego problemu, a ten stan rzeczy prześladował również armię amerykańską.

W niemieckiej szkole snajperskiej szczególną wagę przywiązywano do sztuki kamuflażu. Instruktorzy podkreślali to mottem: „Kamufluj się dziesięć razy, strzelaj raz!”. Techniki kamuflażu wypracowane w szkołach snajperskich były często bardzo wyszukane, a skonstruowanie poprawnej kryjówki zajmowało nieraz kilka godzin. Allerberger miał pewne wątpliwości co do tych bardzo skomplikowanych konstrukcji, będąc przekonanym, że snajperowi potrzebna jest przede wszystkim płynność i swoboda ruchów. Uważał jednak parasol maskujący za wysoce efektywny. Miał on kształt połowy zwykłego parasola, o obwodzie 180 stopni. Był tak pomalowany, by pasował do otoczenia, pokryty naturalnym kamuflażem. Służył czołgającemu się i popychającemu go przed sobą snajperowi jako ukrycie.

Działając ze statycznych pozycji, Allerberger używał wyszukanych atrap, żeby wywabić wrogiego strzelca. Niektóre były odziane w cały mundur armii niemieckiej, z maskami na twarzach i z zainstalowanymi papierosami, palonymi przez asystenta snajpera za pomocą długiej gumowej rurki. Czasem atrapy były „uzbrojone” w karabin, z którego można było strzelić przez pociągnięcie sznurka.

Allerberger był zadowolony ze swojego starego sowieckiego karabinu snajperskiego, ale w Seetaleralpe miał okazję wypróbować inne rodzaje broni, łącznie z karabinem Mauser 98k 7,92 mm, w który wyposażone były zwykłe oddziały piechoty, a który cieszył się popularnością wśród snajperów. Można było na nim polegać w najwyższym stopniu, a jego ślizgowo-obrotowy zamek powodował, że był bardziej celny niż inne karabiny

powtarzalne. Snajperzy otrzymali od producenta karabiny lepszej jakości, a oddziałowi zbrojmistrze byli w stanie wprowadzić w nich drobne udoskonalenia. Dostali również najlepszą amunicję. Dla modelu 98k wyprodukowano też wiele różnych celowników optycznych, łącznie z oficjalnym Zeissem o 1,5- i 4-krotnym powiększeniu oraz komercyjnie dostępnym celownikiem Hensoldta o 6-krotnym powiększeniu. Allerbergerowi wydano karabin z zamocowanym celownikiem Hensoldta, który uważał za wielce satysfakcjonujący i z którego korzystał do końca wojny.

We wczesnym etapie kampanii na froncie wschodnim niemiecki snajper celuje z karabinu Gewehr 98, pamiętającego pierwszą wojnę światową.

Chociaż bardziej służył jako pomoc do celowania niż jako prawdziwy snajperski celownik optyczny, pokazany tu mały celownik Zf.41 o mocy 1,5-krotnym powiększeniu, został przydzielony armii niemieckiej w ogromnych ilościach.

Innym karabinem oferowanym snajperom był Walther Gewehr 43 (7,92 mm), karabin samopowtarzalny, zaprojektowany z integralnym celownikiem optycznym na podstawce, umożliwiającym łatwe użycie w charakterze karabinu snajperskiego. Pomimo zalety, jaką była zwiększona szybkostrzelność, pozwalająca na oddanie kolejnego strzału przez zwykłe pociągnięcie za spust, karabin ten nie cieszył się popularnością wśród snajperów – był cięższy niż 98k, brakowało mu celności przy długim zasięgu i miał tendencję do zacinania się w krytycznych sytuacjach. Allerberger wolał 98k do operacji snajperskich, podobnie jak Matthias Hetzenauer, który uważał, że G 43 działa wbrew filozofii snajpera „jeden strzał, jeden zabity”.

Allerberger zaliczył kurs snajperski jako jeden z trzech najlepszych i zamiast wrócić bezpośrednio na front, dostał

kilka dni urlopu na spotkanie z rodziną. Po prawie rocznej walce nie był już tym żółtodziobem, który z entuzjazmem opuszczał austriacką wioskę. Teraz był już zahartowanym w bojach weteranem, który widział przerażające sceny i osobiście zabił wielu sowieckich żołnierzy. Jak wielu innych żołnierzy frontowych, nie umiał szczerze rozmawiać o swoich doświadczeniach – nawet z ojcem, weteranem pierwszej wojny światowej. Był to dziwnie niespokojny urlop; z uczuciem ulgi pożegnał rodziców i siostry i wsiadł do pociągu, który zawiózł go na front.

Niemiecki półautomatyczny karabin G 43 z celownikiem Zf.4 podczas szkolenia. Po pokonaniu początkowych trudności z niezawodnością wydano snajperom 55 000 sztuk tego karabinu.

Wrócił do 144. Pułku Strzelców Górskich w połowie sierpnia. Zajmowali spokojny sektor obok jednostek swojego rumuńskiego sprzymierzeńca, chociaż powszechnie wiedziano, że nadciąga atak Sowietów.

Sprawy zaczęły się komplikować w następstwie plotek, które rzucały cień wątpliwości na lojalność Rumunów. Kiedy 20 sierpnia ruszyła sowiecka ofensywa, plotki okazały się prawdą; trzy dni później w drodze zamachu obalono rumuński rząd, a nowi przywódcy przeszli na stronę Sowietów. Przysporzyło to ogromnych problemów niemieckim oddziałom górskim, walczącym z siłami sowieckimi od frontu, a teraz również z wrogo nastawionymi Rumunami na swoich flankach i na tyłach.

Odcięci kilkakrotnie Niemcy zdołali jednak, walcząc, wycofać się w Karpaty, co ustabilizowało linię frontu. Allerberger i inni snajperzy często byli wykorzystywani jako tylna straż. Niemieccy dowódcy polowi zwykle woleli drużyny snajperskie od ostrzału maszynowego – standardowej broni straży tylnej – bo można je było łatwiej wycofywać. Allerberger przekonał się, że kilka dobrze wymierzonych strzałów snajperskich jest w stanie całkowicie przerwać sowiecki atak, nie dając wrogowi możliwości rewanżu. Użycie broni maszynowej natychmiast zdradzałoby pozycję wojsk, będąc zaproszeniem do odpowiedzenia ogniem.

Nowy zestaw karabinu i celownika, używany teraz przez Allerbergera, poprawiał celność, a lepsze, 6-krotne powiększenie nie tylko zwiększało rozmiar celu, ale również – dzięki większym soczewkom obiektywu – dawało lepszy obraz w warunkach słabszego światła.

Nie musiał już też polegać na zdobycznej amunicji sowieckiej, miał teraz dostęp do najwyższej jakości pocisków niemieckich, w tym do pocisków B (od niem. *Beobachtung* – obserwacja). Były to naboje zawierające niewielką ilość ładunku wybuchowego, który zapalał się przy uderzeniu i wytwarzał obłoczek dymu, wskazując miejsce trafienia. Allerberger i jego koledzy snajperzy

używali ich, by wskazać pozycje wroga broni maszynowej i moździerzom; w suchą pogodę mogły one nawet podpalić drewniane budynki kryte słomą. Były jednak drogie, a przy dalekich odległościach brakowało im celności konwencjonalnych okrągłych pocisków, dlatego rzadko wykorzystywano je przeciwko żołnierzom wroga – pomimo wielu drastycznych opowieści o ich zastosowaniu wobec ludzi (standardowa kula uderzająca w ciało z dużą prędkością jest sama w sobie dostatecznie wybuchowa).

Wycofując się w Karpaty, grupa żołnierzy, w tym Allerberger, była świadkiem zniszczenia niemieckiego patrolu, który wpadł pod ciężki ostrzał sowiecki na otwartym polu, tuż przed nimi. Tylko jeden Niemiec przetrwał, ale był ciężko ranny, a jego krzyki rozlegały się w całym pasie ziemi niczyjej. Ranny leżał w miejscu tak odsłoniętym, że jakakolwiek próba ratowania go oznaczałaby samobójstwo. Towarzysze Allerbergera błagali go, by zakończył agonię tego człowieka. Po chwili zawahania zgodził się oddać strzał. Dzięki ostrożnemu manewrowi udało mu się uchwycić obraz głowy żołnierza na muszce i ze ściśniętym żołądkiem pociągnął za spust. Po strzale zapadła cisza, a oddział Allerbergera kontynuował odwrót.

Później, tego samego dnia, gdy zapadła noc, dostrzegli stanowisko czerwonoarmistów w odległości około 150 metrów od nich, które ostrożnie obeszli. Wytężając wzrok w półmroku, Allerberger dostrzegł bladą plamę blisko stanowiska. W celowniku okazała się ona postacią sowieckiego żołnierza, który przykucnął z opuszczonymi do kostek nogawkami, żeby się wypróżnić. Szybki, dobrze wycelowany strzał trafił go w żołądek; jego krzyk zaalarmował towarzyszy, którzy zaczęli strzelać na oślep

w kierunku patrolu Allerbergera, ten jednak ulotnił się w ciemności. Była to swego rodzaju zemsta.

Ponieważ Niemcy byli powoli wypierani w kierunku Węgier, Allerberger współpracował teraz blisko ze swoim dowódcą batalionu, nowo awansowanym majorem Klossem, często działając jako jego ochroniarz. Allerberger lubił pracować dla Klossa – doskonale się rozumieli. W kwaterze głównej batalionu Allerberger miał więcej swobody działania i – co nie bez znaczenia – dostęp do lepszego jedzenia. To właśnie w tym czasie wypróbował jeden z trzech karabinów G 43 z celownikiem, które wysłano do 144. Pułku Strzelców Górskich. Nigdy nie traktował tego karabinu jako broni snajperskiej. Odkrył jednak, że ten półautomatyczny karabin z 10-nabojowym magazynkiem jest przydatnym narzędziem szybkiego ostrzału o średnim zasięgu, i przy wielu okazjach wykorzystywał go z dobrym skutkiem.

Podczas obrony węgierskiego miasta Miszkolc Allerberger został draśnięty fragmentem z pocisku moździerzowego. Był to trzeci raz, kiedy został trafiony, ale rany okazały się niewielkie, a biorąc pod uwagę ilość czasu spędzonego przez niego w boju, i tak miał dużo szczęścia. Major Kloss miał go mniej – został zabity 10 listopada podczas ostrzału artylerii Armii Czerwonej. Była to dla Allerbergera dotkliwa strata. Teraz, jak nigdy przedtem, musiał się uodpornić na śmierć wokół siebie.

Allerbergera mile powitano z powrotem w jego kompanii, która wraz z resztą pułku rozpoczęła manewr wycofywania się w Tatry do niemieckiego państwa satelickiego, Słowacji. Ponieważ Armia Czerwona parła nieubłaganie naprzód, lojalność Słowacji słabła i pojawiały się grupy słowackich partyzantów, wciągające Niemców w zasadzki w pobliskich głębokich dolinach. W czasie odwrotu oddziały górskie

zahaczyły o południową Polskę i miały trochę czasu, żeby zająć pozycję obronną na skraju wsi, w odległości około 500 metrów od sił sowieckich – odpowiedniej do strzałów snajperskich o dalekim zasięgu.

Allerberger zbudował we wsi kilka platform snajperskich na poddaszach, kierując się naczelną zasadą niestrzelania więcej niż dwa razy z tej samej pozycji. Zgodnie ze swoim szkoleniem snajperskim, niszczył kilka dachówek lub elementów gontu na dachu, żeby zamaskować pochodzenie następnych strzałów. Nie miał żadnego problemu ze zdejmowaniem nieostrożnych piechurów sowieckich, którzy błędnie wierzyli, że znajdują się w bezpiecznej odległości od linii niemieckich.

Wściekły dowódca drużyny sowietów znajdującej się na wprost Allerbergera rozkazał w końcu ustawić lekkie działko przeciwpancerne, żeby ostrzelać stanowisko wrogiego snajpera – gdziekolwiek się znajdowało. Trzej członkowie obsługi działka najwyraźniej nie byli odpowiednio poinformowani o grożącym im niebezpieczeństwie i wytoczyli je bezpośrednio w pole widzenia Allerbergera. Pierwsze dwa strzały położyły artylerzystów, trzeci – członka załogi, który, zamiast uciekać w bezpieczne miejsce, próbował ratować jednego ze swych towarzyszy. Kiedy go odciągał, trzeci strzał Allerbergera dosięgnął celu. Milczące działko przeciwczołgowe przez resztę dnia pozostawało na otwartej przestrzeni. Odciągnięto je dopiero z nadejściem ciemności.

20 sierpnia 1944 roku ustanowiono specjalną Odznakę dla Strzelców Wyborowych, która miała zachęcić niemieckich snajperów do osiągania wysokich wyników. Miała owalny kształt i była noszona na mankiecie. Widniała na niej głowa orła otoczona liśćmi dębu. Przyznawano ją w trzech klasach: za 20, 40 i 60 potwierdzonych trafień. Wręczono

ich jednak zaledwie kilka, a Allerberger musiał czekać aż do marca 1945 roku, kiedy to wręczono mu wszystkie trzy jednocześnie. Był zadowolony z otrzymania odznak, nie mógł ich jednak naszyć na rękaw – gdyby pojmano go z takimi odznakami, oznaczałoby to dla niego szczególnie okrutny koniec. Włożył je do koperty i wysłał do rodziców, do Austrii.

Na początku kwietnia 1945 roku odznaczono go Krzyżem Żelaznym Pierwszej Klasy, który jednak, jeśli weźmie się pod uwagę zasługi Allerbergera w działaniach jego batalionu na froncie wschodnim, był znacznie spóźniony. Według jego biografa, Albrechta Wackera, otrzymał również nieco później, ale w tym samym miesiącu, Krzyż Rycerski Żelaznego Krzyża, ale nie ma o tym wzmianki w oficjalnych archiwach (ziarnista fotografia Allerbergera ukazuje go z Krzyżem Rycerskim na szyi, ale nie jest rozstrzygająca).

W tym czasie wojna zaczęła wreszcie zmierzać ku końcowi. Trzecia Dywizja Górska została zmuszona do wycofania się na początku maja w kierunku czeskiego Ołomuńca, a wśród żołnierzy rozniosły się pogłoski, że Armia Czerwona zdobyła Berlin, a Führer nie żyje. Dnia 9 maja Naczelne Dowództwo Wehrmachtu potwierdziło to, co nieuniknione, i rozkazało swoim wojskom zaprzestać działań oraz złożyć broń. Generał porucznik Paul Klatt, dowódca 3. Dywizji Górskiej, postanowił nie poddawać swoich ludzi Armii Czerwonej; zamiast tego zwolnił ich z przysięgi żołnierskiej i polecił udać się, w miarę możliwości, na zachód, na linie armii amerykańskiej.

Podczas gdy większość oddziałów górskich maszerowała na zachód, Allerberger wspólnie z żołnierzem o nazwisku Peter Gollup udał się na południe, w kierunku Austrii. Musieli jednak stawić czoła nie lada problemowi – żeby dotrzeć do austriackiej granicy, mieli pokonać około 200

kilometrów, unikając cały czas Armii Czerwonej i band uzbrojonych i żądnych zemsty Czechów. Zanim wyruszyli w drogę, Allerberger zniszczył swój karabin snajperski; był to bolesny moment, ale teraz nie był mu już potrzebny, a gdyby go z nim pojmano, byłby to dla niego wyrok śmierci. Teraz w razie kłopotów musiał polegać na swoim pistolecie maszynowym MP 40.

Postanowili iść nocą i ukrywać się podczas dnia, by nie dać się zauważyć ludności cywilnej i nie natknąć się na patrole wroga. W drugą noc podróży desperacka potrzeba jedzenia zmusiła ich do podejścia do samotnie stojącego wiejskiego domu. W regionie tym zamieszkiwało wielu Niemców sudeckich, a budynek wydawał się z wyglądu niemiecki. Kiedy jakiś mężczyzna otworzył okno sypialni i krzyknął coś do nich łamaną niemczyzną, dla Allerbergera było jasne, że to Czech. Zawahał się. Ale Gollup był strasznie głodny, więc wysunął się do przodu. Dostał serią z pistoletu maszynowego. Allerberger pomógł mu wycofać się w pobliskie zarośla, ale rany były śmiertelne i Gollup zmarł po kilku minutach.

Po raz kolejny Allerberger musiał chronić się przed innymi, polegając na swoich wyjątkowych umiejętnościach skradania się i maskowania. Kiedy się ukrywał, usłyszał niemieckie głosy i rozpoznał, że to oddziały jego własnej dywizji. Dołączył do nich i kontynuował marsz na południe, w kierunku granicy. Przeżywszy atak czeskich partyzantów, Allerberger i trzech jego towarzyszy natknęli się na wiejski dom i odkryli, że są już 15 kilometrów poza granicą. Znów byli w swojej ojczyźnie.

Następnie, w pobliżu miasta Linz, zostali pojmani przez okupacyjne oddziały armii amerykańskiej, a potem zabrani do obozu dla jeńców wojennych w Mauerkirchen, gdzie zajęli się nimi Amerykanie. Liczba więźniów zaczęła

wkrótce przerastać możliwości adminsiracji amerykańskiej, która postanowiła uwolnić tych rannych, którzy byli w stanie chodzić. Allerbergerowi udało się przekonać amerykańskich strażników, by uwolnili go również, aby mógł zaopiekować się jednym z rannych towarzyszy. Jako wolny człowiek powrócił do swojej wsi. Nastąpiło wzruszające, pełne łez spotkanie z rodzicami i siostrami.

Allerberger był oczywiście przerażony dwoma latami morderczej walki na froncie wschodnim. Ale – podobnie jak wielu innych z jego pokolenia – stłumił te dramatyczne doświadczenia, niewiele komukolwiek mówiąc o czasie spędzonym na froncie. Czuł po prostu ulgę, że przeżył wojnę. Czas służby wojennej aż nadto zaspokoił wszelką potrzebę podróży i przygody, ze spokojem więc powrócił do rodzinnego biznesu stolarskiego, przejmując go ostatecznie po ojcu. Inni czołowi snajperzy – tacy jak Zajcew czy Häyhä – poszli podobną drogą, rezygnując ze świateł reflektorów w zamian za spokojne życie.

Spośród wielu ludzi, z którymi Allerberger prowadził po wojnie interesy, nieliczni zdawali sobie sprawę, że ten skromny człowiek był jednym z najlepszych snajperów Wehrmachtu, z 257 oficjalnie potwierdzonymi trafieniami oraz wieloma innymi, które nie znalazły się w oficjalnych zapisach – co było ogromnym osiągnięciem. Zapytany o najważniejsze cechy dobrego snajpera, oprócz doskonałego strzelania, odpowiedział: „spokój, dobry osąd, odwaga”. Były to oczywiście cechy, które sam posiadał. Kolejną była rozwaga, dzięki której austriacki snajper przetrwał wojnę.

Zmarł 2 marca 2010 roku w statecznym wieku 85 lat.

Portret niemieckiego snajpera 73. Dywizji, szeregowca Hortneka, obserwującego żołnierzy alianckich na froncie zachodnim – pędzla niemieckiego artysty Willy'ego Hermana.

Źródła

Erich Kern, *Dance of Death* (Collins, 1951)

James Lucas, *Hitler's Mountain Troops* (Weidenfeld, 1992)

Peter R. Senich, *The German Sniper 1914–1945* (Paladin Press, 1982)

Snipers in Action: The Unseen Weapon (Wehrmacht, 1944; International Historic Films [DVD], 1988)

Sniper: The Invisible Enemy (Wehrmacht, 1944; International Historic Films [DVD], 1988)

William H. Tantum, *Sniper Rifles of the Two World Wars* (Ottawa Museum Restoration Service, 1967)

Albrecht Wacker, *Sniper on the Eastern Front: The Memoirs of Sepp Allerberger* (Pen & Sword Military, 2005)

Charles Winchester, *Ostfront: Hitler's War on Russia 1941–1945* (Osprey, 1998)

Rozdział 9

PATRICK DEVLIN
Waleczny Irlandczyk

Nocą 31 sierpnia 1939 roku naziści udający polskich sabotażystów zajęli stację radiową w Gliwicach i nadali na falach radiowych antyniemiecki program. Stało się to w przeddzień zaplanowanej przez nazistów inwazji na Polskę. Była to prowokacja, mająca na celu usprawiedliwienie niemieckiego ataku. Rozpoczęła się operacja Himmler, składająca się z 21 incydentów wzdłuż całej granicy państw. Miała stworzyć wrażenie polskiej agresji przeciw Niemcom. W rzekomym akcie odwetu armia niemiecka najechała Polskę 1 września, atakując z trzech kierunków: z północy, południa i zachodu. Uderzając tuż przed świtem, niemieckie czołgi, piechota i kawaleria wdarły się na terytorium Polski na trzech frontach, pięcioma armiami, w ogólnej liczbie 1,5 miliona żołnierzy. Polacy nie mogli się równać z Niemcami i wycofali się na wschód. Dalsza walka stała się jednak daremna, gdy 17 września Sowieci zaatakowali od wschodu, skutecznie okrążając Polaków. Pozostały niewielkie ogniska oporu, ale do 5 października skapitulowały i one. Dnia 3 września Wielka Brytania i Francja ogłosiły mobilizację i wypowiedziały wojnę Niemcom, co po raz drugi w ubiegłym stuleciu uruchomiło przygotowania do starcia między tymi państwami.

Prawie dwa lata po kapitulacji Polski, w trzecim roku drugiej wojny światowej, pewien 17-latek w wielkim pośpiechu opuścił Galway w neutralnej Irlandii. Tuż po ukończeniu szkoły przekroczył granicę wiodącą do hrabstw

północnych i 1 lipca 1941 roku niezwłocznie zgłosił się na ochotnika do walki przeciwko Niemcom, podpisując listę w biurze werbunkowym armii, przy ulicy Clifton Street w Belfaście. Nie chcąc, by ominęła go przygoda, Patrick Devlin skłamał na temat swojego wieku – podał się za 20-latka. Świeżo zwerbowany, z numerem 6410458, szeregowy P. Devlin został wysłany do Anglii.

Faktycznie był to początek wielkiej przygody, która ze szkolenia podstawowego w Anglii przeniosła młodego żołnierza na przyczółek w Normandii podczas operacji Overlord, a następnie, poprzez rozbicie niemieckiej 7. Armii i pochód przez Francję, zawiodła go ostatecznie do przekroczenia Renu, gdzie został ranny.

Patrick Devlin na zdjęciu zachowanym w jego dokumentach w Imperial War Museum.

Anglia

Paddy Devlin nie był sam. W angielskim wojsku znalazło się tak wielu jego irlandzkich rówieśników, że niektóre pułki liniowe były wręcz przepełnione Irlandczykami. Prowadziło to często do bójek, w związku z czym niezadowolony Monty (Sir Bernard Law Montgomery – *przyp. tłum.*) rozdzielił Irlandczyków, rozsyłając ich, w ramach kary, w znacznie mniej licznych grupach do różnych oddziałów piechoty. Pierwszy z oddziałów Devlina, 8. Batalion Pułku Royal Sussex, stacjonował w Colchester, lecz po wielkiej bójce

w mieście z Kanadyjczykami Monty go rozwiązał. Devlina wysłano do 11. Batalionu, Pułku Queen’s Royal (West Surrey).

Podczas treningu przygotowującego do D-Day Devlin zgłosił się na ochotnika do zupełnie nowej jednostki powietrznodesantowej, formowanej z irlandzkich ochotników – miał to być irlandzki batalion spadochronowy, część brygady mającej odegrać ważną rolę w nadchodzącej kampanii inwazji. Jednak po zgromadzeniu wielu ochotników dowództwo przemyślało sprawę na nowo. Chcąc uniknąć bliskiej współpracy wszystkich Irlandczyków i ponownych problemów z dyscypliną, postanowiono rozrzucić ich po wszystkich brygadach powietrznych. Strzelec Devlin znalazł się w 18. Plutonie, Kompanii C, 1. Batalionu Pułku Royal Ulster Rifle, będącego częścią 6. Brygady Szybowcowej w 6. Dywizji Powietrznodesantowej, przeznaczonej do desantu w Normandii. Dowodził nią generał major Richard Gale.

Do tego czasu Devlin został batalionowym snajperem zwiadowcą. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej szkolenie snajperów i snajperski establishment zniknęły ze struktury dowodzenia większości brytyjskich jednostek piechoty. W okresie międzywojennym nie dokonał się żaden postęp w rozwoju snajperstwa, a kiedy w 1939 roku znów rozpoczęła się wojna, przyznano tej dziedzinie niski priorytet. Słabo dostępne były nawet karabiny snajperskie. Przywrócono więc wszystkie stare karabiny z pierwszej wojny światowej, których wcześniej nie sprzedano lub nie przydzielono gdzieś indziej. Jednak już na wczesnym etapie wojny pojawiła się pilna potrzeba posiadania snajperów, co doprowadziło do założenia niewielkiej szkoły we Francji, a potem kolejnej w Hythe. Nawet po pogromie i odwrocie wiodącym do Dunkierki utrzymywano sceptyczną postawę

wobec umiejętności snajperskich, tak bardzo przecież potrzebnych. Do czasu desantu w Normandii rzeczy przybrały jednak inny obrót. Snajper armii brytyjskiej został dobrze wyposażony i przeszkolony oraz sklasyfikowany jako specjalista.

Typowy zestaw i wyposażenie snajpera w przeddzień operacji Overlord, według słów Devlina, przedstawiał się następująco:

> Brytyjski karabin Enfield kaliber .303 cala, teleskop wz. 32, zegarek kieszonkowy, kurtka typu Denison Smock, siatka maskująca na twarz, lornetka, kompas pryzmatyczny typu Mk3, dwa granaty (Millsa) wz. 36, ładownica z 50 nabojami, butelka wody, pięć pocisków smugowych, pięć pocisków przeciwpancernych i racje żywnościowe.

Według etatu wojennego, przyjętego w 1942 roku, w skład batalionu piechoty wchodziło ośmiu snajperów: jeden sierżant, jeden kapral, dwóch starszych żołnierzy i czterech szeregowych. W jednostkach specjalnych etat ten był liczniejszy, 32 snajperów w batalionie spadochronowym i 38 snajperów w batalionie szybowcowym. Po Normandii ponownie założono szkołę snajperów we Francji. Organizowała ona również kursy dla instruktorów snajperstwa, którzy po uzyskaniu kwalifikacji wracali do swoich jednostek, by prowadzić kursy podstawowe i kontynuacyjne dla snajperów z poszczególnych batalionów.

Po 1942 roku pochodzący z czasów pierwszej wojny światowej karabin SMLE (*Short Magazine Lee Enfield*) oraz rezerwowy, P14, zostały oficjalnie w przypadku snajperów zastąpione karabinem Lee-Enfield nr 4, Mk 1 (T). Podobnie jak jego poprzednicy, był to karabin powtarzalny, tym razem

ładowany 10-nabojowym magazynkiem, z celownikiem optycznym wz. 32 o 3-krotnym powiększeniu i celownikami mechanicznymi. Karabiny snajperskie były wybierane ze standardowej fabrycznej linii produkcyjnej jako najlepsze z danej serii. Następnie rozbierano je i przebudowywano – wyposażano w nową kolbę i specjalnie montowany element drewniany, służący jako oparcie dla policzka. Na tym etapie dostarczano nadal standardową amunicję.

Operacja Tonga

Operacja Tonga była nazwą kodową operacji wojsk powietrznodesantowych armii brytyjskiej stanowiącej element alianckiego lądowania w Normandii (D-Day). Jednostki spadochronowe i szybowcowe miały wylądować i zabezpieczyć istotne obiekty przed inwazją z morza, ochraniając tym samym wschodnie skrzydło przed atakami z głębi lądu, od strony plaży Sword. Celem miało być zdobycie i utrzymanie dwóch ważnych mostów, nad kanałem Caen i nad rzeką Orne, znanych później jako mosty Pegaz i Horsa, oraz zniszczenie różnych stanowisk niemieckich, w tym baterii dział w Merville, która mogłaby utrudnić lądowanie żołnierzy na plaży Sword. Działania te miały powtrzymać 21. Dywizję Pancerną od uderzenia w kierunku przyczółku aliantów i zepchnięcia ich do morza.

Jak wielu innych, podczas przygotowań strzelec Devlin znalazł się w jednym z rozsianych po całej Anglii niewielkich obozów przejściowych, ogrodzonych drutem kolczastym. Obozy te były częścią procedury bezpieczeństwa operacyjnego: drut kolczasty miał nie tylko nie dopuszczać osób niepożądanych, ale także utrzymać razem oddziały już postawione w stan gotowości operacyjnej.

Batalion otrzymywał kompletne informacje na temat misji i celów do realizacji podczas D-Day oraz oczekiwań w stosunku do każdego żołnierza. Po odprawie nastąpiła wypłata żołdu. Oficer dowodzący zasiadł przy stole i wypłacił każdemu żołnierzowi po 200 franków, oferując również po trzy kondomy na osobę. Devlin powiedział: „Sądziłem, że mamy walczyć z Niemcami, sir. A nie rozmnażać się". Patrick początkowo odmówił przyjęcia kondomów, ale później dał się namówić i zdecydował się je wziąć, nawet gdyby miał je komuś oddać.

W przededniu 6 czerwca 24 000 żołnierzy wojsk powietrznodesantowych na 22 lotniskach w całej Anglii weszły na pokłady 1200 samolotów transportowych i 700 szybowców. Pierwszy Batalion Royal Ulster Rifles (1 RUR) wszedł na pokład szybowców Horsa; każdy z plutonów został przypisany do jednego szybowca, co w przypadku jednostki liczącej 750 żołnierzy wymagało wielu. To samo uczynili żołnierze 2. Batalionu Oxfordshire i Buckinghamshire Light Infantry (2 OBLI), również z 6. Brygady Szybowcowej, którzy mieli wyruszyć jako pierwsi. Niestety nie można tego powiedzieć o trzecim i ostatnim batalionie brygady, 12. Devonshire Regiment (12 Devons). RAF-owi zabrakło halifaxów i stirlingów do holowania szybowców, więc – z wyjątkiem jednej kompanii – Devons musieli zostać przetransportowani drogą morską i dołączyć do pozostałych poprzez plaże.

Devlin, ze swoim karabinem Enfield kaliber .303 w ramionach i z pomalowaną na czarno twarzą, wszedł na pokład i wybrał miejsce po lewej stronie, przy oknie, twarzą do kierunku lotu. W ten sposób – tak jak to lubił – mógł mieć na oku drzwi wyjściowe. Jednak podczas startu samolot holujący zanurkował brzuchem i zwolnił linę holującą. Pluton 18. stał nieruchomo na pasie startowym,

aż został odholowany przez ciagnik. Z tego właśnie powodu Patrick Devlin znalazł się w ostatnim szybowcu Horsa, który wystartował do operacji powietrznodesantowej.

Normandia

W czasie tego nocnego lotu wiatr był silny i porywisty, rzucał szybowcami i wyginał liny holownicze. Chwilami w świetle księżyca Devlin mógł dostrzec poprzez dziury w chmurach płynącą w dole potężną armadę, zmierzającą ku swoim pozycjom.

Nad Normandią liny holujące zostały zwolnione i setki szybowców szukały drogi ku zamierzonym strefom lądowania. W pierwszym rzucie, za oznaczającymi strefy lądowania pathfinderami, zanurkowały w dół szybowce batalionu Ox i Bucks, osiągając swoje cele, jakimi były mosty. Pierwszy Batalion Royal Ulster Rifles wylądował w pobliżu Ranville. Żołnierzy zwołano za pomocą gwizdka, po czym uformowano kompanie, które wyruszyły, by realizować wyznaczone im misje. Kompanię C zgrupowano na drodze i wysłano w kierunku Le Bas de Ranville, aż do miejsca znanego jako „Ring Contour” (*ang.* obwód koła) ze względu na jego kształt na mapie. Maszerując, Paddy zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy widział wtedy martwego niemieckiego żołnierza, spadochroniarza, który leżał skulony na poboczu drogi. Pochodził prawdopodobnie z I. Batalionu 6. Pułku Strzelców Spadochronowych, elitarnej jednostki, o której wiadomo, że walczyła w tym rejonie i prowadziła zacięte walki opóźniające.

Po przybyciu do Ring Contour Devlin i reszta jego sekcji otrzymali zadanie okopania się pod osłoną nocy, by chronić drogi dojazdowe do Ste-Honorine la Chardonnerette. Były to przygotowania do zabezpieczenia osłony ogniowej dla

reszty batalionu podczas flankującego ataku na wioskę poprzez Longueval wczesnym rankiem 7 czerwca.

Ogólnie rzecz ujmując, sytuacja na tym etapie oceniana była pozytywnie, pomimo iż wiele oddziałów nie zebrało jeszcze wszystkich sił. Silny wiatr wiejący w trakcie zrzutu spowodował, że wiele szybowców i spadochroniarzy zboczyło z kursu i kiedy w dniu operacji D-Day wzeszło słońce, niektórzy wciąż przedzierali się do swoich jednostek. Ci, którzy byli już na miejscu, musieli odpierać kontrataki znacznie mniejszymi siłami, niż wcześniej zakładano. Wszystkie zadania zostały jednak wypełnione, a ogół jednostek skierowano do obrony przyczółku.

Nie uniknięto jednak błędów. O świcie następnego dnia okazało się, że pozycja drugiej drużyny skierowana jest w niewłaściwą stronę – nie widać było z niej wioski, nie mówiąc już o zapewnieniu ognia osłonowego. Takie pomyłki zdarzały się dość często w czasie wojny. Złe oznakowanie terenu przez zmęczone oddziały, pod słabym nadzorem ze strony podoficerów, często prowadziło do popełniania tego rodzaju błędów.

Pierwsze strzały padły ponad ich głowami: kiedy ku uciesze żołnierzy zajmujących szczyt wzgórza dwa samoloty spitfire ścigały junkersa 88 ratującego się ucieczką przed atakiem z plaży i zestrzeliły go tuż przed ich liniami, co wywołało burzliwe wiwaty w okopach. Widząc to, Niemcy broniący Ste-Honorine otworzyli ogień, ostrzeliwując stanowiska. Natychmiast rozpoczęła się praca nad umocnieniem pośpiesznie zbudowanych okopów – trzeba było zapewnić sobie lepszą ochronę; była to kolejna surowa lekcja. W pewnym momencie, podczas tego ognia zaporowego, nastąpił atak batalionu. Po długiej walce, po której nastąpiła cisza, stało się jasne, że Devlin i druga drużyna byli pozostawieni sami sobie; pozostali odeszli, nie

dając o tym znać tej niewielkiej grupie. Szokującym odkryciem było to, że gdy atak Ulsterów się załamał, rozległ się ryk czołgów. Pojazdy zostały zauważone, gdy opuszczały wioskę, kierując się wprost na drugą drużynę, by ją stamtąd wymieść. Devlin w pośpiechu przygotował się do wycofania, szybko pakując swoją kartę zasięgów i panoramiczny szkic łuków strzału wyznaczonych ze stanowiska. Zgodnie z rozkazem dowódcy drużyny wycofali się w kierunku Ranville, które było pierwszą wyzwoloną francuską wioską.

Po przybyciu na miejsce dowiedzieli się od spadochroniarza pełniącego służbę wartownika, że atak Ulsterów się nie powiódł i że po wycofaniu się batalion ruszył w stronę Longueval. Chwytając kolejny raz swój snajperski karabin, Devlin dołączył do drugiej drużyny i odnalazł pozostałą część kompanii, która okopywała się na pozycji obronnej na „Top Road". Pluton 18. obstawił brzeg zalanej drogi, nawiązując kontakt z pozostałymi plutonami. Druga drużyna dołączyła do pośpiesznego kopania stanowisk, w oczekianiu na spodziewany kontratak Niemców. Devlin został wysłany na czoło powstającej pozycji, tuż poza zasięg słyszalności pośpiesznie kopiących, by służyć reszcie kompanii wczesnym ostrzeganiem – było to rutynowe zadanie każdego snajpera.

Gdy kontratak nie nastąpił, kompania dostała rozkaz przesunąć się na południowy koniec wioski Longueval, gdzie mieli okopać się po raz trzeci tego dnia. Devlin kopał swój schron w pobliżu stanowiska niemieckiego dowództwa, obecnie służącego jako pułkowy punkt sanitarny (RAP, *regimental aid post*). Ukończywszy swoją nową jamę, zanim się w niej rozlokował, sporządził nową kartę zasięgu i naszkicował nową panoramę. Umieścił na niej znane odległości, a także określił i zaznaczył punkty

odniesienia oraz utworzył ich listę. Wszystko to miało pomóc we wskazaniu celów i kontrolowaniu ostrzału.
W końcu Paddy mógł wreszcie coś zjeść i zaparzyć herbatę. Nie zapomniał również wyczyścić karabinu. Pozostała część dnia 7 czerwca przebiegła bez istotnych wydarzeń. Jednak po nocy, która minęła rutynowo, stanowiska zostały zaatakowane przez dwa spitfire'y, które omyłkowo wzięły ich za Niemców! Między 5 a 7 czerwca dywizja straciła 800 ludzi.

Nocny patrol

Młody dowódca 18. plutonu, porucznik Mike Gann, który pozostawił drugą drużynę w tyle na Ring Contour, dostał zadanie przeprowadzenia rekonesansu swojej starej pozycji nocą 9 czerwca. Wybrał sobie do pomocy snajpera zwiadowcę Devlina, chcąc, by ten znalazł drogę, dotarł do obszaru, na którym znajdował się cel, i – jak miał nadzieję – szczęśliwie powrócił. Patrick skorzystał z tej szansy, żeby pokazać, co potrafi. Misja polegała na dotarciu do starej pozycji drugiej drużyny i sprawdzeniu, czy jest obecnie zajmowana przez siły wroga. Dla Devlina była to typowa, dobrze przećwiczona snajperska czynność. By dało się utrzymać hałas na minimalnym poziomie, patrol składał się tylko z trzech osób. Jako ostatni w patrolu szedł starszy żołnierz, Geordie Gibbs, który zawsze lubił, jak się coś działo.

Ten patrol był użyteczny dla Devlina, ponieważ pozwolił mu odświeżyć umiejętności zwiadowcze i nabrać nieco doświadczenia w fachu. Po drodze patrol minął samotnego wartownika i po wymianie haseł uzyskał informację, że według jego wiedzy miejsce, do którego zmierzali, nie jest w tej chwili zajmowane przez Niemców: „Z pewnością są na wzgórzu". Opuściwszy stosunkowo bezpieczne stanowiska

obronne, Devlin przekazał patrolowi sygnał do zatrzymania się, by dać oczom i uszom czas na przystosowanie się do otaczających warunków.

Teraz, idąc naprzód, Paddy i jego towarzysze skradali się coraz bliżej, a będąc świadomi, gdzie się znajdują, stawali się coraz bardziej ostrożni. Gdy byli już blisko okopów, przylgnęli do ziemi i słuchali rozmawiających Niemców. Misja została wypełniona, wiodący zwiadowca przyprowadził patrol z powrotem do dowództwa, a porucznik Gann sporządził raport.

Kilka dni później pojawiło się kolejne zadanie. Dowódca Kompanii C chciał, żeby Devlin zdjął niemieckiego snajpera z budynku, którego okna wychodziły na stanowiska obronne, w odległości około 100 metrów poza obrębem wioski. Paddy szybko zebrał swój snajperski sprzęt i wyruszył w kierunku stodoły, by wykonać zadanie.

Aby pozostać poza linią wzroku, szedł wzdłuż ulicy pod ścianami, mijając przejścia, okna, bramy i ogrody i wykorzystując je jako osłonę. Dobrze wiedział, jak niebezpieczna jest niemiecka broń maszynowa, i obawiał się otwarcia nagłego ognia wzdłuż ulicy. Bał się również strzału ze strony snajpera, którego tropił. Skradając się od domu do domu, od ogrodu do ogrodu, dotarł do ostatniego budynku. Był to duży, dwupiętrowy, wzniesiony z kamienia budynek mieszkalny przypominający stodołę. Gdyby udało mu się go zająć, zapewniłby mu przyzwoitą pozycję, z której mógłby przeszukać kryjówkę wroga, znajdującą się niedaleko w drewnianej stodole.

Przedostatni dom wyglądał na opuszczony, ale znalazł w nim chowającą się samotną Francuzkę, zerkającą na niego i wskazującą kierunek, z którego wcześniej dochodził ogień. Paddy przeszedł przez jej dom do tego ostatniego. Tutaj przekonał się, co widać z kamiennej stodoły. Chciał

usunąć dachówki w paru miejscach i wykorzystać dziury po nich do strzelania, ale nie zdecydował się na to. Musiał wziąć pod uwagę, że budynek może być obserwowany, dlatego nie chciał niczego zmieniać w jego wyglądzie. Wczołgał się do środka. Trzymając się w cieniu oraz unikając drzwi i okien, by nie wystawić się na widok wroga, przejrzał cały budynek, szukając dobrego stanowiska strzeleckiego. Niczego sobie jednak nie upatrzył.

Zamiast położyć się na stanowisku obserwacyjnym i czekać na oznakę poruszenia się wroga, ku przerażeniu dowódcy kompanii, który obserwował jego działania, sfrustrowany Devlin po prostu wyskoczył na ulicę, przyjął pozycję klęczącą i szybko wystrzelił w kierunku stodoły dwa pociski. Miał nadzieję, że sprowokuje przeciwnika do strzału, który zdradzi jego kryjówkę. Dowódca chwycił go przez kurtkę za ramię i odciągnął do tyłu, w ukrycie, rozległy się już bowiem strzały ze strony Niemców.

Taki sposób lokalizacji wroga jest uważany za ostateczność – gdy chce się go sprowokować do otworzenia ognia, podejmując ogromne ryzyko. Ruch ten powinien wykonać najmniej istotny żołnierz pododdziału, ale nie snajper, będący najcenniejszym dobrem! W tym przypadku zachowanie Devlina doprowadziło do pojedynku „oko za oko” dwóch snajperów, w którym żaden nie został trafiony. Pojedynek trwał jakiś czas, dopóki nie stało się oczywiste, że niemiecki snajper nie jest sam. Gdy wzmógł się niemiecki ostrzał, Patrick Devlin został odwołany.

Gdy Devlin walczył w pobliżu stodoły, pozostała część jego kompanii poniosła pierwsze straty w ludziach w czasie powtarzających się kontrataków ze strony wojsk niemieckich. Potem Devlin dostał rozkaz spakowania swego sprzętu i powrotu do kompanii. Po kilku stosunkowo spokojnych dniach w okopach na pomoc 1. Batalionowi

RUR przybyli żołnierze z 5. Batalionu Cameron Highlanders, wchodzącego w skład 51. Dywizji Górskiej. Gdy przejęli od Ulsterów wszystkie stanowiska, zaczęli się przechwalać, że pokażą Irlandczykom, jak należy atakować. Rozpoczęli atak, ale ich przechwałki nie trwały długo – w ciągu kilku minut zostali pokonani i zaczęli uciekać do tyłu, przedzierając się przez szeregi Irlandczyków. Wówczas Irlandczycy musieli szybko zastąpić ich w okopach, zbyt łatwo opuszczonych.

Bombardowanie, które nastąpiło po tym incydencie, przypominało Devlinowi zdarzenie, którego doświadczył, gdy dostał się w otwarty ogień, wykonując pewnego dnia działania snajperskie. Mając za osłonę jedynie cienkie drzewo, leżał przez 30 minut na otwartym terenie, pod nadchodzącym w jego kierunku ogniem. Była to jedna z przyczyn, dla których snajperzy w czasie drugiej wojny światowej nie byli lubiani we własnych szeregach. Każda oznaka snajperskiej działalności wzdłuż linii lub na pasie ziemi niczyjej wywoływała ciężki ostrzał artyleryjski. Spokój zamieniał się wtedy w piekło z powodu samej obecności snajpera. Niebezpośredni ogień był jednym z najskuteczniejszych sposobów wyłapania snajpera i zabicia go.

W drugiej połowie czerwca i na początku lipca 1944 roku walki w Normandii utknęły w martwym punkcie. Szybka reakcja Niemców na lądowanie aliantów zapobiegła dokonaniu natychmiastowego przełamania z przyczółka. Trwała natomiast walka o każdy metr. Straty aliantów zadawane im nocą przez niemieckich snajperów były szczególnie dotkliwe. Niemcy świetnie się ukrywali, korzystając z oczyszczonych przejść przez normandzkie żywopłoty, które zapewniały osłonę przed wzrokiem i ogniem wroga. Ten niewielki, piękny teren, znany jako La

Suisse Normande („szwajcarska” Normandia) – z licznymi wzgórzami, gęstymi żywopłotami, strumieniami, rzekami, sadami, patchworkowymi polami i gęstymi lasami, miasteczkami zbudowanymi z kamienia i malowniczymi wioskami – sprzyjał obronie, nie atakowi, co było dla Niemców korzystne. Wykazali się oni również lepszymi umiejętnościami walki i większym doświadczeniem, zachowując determinację nawet po poniesieniu dużych strat, często formując rozbite oddziały na nowo i uzdataniając je do kontynuacji walki. Uparci i pomysłowi żołnierze niemieccy znani byli wśród aliantów z prowadzenia skutecznych działań opóźniających.

Snajperzy-zwiadowcy zdobywali w trakcie szkolenia wysoki poziom umiejętności ukrywania się i kamuflażu; byli w batalionie uważani za najlepszych w tej sztuce. Z powodu ich specjalistycznych umiejętności powierzano im prowadzenie najważniejszych patroli oraz doradzanie dowództwu kompanii i batalionu. Niestety młodym oficerom często z trudem przychodziło przyjąć radę snajpera; wątpili w ich słowa i lekceważyli ich, forsując własne zdanie. Mogło to prowadzić do katastrofalnych skutków, o czym Devlin przekonał się pod koniec czerwca 1944 roku.

Podczas zadania zwiadowczego dla Kompanii B Paddy otrzymał rozkaz, by dokonać infiltracji przednich pozycji wroga i pomóc żołnierzom kompanii pojmać jeńca. Snajperzy znają obszar, na którym działają, jak swój własny ogródek – i ta gruntowna wiedza Devlina miała się wkrótce przydać. Devlin prowadził żołnierzy pewnego plutonu przez ich własne linie w kierunku pasa ziemi niczyjej, oddzielającego ich od wroga. Zanim jeszcze minęli pozycje wartowników na linii własnej obrony, gdy wciąż znajdowali się na terenie stosunkowo bezpiecznym, jeden z żołnierzy udał, że jest chory, i odmówił dalszego marszu, nie chcąc

ryzykować życia. Kiedy sprawę rozwiązano, Paddy potrząsnął głową i poszedł dalej, widząc, jak kiepska jest dyscyplina w oddziale, i spodziewając się w związku z tym długiej i ciężkiej nocy. Miał zamiar doprowadzić ich do przedniego stanowiska broni maszynowej, które spostrzegł w czasie wcześniejszego patrolu. Jeśli chodzi o niego, ta część zadania była rutynowa.

Zatrzymawszy się niedaleko zamierzonego celu, Devlin wezwał do siebie dowódcę plutonu. Poinformował go o dokładnym położeniu niemieckiego stanowiska i od tej chwili wszystko się posypało. Młody oficer zwymyślał Devlina i omówił przyjęcia jego wskazówek, twierdząc, że nie ma możliwości, żeby wróg znajdował choćby w pobliżu wskazanego przez niego miejsca. Niezwłocznie przeszedł wzdłuż żywopłotu, na miejsce wskazane przez Devlina, chyba tylko po to, by sprowokować Niemców. Sam będąc sprowokowany, głupi, lecz dzielny oficer wskoczył w żywopłot i posłał serię ze swojego stena, wywołując odpowiedź przeciwnika. Nigdy więcej go nie widziano. Reszta plutonu uciekła z powrotem na swoje linie, ścigana przez kule z niemieckiej broni maszynowej, przeszywające cały teren. Pozostawili swego oficera na łaskę losu, ani jeden żołnierz z patrolu nie przyszedł mu z pomocą. Strapiony snajper, nie chcąc potraktować oficera w taki sposób, ale i nie mogąc w pojedynkę wiele zdziałać, powrócił na własne linie. Kiedy tam dotarł, wartownik stwierdził, że „uciekinierzy” wrócili już dobre 20 minut wcześniej. Po wszystkim Devlin sporządził szczegółowy i uczciwy raport na temat tego, co się wydarzyło, i przekazał go do dowództwa.

W późniejszym okresie wojny, kiedy Devlin przebywał w szpitalu z powodu odniesionych ran, pokazano mu długą listę osób „zaginionych w akcji”. Jedyne nazwisko, które

pamiętał, należało do owego nieszczęsnego oficera, którego musiał uznać za nieżyjącego.

Straty nacierających aliantów podczas pierwszej fazy operacji Overlord, licząc łącznie zabitych, rannych, zaginionych lub pojmanych, szacowano później na około 10 000, natomiast straty w szeregach broniących się Niemców na 4000–9000 żołnierzy. Dla 1. Batalionu Royal Ulster Rifles liczby te przedstawiały się następująco: 85 zabitych, 235 rannych i 35 zaginionych. Jednym z rannych był dowódca kompanii Devlina, który jednak później, po przerwie, powrócił i poprowadził Kompanię C nad Sekwanę.

Po wielu tygodniach walk obronnych na wschód od rzeki Orne liczne oddziały powietrznodesantowe niecierpliwiły się już nieco, chcąc pójść naprzód, poza przyczółek, i porzucić defensywną rolę zwykłej piechoty. W połowie sierpnia przyszedł rozkaz wymarszu i 6. Dywizja Powietrznodesantowa skierowała się ku otwartej przestrzeni pomiędzy rzekami Orne i Sekwaną. Strzelec Devlin z Kompanii C, 1. Batalionu Royal Ulster Rifles, i reszta 6. Dywizji Powietrznodesantowej posuwali się naprzód, nękając Niemców, gdy ci cofali się ku Sekwanie, w pobliże portu Hawr, oraz zdobywając po drodze Deauville, Trouville i Honfleur.

Naczelne dowództwo postanowiło, iż w celu lepszej kontroli i koordynacji wielu różnych oddziałów powietrznodesantowych w trakcie natarcia na Niemcy należy utworzyć jedno dowództwo i jednolitą strukturę sił powietrznodesantowych. Dlatego też w sierpniu 1944 roku została utworzona 1. Aliancka Armia Powietrznodesantowa. W jej skład weszło kilka amerykańskich i wszystkie brytyjskie jednostki powietrznodesantowe. Pierwszą misją nowej armii miała być operacja Market Garden kilka tygodni później. Przygotowania do niej były już w toku, ale

ponieważ żołnierze 6. Powietrznodesantowej długo i ciężko walczyli w Normandii, miała ich ominąć. Zostawiwszy swoją broń we Francji, pojechali do domu na urlop. Jak to później ujął Devlin: „Zrządzeniem losu ominęła mnie jatka w pod Arnhem”.

Urlop i nowe bitwy

Na początku września 1944 roku cała 6. Dywizja Powietrznodesantowa została wysłana do Anglii w celu wypoczynku i reorganizacji. Żołnierze odpłynęli z portu Mulberry, zbudowany w pobliżu Arromanches, na plażach desantowych. W związku z inwazją w Normandii powstały tam dwa tymczasowe porty, specjalnie zaprojektowane i przeznaczone do rozładunku ludzi i sprzętu. Wszystkie elementy, takie jak mola i falochrony, zostały wykonane w Wielkiej Brytanii, a następnie w kawałkach powoli przetransportowane drogą morską przez kanał La Manche na plaże Normandii. Tam je zmontowano, ustawiono we właściwym miejscu – z dala od plaż – i przytwierdzono do morskiego dna łańcuchami. Był to niezwykły wyczyn inżynierii wojskowej. Port Mulberry A, przeznaczony dla wojsk amerykańskich, został wzniesiony z dala od brzegu, niedaleko St-Laurent-sur-Mer przy plaży Omaha, natomiast Mulberry B zbudowano przy plaży Gold, niedaleko Arromanches, z przeznaczeniem dla oddziałów brytyjskich i kanadyjskich.

Po reorganizacji w Anglii, pod koniec grudnia 1944 roku, Devlin i jego towarzysze broni ponownie zostali wysłani w serce działań wojennych. Przybyli do Belgii w drugi dzień Bożego Narodzenia. Przez miesiąc zmagali się z silnym kontratakiem sił niemieckich w lasach Ardenów, w trzaskającym mrozie. Bitwa o Ardeny, bo pod taką nazwą przeszła do historii, była próbą przejęcia przez Hitlera

inicjatywy utraconej wcześniej w Normandii. Pod koniec lutego 1945 roku, po zaciętej walce wzdłuż brzegów Mozy i zdobyciu po drodze wiosek Bures oraz Wavreille, dywizja została ponownie wysłana do Anglii – tym razem na płaskowyż Salisbury Plain. Tu przygotowywała się do swojej następnej, być może ostatniej operacji wojennej – przekroczenia Renu.

Przekroczenie Renu

Dowództwo XVIII Korpusu 1. Alianckiej Armii Powietrznodesantowej opracowywało teraz operację Varsity. Kierował nią generał dywizji Matthew Ridgway. Generał broni Gale został zastępcą dowódcy korpusu, a generał broni Eric Bols przejął dowództwo nad 6. Dywizją Powietrznodesantową. Plan polegał na lądowaniu szybowców i błyskawicznym zrzucie spadochroniarzy w sam środek niemieckich wojsk, co miało powstrzymać je od kontruderzenia na wojska lądowe, przekraczające rzekę. Co więcej, podobnie jak w Arnhem, cel miał zostać osiągnięty w biały dzień.

Po bardzo krótkim urlopie w domu strzelec Patrick Devlin znów rozpoczął przygotowania do dużej operacji wojskowej. Przejechał z Bulford do innego ogrodzonego drutem kolczastym obozu przejściowego, tym razem w Essex, gdzie po odprawie na temat nadchodzącego wydarzenia starym zwyczajem zabroniono mu i całej reszcie opuszczania obozu. Przebywając w tym zamknięciu, Devlin zastanawiał się nad swoim dobrowolnym powrotem na wojnę.

Kiedy był w domu, w Galway, matka wywierała na niego ogromną presję, by odmówił powrotu do Anglii i udziału w dalszej walce. Posunęła się nawet do zaproszenia księdza do domu, w nadziei, że ten mu to wyperswaduje. „Przecież to nie nasza wojna – mówili mu. – Ty już swoje zrobiłeś

i nikt nie mógłby powiedzieć o tobie złego słowa, gdybyś nie chciał tam wracać. Irlandia jest krajem neutralnym”.

Gdy Paddy zwrócił się po radę do ojca, usłyszał: „Synu, decyzja należy do ciebie”. Młody Devlin był nieugięty. Nie wahając się ani przez chwilę, wybrał powrót na front. Jednak tutaj, w obozie, przebywając w zamknięciu, znów w przededniu bitwy, zaczął snuć refleksje na temat swojej romantycznej zapalczywości, która skłoniła go do tak bezwarunkowego powrotu.

24 marca 1945 roku

Pobudka o 2.45 nad ranem, śniadanie, następnie jazda zimną ciężarówką na lotnisko RAF w Rivenhall niedaleko Colchester, by wsiąść do samolotu. Po podróży, tuż po przybyciu na lotnisko, oddziały niezwłocznie weszły na pokłady szybowców. Stały ich na płycie setki. Ponieważ start miał nastąpić za kilka godzin, żołnierze grali po ciemku w piłkę, żeby się rozgrzać. Pogoda była dobra, warunki do porannego lotu idealne.

Jak przedtem, każdemu plutonowi przydzielono szybowiec. Wchodząc na pokład, Devlin usiadł na tym samym miejscu, które wybrał, lecąc na operację D-Day w Normandii – przy oknie, z widokiem na drzwi wyjściowe. Wiedział już z doświadczenia, że szybowce były często ostrzeliwane podczas lądowania. Chciał być pierwszy w kolejce do drzwi rozładunkowych, a nie tłoczyć się do wyjścia. W jednym rzucie 1348 szybowców i 1696 samolotów zabrało na pokład 21 680 żołnierzy lecących w stronę Niemiec.

Po spokojnym i pozbawionym nieoczekiwanych wydarzeń starcie Devlin zdrzemnął się przez trzy i pół godziny lotu. Prawdopodobnie dzięki podejściu „mnie się to nie przydarzy”, cechującemu wszystkich młodych ludzi, był tym razem bardziej zrelaksowany niż poprzednio. Po wojnie

Devlin wspominał, że pomimo niebezpieczeństwa podróż szybowcem mniej szarpała nerwy niż poruszanie się lądem, ponieważ nie słyszało się wiele z powodu szumu strumienia zaśmigłowego.

Inaczej wyglądały sprawy po przybyciu nad strefę lądowania. Teraz Devlin słyszał odgłosy walki. Na dodatek nad całym obszarem wznosiła się mgła, kurz i dym. Około 10.30 holujący ich samolot odrzucił linę holowniczą. Piloci skierowali szybowiec w dół, ku miejscu ostatecznego przeznaczenia, strefie lądowania U3. Szybowiec wylądował we właściwej strefie, ale po złej stronie, daleko od celu. Okazało się to jednak szczęśliwym zrządzeniem losu. Jeden z pięciu szybowców biorących udział w tej części operacji został ciężko ostrzelany. Lądując po nieodpowiedniej stronie strefy lądowania, szybowiec Devlina zdołał uniknąć większości nadlatujących pocisków. I tak oto Paddy Devlin po raz drugi wziął udział w operacji desantu powietrznego.

6. Brygada Szybowcowa dostała najtrudniejsze zadanie do wykonania – miała zająć miasto Hamminklen i opanować mosty na rzece Issel. Początkowym zadaniem 18. Plutonu było zajęcie skrzyżowania w kształcie litery T na drodze na południe od Hamminklen, wraz z przylegającym do rzeki terenem, leżącym w odległości kilku kilometrów od miejsca, w którym wylądowali (chociaż teraz ta odległość mogła być większa, ponieważ nie wylądowali w zamierzonym miejscu). Szybowiec transportujący żołnierzy z 18. Plutonu wylądował na zaoranym polu. Tuż po wylądowaniu, gdy inni ostrożnie podnosili drzwi wyjściowe, Paddy błyskawicznie pokonał drzwi załadunkowe, zeskoczył na ziemię i przebiegł pod szybowcem, żeby zająć pozycję strzelecką na tyłach. Gdy to zrobił, zdał sobie sprawę, że strzelało do niego dwóch Niemców z odległości około 50 metrów, z drzwi wejściowych dwupiętrowego wiejskiego budynku. Jeden

szwab strzelał z MP 40 do szybowca, gdy opuszczali go żołnierze z jego oddziału. Devlin skierował na nich ogień, ścigając ich aż do wiejskiego domu. Kto wie, jakie straty w ludziach mogliby im zadać, gdyby nie szybka reakcja Devlina.

W tym momencie dwa niemieckie samochody opancerzone wyjechały z rozpędem na drogę wyłaniającą się zza wiejskiego domu. Nie wiadomo było, czy próbują wesprzeć stanowiska wroga czy uciec. Na wszelki wypadek Devlin zabił kilku żołnierzy w obu pojazdach, gdy przejeżdżały obok. To podniosło trochę jego morale. Gdy tylko dowódca plutonu ustalił ich położenie, byli gotowi wyruszyć w stronę obranego celu.

Druga drużyna wysunęła się na czoło i ruszyła przez zaorane pole w stronę skrzyżowania drogi. Paddy Devlin czuł się zbyt wyeksponowany na strzały w trakcie marszu przez otwarty teren, więc postanowił przysunąć się bliżej rowu biegnącego skrajem lasu. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł niemiecką załogę karabinu maszynowego MG 34, która najwyraźniej usuwała usterkę swojej broni. Paddy wiedział, że musi dotrzeć do rowu, zanim skończą i zdołają wziąć go na cel, gdyż znajdował się właśnie w ich polu widzenia. Kiedy był w odległości mniejszej niż 100 metrów od załogi karabinu, otworzyli ogień. Seria trafiła go w ramię i w krzyż po prawej stronie. Upuściwszy broń, upadł twarzą do ziemi i zamarł w bezruchu. Niemcy, sądząc, że go zabili, już do niego nie strzelali. Prawą rękę miał złamaną od uderzenia kul i poczuł, jak po prawym udzie spływa mu krew. Leżał jednak, nie mogąc się ruszyć.

Devlin musiał pozostać w tym miejscu przez jakiś czas, aż do odejścia Niemców. Piloci z szybowca skradali się chyłkiem, mijając go. Devlin zawołał o pomoc, co ich zaskoczyło. Jak później stwierdzili, sądzili, że nie żyje.

Paddy prosił, by pomogli mu dotrzeć do rowu, ale poszli dalej swoją drogą, czym go rozzłościli. Na szczęście miał w plutonie przyjaciół i wkrótce wrócił po niego strzelec Bertie Birchall. Nie udało mu się jednak samemu podnieść Devlina, zostawił go więc, by potem wrócić ze strzelcem McCrea. I wtedy odkryli, że spływająca po nogach Devlina krew była w rzeczywistości mlekiem skondensowanym, wyciekającym z przedziurawionych puszek – miało być do herbaty! Zaciągnęli Devlina do punktu opatrunkowego.

Na zewnątrz punktu pomocy leżał rozbity szybowiec – częściowo na drodze, a częściowo w rowie. Dokoła widać było ślady walki. Zanim dotarli na miejsce, Devlin i dwaj żołnierze, którzy mu pomagali, dostali się pod ogień z dwóch kolejnych pojazdów wroga – tym razem ośmiokołowych transporterów opancerzonych (APC), które pojawiwszy się nagle, strzelały, gdzie popadło. Obydwie strony dały sobie trochę wytchnienia, więc Birchall i McCrea zostawili Devlina i pobiegli się ukryć. Patrick wpadł do rowu w tej samej chwili, gdy granatnik PIAT trafił w niemiecki pojazd. Wówczas ten zwalił się do rowu, tuż obok Paddy'ego i zniszczonego szybowca. Niemieccy żołnierze próbowali z niego wyskoczyć i ukryć się przed przytłaczającym ogniem Brytyjczyków. Wszyscy wokół Paddy'ego zostali zastrzeleni, podczas gdy on leżał w samym środku całej akcji. Gdy bitwa dobiegła końca, Devlin dotarł w końcu do oficera medycznego, który opatrzył mu rany.

Straty

Straty poniesione przez aliantów w czasie tej operacji powietrznodesantowej były mniejsze, niż się spodziewano, planując akcję. Okazały się jednak znaczące, głównie z powodu decyzji, by lecieć w biały dzień, nie ryzykując

rozproszenia oddziałów w ciemnościach. Z 7220 ludzi, którzy wylądowali jako część 6. Dywizji Powietrznodesantowej, do końca pierwszego dnia operacji Varsity 1400 żołnierzy zginęło, zostało rannych bądź zaginęło w akcji. W tej liczbie znalazł się również – co zasmuciło Devlina – porucznik Mike Gann, dowódca jego plutonu, który zginął na polu walki.

Dla strzelca Patricka Devlina wojna się skończyła. Został wysłany do Anglii w ramach ewakuacji rannych. Z punktu opatrunkowego wrócił na przyczółek nad Renem, dostając się z powrotem przez rzekę, nowo zbudowanym mostem Baileya, do szpitala polowego. Ze szpitala przeniesiono go do Goch, potem do Venrey, gdzie założono mu na rękę gips, a następnie do Brugii w Belgii. W końcu poleciał samolotem dakota na lotnisko RAF Lyneham w Wiltshire, a po wylądowaniu wysłano go do szpitala Basingstoke na dalsze leczenie.

Plecak ze sprzętem Devlina dotarł w końcu do właściciela, więc w dniu zakończenia wojny w Europie, 8 maja 1945 roku, wymknął się z łóżka, wdział swój najlepszy mundur i wyjechał bez pozwolenia na trzy dni urlopu. Udał się do Londynu, gdzie, jak sam przyznał, „wiwatował!”. Kiedy wrócił, został bezceremonialnie złajany i wysłany do szpitala wojskowego w Shaftesbury, w którym panowała znacznie surowsza dyscyplina i z którego trudniej było się wymknąć. Niedługo potem Paddy został zwolniony ze szpitala, zdegradowany i wysłany do Villach na południu Austrii, gdzie go ostatecznie zdemobilizowano we wrześniu 1946 roku.

Od autora

„Zabij jednego człowieka, przestrasz tysiąc” – to starożytne chińskie przysłowie. Od samego początku bardzo chciałem

napisać ten rozdział, w szczególności zaś – o snajperze armii brytyjskiej. Nie dlatego tylko, że byłem jednym z nich, lecz z wielu jeszcze innych powodów. Po pierwsze, jest to mój pierwszy tekst o snajperze od czasu ukazania się mojej książki *Sniper One: The Blistering True Story of a British Battle Group Under Siege*. Po drugie zaś – i ważniejsze – tak mało się pisze i wie o brytyjskich snajperach. Mam nadzieję, że zaproponowana przeze mnie sylwetka pozwoli choć w niewielkim stopniu przywrócić równowagę w tym zakresie.

Snajperzy nie cieszyli się wówczas sympatią i uważano ich działania za „niehonorowe” . Oczywiście jedną z przyczyn może być fakt, że tak niewielu z nich przeżyło wojnę. Obecnie znanych jest wielu słynnych snajperów – Zajcew, Allerberger i inni – ale bardzo niewielu Brytyjczyków. Niezwykle trudno było mi znaleźć bohatera mojego rozdziału. Strzelec Patrick Devlin przyszedł mi na myśl po długich poszukiwaniach w literaturze i na stronach internetowych, które zakończyły się pismem do Imperial War Museum z prośbą o pomoc. Pomoc otrzymałem ogromną. Prawie natychmiast przysłano mi mnóstwo materiałów, wraz z prywatną dokumentacją Patricka Devlina. Wtedy podjąłem decyzję, że napiszę właśnie o nim. Wszystkie cytaty w tym rozdziale zostały zaczerpnięte z jego prywatnych dokumentów, chociaż uzupełniłem je pewnymi szczegółami, posługując się nieco *licentia poetica*.

Źródła

Patrick R. Devlin, dokumenty osobiste: niepublikowane

Gregor Ferguson, *The Paras: British Airborne Forces 1940–1984* (Osprey, 1984)

Adrian Gilbert, *Sniper One On One: The World of Combat Sniping* (Sidgwick and Jackson, 1994)

John Man, *The Penguin Atlas of D-Day and the Normandy Campaign* (Penguin, 1994)

Rozdział 10

HARRY M. FURNESS
Mistrz kamuflażu

W czasie drugiej wojny światowej sztuka snajperska nie była w armii brytyjskiej tak cenioną umiejętnością jak w czasach współczesnych. Dzisiaj młody żołnierz, chcąc być wybranym do podjęcia wyzwania, jakim jest ten bardzo niebezpieczny i powszechnie nierozumiany zawód, musi w rzeczywistości dać świadectwo charakteru oraz zaangażowania w obronę własnego kraju.

W 1941 roku pewien 16-letni młodzieniec z Manchester, jak wielu młodych chłopaków w całym kraju, postanowił spełnić swoją powinność i zapisał się do piechoty. Żaden z pracowników werbunkowych nie wiedział wówczas, że młody Harry Furness miał zostać jednym z najskuteczniejszych snajperów w historii brytyjskiej armii.

Zapał Harry'ego do walki nikogo nie dziwił, gdyż jego ojciec był mistrzem i propagatorem boksu. Harry był synem Harry'ego Furnessa (pseudonim „Kid"), mistrza wagi muszej, który później zajął się promocją boksu i o którym się mówi, że jego praca w roli showmana zepchnęłaby w cień nawet znanego Dona Kinga.

Harry niemal natychmiast wykazał się zdolnościami żołnierskimi, które przykuły uwagę instruktorów, szczególnie w zakresie strzelania oraz sztuki ukrywania się i kamuflażu – obie są niezbędne w wymagającym świecie snajperów. Został wybrany do szkolenia dla snajperów, które ukończył celująco, dzięki czemu skierowano go do Kompanii dowodzenia 6. Batalionu pułku The Green Howards. Przydział ten nie był skierowaniem na tyły, bez

możliwości walki, jak by się mogło w pierwszej chwili wydawać; snajperzy batalionu postrzegani byli bowiem jako cenny kapitał, podobnie jak załogi obsługujące moździerze lub ciężkie karabiny maszynowe. Przydzielanie snajperów do dowództwa batalionu było więc powszechną praktyką. Dawało oficerowi wywiadu batalionu, który działał również jako oficer do spraw rozmieszczenia i kontroli snajperów, bliski codzienny kontakt z nimi.

Snajperzy batalionowi postrzegani byli nie tylko jako środek bezpośredniego działania, ale także jako przedłużenie oczu i uszu oficerów dowodzących. Dlatego często wyznaczano ich do prowadzenia rekonesansu, aby gromadzili informacje i dane, które pozwolą oficerowi wywiadu batalionu stworzyć szerszy obraz pola walki. To z kolei miało pomóc dowódcy w tworzeniu bardziej szczegółowych planów. Działania te nie były doceniane przez zwykłych żołnierzy piechoty, którzy traktowali snajperów z nieufnością i lekceważeniem, często nazywając ich „etatowymi mordercami". Narzekali, że każda uwieńczona sukcesem misja snajperska ściąga na nich odwet ze strony niemieckich moździerzy lub artylerii. Żadne z tych argumentów nie zniechęciły młodego i zdeterminowanego Harry'ego Furnessa, który bardzo szybko zdobył opinię zaangażowanego i bezwzględnego profesjonalisty. Zanim wziął udział w desancie w Normandii (D-Day), uzyskał stopień kaprala w wieku zaledwie 19 lat.

50. Dywizja Piechoty z Northumbrii miała za zadanie utworzyć przyczółek pomiędzy Arromanches i Ver-sur-Mer na plaży Juno, a następnie skierować się na południe, w stronę drogi Route Nationale 13, łączącej Caen z Bayeux. Pierwszy rzut miały stanowić 231. i 69. Brygady Piechoty. Gdy pierwsza faza ataku dobiegła końca, a przyczółek był utworzony, kolejne brygady piechoty – 56. i 151., wspierane

przez czołgi 8. Brygady Pancernej – miały ruszyć w głąb lądu na południowy zachód, w kierunku RN13.

Podczas lądowania żołnierze Nottinghamshire Yeomanry (Rangersi z Sherwood), 1. Batalion Pułku Hampshire oraz 1. Batalion Pułku Dorset, wywalczyli sobie drogę na brzeg po zachodniej stronie, podczas gdy 5. Batalion Pułku East Yorkshire i 6. Batalion Green Howards, z Harrym Furnessem i jego drużyną snajperską, zaatakowały wschodnią stronę zdobywanego obszaru.

W uwadze na marginesie karty ewidencyjnej Harry'ego z D-Day starszy sierżant kompanii z batalionu Green Howards, Stanley Hollis, zapisał, że Harry samodzielnie zdobył bunkier ominięty przez oddziały pierwszego rzutu. Za swój czyn został nagrodzony Krzyżem Wiktorii. Był jedynym żołnierzem, który zasłużył na to wyróżnienie podczas D-Day. Później tego samego dnia poprowadził atak w celu zniszczenia niemieckich stanowisk ogniowych. W kontekście tego zdarzenia był podawany młodym żołnierzom jako wzór do naśladowania.

Harry wyszedł na ląd wprost na miażdżącą ścianę ognia – tak jak wszyscy dzielni mężczyźni z rzutów szturmujących tego dnia plażę. Pamięta, że użył prezerwatyw i taśmy, aby uszczelniać swoją broń – standardowy brytyjski karabin dla snajperów, Lee-Enfield No. 4T – chroniąc ją przed wodą morską i trudnymi warunkami. Odwinął karabin dopiero wtedy, gdy bezpiecznie dotarł na brzeg, zadowolony, że jest już daleko od kołyszących okrętów armady desantowej. Harry został ranny w czasie ostrzału moździerzowego we wczesnej fazie kampanii w Normandii, ale odzyskał zdrowie i został wysłany jako uzupełnienie do Batalionu Hallamshire Pułku York and Lancaster, będącego częścią 49. Dywizji „Polar Bear" („Niedźwiedź Polarny"), ponieważ oddział ten

poniósł ciężkie straty. Harry służył tam z wyróżnieniem aż do końca kampanii w maju 1945 roku.

Sierżant Harry Furness w dwuczęściowym stroju maskującym na mundurze polowym.

Praca snajpera polegała w dużej mierze na obserwacji. Harry zazwyczaj działał na czołowej pozycji batalionu, często samotnie, rozlokowując się o zmierzchu, czym

narażał się na impertynencje i kocie wrzaski ze strony innych żołnierzy. Mógł wtedy znaleźć stanowisko z dobrym widokiem na obserwowany teren, dające mu potrzebną przewagę, oraz stworzyć staranny kamuflaż jeszcze przed świtem. Musiał tam pozostać nieruchomo aż do zmroku, który znów pozwalał mu wykonać jakiś ruch. Pewnego razu Harry i jego snajperzy ukrywali się na swojej pozycji przez kilka dni, obserwując niemiecki oddział. W tym czasie byli w stanie stworzyć szczegółowy zapis niemieckich sił, posiadanej broni, nastrojów panujących w oddziale, zajmowanych pozycji oraz zwyczajów. Byli tak blisko nich, iż nie mogli się wycofać, by przekazać te ważne informacje do własnego oddziału, dopóki Niemcy się trochę nie odsunęli. Po powrocie na własne linie i zdaniu raportu oficerowi wywiadu batalionu Hallamshire Harry odkrył, że cała grupa została już uznana za zaginionych w walce – tak długo ich nie było. Poświęcenie i cierpliwość snajperów są niezrównane na polu bitwy.

Wybór każdego stanowiska musi być zawsze starannie przemyślany, aby nie spełnił się najgorszy scenariusz – snajper może zostać namierzony przez innego snajpera lub natknąć się na obcego snajpera działającego na tym samym terenie. Stworzyłoby to poważny problem, ponieważ wszyscy snajperzy to doskonale wyszkoleni żołnierze, którzy myślą i działają w podobny sposób, dlatego też skuteczna kryjówka Harry’ego mogłaby zostać uznana przez niemieckiego snajpera za potencjalną kryjówkę wroga i w związku z tym obrana za cel. Sztuką jest wybrać lokalizację, która nie jest oczywista, a to często oznacza, że jest bardziej niewygodna. Niemieccy snajperzy byli budzącymi szacunek i strach przeciwnikami. Harry miał w nadchodzących miesiącach spotkać i zabić kilku z nich, chociaż w swojej skromności stwierdził, że jeden z nich nie

mógł być wyszkolonym snajperem – mimo że miał przy sobie snajperski karabin i sprzęt, jego brak umiejętności i popełniane błędy uczyniły go łatwym celem. Niektórzy sugerują jednak, że Harry oceniał tę sytuację wyłącznie przez pryzmat własnych umiejętności.

Mało znany pozostaje fakt, iż niemieccy snajperzy, rozmieszczeni w całej Normandii, posługiwali się amunicją poddźwiękową i zdejmowanymi tłumikami w swoich karabinach Kar 98, ponieważ wcześniej już rozpoznali efekt psychologiczny strzelania z cichych karabinów oraz dostrzegli wzrastającą długość życia własnych snajperów zaopatrzonych w taki sprzęt. Harry podejrzewał to już na początku kampanii wojennej, gdy przeszukiwał niemiecki pojazd zaopatrzeniowy, porzucony w trakcie odwrotu wojsk – znajdował w nim, pudełko za pudełkiem, amunicję poddźwiękową. Dowód na uzasadnienie jego podejrzeń znaleziono wiele lat później w dokumentacji i poprzez odkrycie nieznanych tłumików, które zostały wydane niemieckim snajperom.

Wszyscy niemieccy żołnierze byli świadomi zagrożenia, które stwarzali snajperzy, dlatego tak ustawiali swoje stanowiska obronne, by pokrywały zasięgiem prawdopodobne psterunki obserwacyjne Brytyjczyków i punkty ognia snajperskiego. W podobnych okolicznościach w chwili nieuwagi Harry omal nie stracił życia.

Po nocy spędzonej na śledzeniu Niemców Harry był świadomy nadchodzącego poranka, znajdował się jednak zbyt daleko swojej jednostki, aby do niej powrócić. Potrzebował znaleźć bezpieczne miejsce, w którym mógłby się zaszyć w ciągu dnia. Po długim poszukiwaniu znalazł starą, opuszczoną stodołę na odludziu. Szósty zmysł wręcz krzyczał do niego, by zrezygnował z tego schronienia, jednak zmęczenie, presja czasu, którego tak niewiele

pozostało mu do świtu, oraz strach, że go złapią, zwyciężyły zdrowy rozsądek i Harry nieroztropnie skierował swe kroki ku stodole. Wspiąwszy się na stóg siana, zaczął się w nim zakopywać, żeby się ukryć. W ciągu kilku minut poczuł, że kule przeszywają siano wokół niego, a potem usłyszał dobrze znany mu dźwięk. Niemiecki karabin maszynowy oddawał strzały, orząc stóg. Harry przywarł ciałem do podłogi, a kule przelatywały nad nim. Zaczął biec z całych sił w kierunku, z którego przybył, bowiem pozostanie w ukryciu nie wchodziło dłużej w grę. Hałas wydawany przez niemiecki MG 42 w momencie pociągania za spust i wchodzenia nabojów do komory budził strach wśród żołnierzy aliantów. Harry bardzo dobrze znał ten odgłos. Słysząc go teraz, zdawał sobie sprawę, że „bzycząca piła Hitlera" chce go właśnie ściąć. Doskonale pamięta dźwięk brzęczących „pszczół" przelatujących obok niego, kiedy biegł najszybciej, jak tylko mógł, w stronę żywopłotu i zapadniętej ścieżki, które zapewniły mu schronienie. Dostrzegł, że żywopłot przed nim tańczy, ale wtedy nie wiedział, jaka jest tego przyczyna, gdyż jego galopujący umysł skoncentrowany był na przetrwaniu. Dopiero później zdał sobie sprawę, że „tańczący krzak" był pozostałością z żywopłotu dziurawionego kulami MG 42, które właśnie go minęły.

Kiedy Harry zbliżył się do żywopłotu, zebrał w sobie wszystkie siły i rzucił się na łeb na szyję ponad listowiem, na ubitą ziemię, nie czując prawie uderzenia o podłoże, po czym poderwał się znów na nogi i zaczął jak najszybciej uciekać. Zdał sobie sprawę, że jego lewa noga nie funkcjonuje, jak trzeba, a chód jest dziwny i niezgrabny, ale w tym momencie nie miał czasu na oglądanie ran. Gdy przebiegł kilometr, upadł na stertę liści, aby złapać oddech, przyjąć postawę do walki na wypadek pościgu i sprawdzić

ranę na nodze. Dopiero teraz odkrył, jak bliski był śmierci. Spoglądając na swoją nogę, nie zauważył żadnych śladów ran, ale gdy dotknął kamasza, dostrzegł, że został podziurawiony przez niemiecki karabin – to nie rana, a klapiący, naderwany obcas powodował niezdarny chód. Harry poczuł ulgę i przysiągł sobie, że nigdy więcej nie zlekceważy szóstego zmysłu, po czym bezpiecznie powrócił na linie swojego oddziału.

W miarę jak alianci posuwali się naprzód, nieuniknione wejście na obszary miejskie zwiększyło zagrożenie dla ich żołnierzy, szczególnie dla snajperów. Kiedy pluton musiał przejść w dół nową ulicą, Harry i reszta ludzi z drużyny snajperów mieli zadanie przenieść się na skrzydło oraz zidentyfikować i wyeliminować stanowiska niemieckich karabinów maszynowych, a także każdej innej broni, która stanowiłaby zagrożenie dla nadchodzących oddziałów. Ryzyko było oczywiste: snajperów było zaledwie kilku i mogli łatwo wpaść w ogień walki z przeważającymi siłami wroga, ale ponieważ byli cennym kapitałem batalionu, a tym samym wsparciem obronnym, była to ich rola – nie bez powodu szkolono ich według znacznie wyższych standardów.

Pewnego razu snajper z sekcji Harry’ego skradał się po cichu na wyższe piętro opuszczonego budynku, gdy nagle, bez ostrzeżenia, otworzyły się drzwi nad schodami. Bardzo przestraszony niemiecki żołnierz zbiegł po schodach, prawie taranując snajpera, i znikł z pola widzenia. Zakładając, że Niemiec mógł sprowadzić dodatkowe siły, snajperowi nie pozostało nic innego, jak tylko możliwie najszybciej zmienić swoją lokalizację.

Podczas jednego z natarć Harry chwilowo został na tyłach, gdyż zidentyfikował ukrytego niemieckiego żołnierza z pancerfaustem, oczekującego na czołg aliantów. Harry

szybko zajął optymalne stanowisko strzeleckie i usunął zagrożenie. W tym samym czasie pluton poszedł naprzód, a Harry, który stracił z nim kontakt, zdał sobie sprawę, że musi nadrobić stracony dystans, by osłaniać ich ruchy, ale i uniknąć potencjalnego bratobójstwa. Nie chciał doprowadzić do wymiany „przyjaznego” ognia, a taka mogłaby nastąpić, gdyby pojawił się na pozycji, na której towarzysze nie spodziewali się żadnego ruchu. Spoglądając w dół ulicy, Harry zobaczył spalony niemiecki czołg. Zdecydował się porzucić swoje dotychczasowe bezpieczne stanowisko i pobiec sprintem w jego kierunku, żeby skorzystać z jego osłony i zaplanować następny ruch. Serce biło mu szybko i spodziewał się, że gdy tylko opuści kryjówkę, usłyszy, jak do niego strzelają. Wystartował. Po chwili, która musiała się wydawać wiecznością, znalazł się pod ochronnym pancerzem czołgu, pomiędzy gąsienicami, spoglądając dalej w dół ulicy na róg, który był jego następnym celem.

Kiedy miał już jednym susem znów opuścić swoją kryjówkę i pobiec w stronę rogu, uświadomił sobie, że ze środka czołgu dochodzą niemieckie głosy. Ku swojemu przerażeniu odkrył, że czołg wcale nie jest zepsuty, tylko w pełni sprawny i że obsługiwany jest przez załogę, bez wątpienia czyhającą w zasadzce na shermany aliantów. Nie miał żadnego wyboru, gdyż zostając tam, ściągnąłby na siebie wcześniej czy później pewną śmierć. Zaczął swój bieg po życie, spodziewając się, że zostanie ścięty przez karabiny maszynowe czołgu. Na szczęście udało mu się i pobiegłszy za róg, z trudem łapiąc oddech, wydostał się poza zasięg karabinów czołgu. Ciągle próbując złapać oddech, zaryzykował rzut oka zza rogu, gdyż natura żołnierza wzięła w nim górę. Szukał słabych miejsc czołgu, które mógłby wykorzystać. Otwarte włazy, odsłonięte kanistry paliwa,

nawet łączenia gąsienic mogły być potencjalnym celem dla snajpera z amunicją przeciwpancerną, którą mieli przy sobie wszyscy snajperzy aliantów. Profesjonalizm Harry'ego pozwolił mu przezwyciężyć strach, którego właśnie doświadczył, i powrócić do roli, jaką miał do odegrania w zniszczeniu wroga. Zaczął więc wyszukiwać potencjalne cele. Okazało się, że załoga nie miała pojęcia, iż brytyjski snajper użył ich czołgu przed chwilą jako osłony, aby dotrzeć w dół ulicy. Nawet nie otworzyli ognia. Zamiast tego uruchomili czołg i odjechali w tym samym czasie, gdy Harry szukał celów. Wobec braku możliwości oddania strzału Harry wznowił swoją misję osłony plutonu w trakcie natarcia. Jego członkowie nie mieli pojęcia, w jak groźnej sytuacji znalazł się przed chwilą ich snajper.

Gdy działania wojenne przeniosły się do Holandii, Harry został wezwany na pomoc do pewnej kompanii, która ponosiła ogromne straty z rąk niemieckiego snajpera, ukrytego gdzieś przed nią. Po krótkiej odprawie Harry wyruszył z jednym z oficerów kompanii, aby zorganizować punkt obserwacyjny, z którego mógłby wykonać swoje kontrsnajperskie zadanie. Po szczegółowym rekonesansie Harry usadowił się na dużym, wielopiętrowym budynku, z którego rozpościerał się imponujący widok na rozległy teren i który dawał jemu oraz towarzyszącemu mu oficerowi zaciszne schronienie wśród połamanych krokwi dachowych. Wtedy rozpoczęło się długie i żmudne badanie i przeglądanie terenu w poszukiwaniu prawdopodobnego stanowiska wrogiego snajpera. Harry wraz z towarzyszącym mu oficerem długo za pomocą lornetek poszukiwali jego lokalizacji.

Po kilku godzinach poszukiwań oficer musiał powrócić do swojej jednostki. Harry pozostał sam z zadaniem do wykonania. Ponieważ niemiecki snajper przez prawie cały

dzień nie strzelił ani razu, Harry zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wycofał się na jakieś nowe stanowisko i nie czeka z zasadzką na nadejście oddziałów alianckich, żeby znów opóźnić ich natarcie – co byłoby zgodne z szeroko rozpowszechnioną taktyką snajperów. W tym momencie uwagę Harry'ego przykuł budynek znajdujący się na wprost niego, w odległości jakichś 400 metrów. Ucierpiał on w czasie walk i teraz miał wybite okna oraz wyraźnie zniszczone drewniane ściany, z których pozostało kilka desek, kołyszących się przy każdym mocniejszym porywie wiatru. Harry patrzył przez swoją lunetę używaną przez zwiadowców i dostrzegł coś, co wydało mu się lekkim poruszeniem w cieniu jednej ze złamanych desek. Szybko zastąpił lunetę karabinem i czekał.

Gdy tak obserwował, dostrzegł coś, co uznał za dłoń sięgającą po ułamaną deskę. Wycelował i oddał strzał. Teraz powinno się tam znajdować ciało, do którego – jak sądził – należała ręka rozpoznana w cieniu. Przez następną godzinę Harry obserwował teren i nie zauważył żadnego ruchu. Wycofał się do swojej kompanii i zdał dowódcy raport z tego, co się wydarzyło. Wyraził też przekonanie, że niemiecki snajper leży już martwy w budynku, który wskazał.

Tej nocy kompania wysłała patrol bojowy, aby porwał jeńca do przesłuchania w kwaterze głównej. Podczas tego wypadu kapral i dwóch żołnierzy z patrolu weszli do budynku, w którym według relacji Harry'ego miał się znajdować niemiecki snajper. Po powrocie na linie brytyjskie kapral odszukał Harry'ego i wręczył mu niemiecki karabin snajperski G 43 z celownikiem optycznym o 4-krotnym powiększeniu, który patrol znalazł we wskazanym budynku na blacie stołu ustawionego w cieniu. Naprzeciwko stołu, tuż obok drewnianych ścian

domu, znajdowało się martwe ciało niemieckiego snajpera z dziurą w głowie od kuli Harry’ego. Harry zachował celownik, ale nie karabin – zawsze tak robił. Karabiny były zbyt ciężkie, by ich używać, miały też inny dźwięk niż broń aliantów, mogły więc wywołać bratobójczą wymianę ognia. Harry zakończył wojnę z kilkoma pozyskanymi celownikami wrogów i miał je jeszcze przez wiele lat, aż w końcu się z nimi rozstał – choć niechętnie, głównie z przyczyn finansowych.

* * *

Z powodu wysokiego poziomu stresu i wysiłku fizycznego w trakcie misji snajperzy szkoleni są do działania w pojedynkę, co pomaga im kontynuować walkę nawet wtedy, gdy jeden z przeciwników zostanie zabity. Pomimo to rozmieszczani są w parach, aby zredukować stres i obciążenie pracą. Harry Furness wolał pracować sam, co pozwala postrzegać jego osiągnięcia jako jeszcze bardziej imponujące. Zajęcie stanowiska w pojedynkę i to daleko w przedzie przed swoją jednostką miało wiele wad. Poczucie osamotnienia i izolacji oraz braku wsparcia przyjacielskiego ognia często dokuczało snajperom. Dość często zdarzało się, że w sytuacji poważnego zagrożenia jednostka zapominała o rozmieszczonych snajperach lub wręcz ich ignorowała. Niejeden snajper został pozostawiony sam sobie, jedynie ze swoimi umiejętnościami żołnierskimi, które pomogły mu przetrwać, a potem odnaleźć macierzystą jednostkę. Harry bywał głodny i pozbawiony zaopatrzenia, bo gdy w jego jednostce dzielono pożywienie, on tkwił gdzieś na stanowisku w terenie. Nikt w jednostce nie myślał wtedy o „morderczych snajperach” i nie troszczył się o nich.

Żołnierze, kompletnie nieświadomi zagrożenia ze strony moździerzy i broni maszynowej oraz wrogich patroli zwiadowczych, które nocą padały ofiarą tych samotnych łowców, nie mieli również pojęcia, jak bardzo dzięki snajperom wydłużało się ich życie. Musiało minąć co najmniej 60 lat, zanim snajperzy zostali docenieni przez swoich towarzyszy walki i media na świecie.

Czas upływał Harry'emu w większości na przeczesywaniu terenu przed jego jednostką w poszukiwaniu śladów niemieckich stanowik, sprzętu i oczywiście snajperów. Posługiwał się wyuczonymi metodami przeszukiwania i analizy terenu, wykorzystując przydziałową lornetkę o 7-krotnym powiększeniu (taką samą, jaka została przydzielona mnie, jakieś 50 lat później, z datą „1944" wytłoczoną na boku – wszystko to oczywiście z powodu braku inwestowania w sprzęt snajperski!). Snajper musiał podzielić teren na sekcje: lewą, środkową i prawą oraz bliską, średnią i daleką, a potem wykonać logiczną analizę, poszukując zagrożeń i stanowisk wroga od bliskich do dalekich. Harry'ego nauczono sprawdzać w pierwszej kolejności teren położony najbliżej, gdyż stanowił on największe zagrożenie dla jego bezpieczeństwa.

Na większych odległościach i do identyfikacji celów Harry używał lunety pułku zwiadowców. Była ona reliktem wzornictwa z XIX wieku i nie wyglądałaby dziwnie nawet w rękach admirała Nelsona w bitwie pod Trafalgarem. Był to jednak bardzo dobry instrument optyczny, składany dla wygody w specjalnie zaprojektowanej skórzanej torbie, z możliwością rozbierania na poszczególne elementy dla ułatwienia czyszczenia soczewek. Jednak luneta ta nie była prosta w montażu; wielu snajperów wkładało soczewki odwrotnie lub w nieodpowiednie miejsce, po czym przez kilka godzin próbowało odkryć, czemu sprzęt nie działa jak

dawniej. (Ja także zetknąłem się z lunetą pułku zwiadowców – jakieś 50 lat później, kiedy zostałem snajperem. To również może świadczyć o braku zrozumienia dla sztuki snajperskiej i zaangażowania w sprawy szkolenia snajperów).

Harry nie zawsze mógł się ukryć w ciemności przed niemieckimi oczami. Poruszanie się w świetle dziennym w kierunku wroga lub wokół niego było codziennością dla Harry'ego i innych snajperów. Kiedy okazywało się niezbędne, było wykonywane z niezwykłą ostrożnością i najogólniej polegało na czołganiu się aż do miejsca, w którym snajper mógł się ukryć. Rolą snajpera jest gromadzenie danych wywiadowczych i wykorzystanie każdej nadarzającej się okazji do zredukowania możliwości bojowych wroga. Harry wypatrywał więc oficerów lub specjalistów, takich jak inżynierowie czy obsługa moździerzy lub broni maszynowej, wystawionych na strzał członków załogi czołgów oraz artylerzytów, którzy strzelali z przerażających dział 88 mm. Namierzywszy już cel, Harry musiał bardzo dokładnie przemyśleć, jaki efekt przyniosą jego ewentualne działania. Jeśli jego jednostka nacierałaby potajemnie lub gdyby Niemcy nie wiedzieli, że idzie w ich kierunku, nawet pojedynczy strzał zdradziłby obecność Brytyjczyków i postawił Niemców w najwyższej gotowości do walki. Musiał także rozważyć odwetowe działania Niemców przeciwko jego oddziałom i porównać je z wartością osiągniętego celu, gdyż zabrane przez niego życie mogło kosztować życie kilku innych ludzi spośród tych, którzy znajdowali się za nim na stanowiskach obronnych.

Każdy wystrzał musiał być naprawdę dobrze przemyślany, chociaż czasem zwykły snajper nie zawsze miał wiedzę taktyczną i zdolność szerszej oceny sytuacji – wystrzelenie

pocisku mogło przynieść zmasowany odwet w formie ostrzału moździerzowego lub artyleryjskiego. Równie dobrze snajper mógł się znaleźć między młotem a kowadłem. Pewnego razu, będąc sam, z dala od własnych linii, Harry zidentyfikował grupę dowodców, w skład której wchodziło kilku niemieckich oficerów, najwyraźniej omawiających plan następnej akcji, stłoczonych wokół map rozłożonych na samochodzie. Po kilku minutach dokładnej obserwacji i prób rozróżnienia rang (co praktycznie nie było możliwe, ponieważ właśnie ze względu na snajperów nie noszono insygniów wojskowych) Harry wybrał jeden cel – jak mu się wydawało, wyższego rangą oficera – i poczynił niezbędne wyliczenia, aby ustawić celownik snajperski wz. 32 na punkt celowania i osiągnięcie punktu trafienia. Opinia Harry'ego na temat tego, co zdarzyło się potem, oparta jest na reakcji znajdujących się w pobliżu oddziałów niemieckich. Harry sądzi, że zabił albo wysokiego rangą oficera, albo oficera bardzo lubianego, ponieważ w ciągu kilku minut jego świat zmienił się w rozedrgane, ogłuszające piekło na ziemi. W jego kierunku poleciało wszystko, poczynając od ognia z małej broni, poprzez ostrzał moździerzowy i artyleryjski, kończąc na wystrzałach z czołgu. Niemcy dali w ten sposób upust swojej złości, chcąc pomścić stratę jednego ze swoich. Przez długie osiem minut Harrym rzucało jak szmacianą lalką, ponieważ ziemia, na której leżał, trzęsła się i podskakiwała od uderzeń niemieckich pocisków. Częściowo ogłuchły, miał jednak trochę szczęścia. Udało mu się wyczołgać z powrotem w kierunku swoich. Usłyszał od nich niezbyt zachęcające: „A dobrze ci tak!".

Harry przeżył jeszcze kilka podobnych zdarzeń w trakcie pochodu przez Europę i w Niemczech. Szczęście go nie opuściło, tak jak innych, którzy polegli. Wkrótce pozostał

jednym z nielicznych snajperów z jego rodzimej drużyny, którzy przeżyli. Kiedy spytałem Harry'ego, co sprawiło, że był lepszy od pozostałych i przeżył kampanię, odpowiedział, że uwaga przykładana do szczegółów i szczęście.

* * *

Świat Harry'ego był często światem decyzji podejmowanych w ułamku sekundy. Jego umiejętność pozostawania niewidocznym w każdym terenie była kluczem do przetrwania. Musiał się też nauczyć ufać swojemu „szóstemu zmysłowi" – to właśnie zaszczepiałem wszystkim snajperom, których szkoliłem w swojej karierze. Dobry snajper jest zawsze gotowy, tak na wszelki wypadek. Po oddaniu strzału Harry pozostawał całkowicie bez ruchu przez około pół godziny, ponieważ wiedział, że wróg będzie szukał go uważnie, aby namierzyć jego lokalizację, zabić go i usunąć zagrożenie. Bycie snajperem nigdy nie zakładało opcji poddania się; historia pokazała, że niewielu żołnierzy chciało brać snajperów jako jeńców, więc pozostawanie nieodkrytym i niewidzialnym było ich najlepszą bronią. Nawet przeładowanie karabinu musiało się odbyć bardzo powoli i – jeśli to było możliwe – na twardym gruncie. Jest faktem udowodnionym, że ruch przyciąga wzrok, więc każdy nagły i szybki gest zwróci uwagę, nawet jeśli będzie miał miejsce daleko w polu widzenia wroga. Kiedy miejsce, w którym przebywa snajper, jest w przybliżeniu znane, ostrzał artyleryjski lub moździerzowy z reguły go zlokalizuje. W czasie wojny Harry kilka razy odniósł drobne rany od odłamków pocisków artyleryjskich i moździerzowych.

Harry przybierał taką pozycję strzelecką, która najlepiej pasowała do rodzaju otoczenia. Bardzo często była to

jednak pozycja Hawkinsa, bardzo nisko leżąca, w której karabin faktycznie znajduje się na ziemi, z kolbą w małym zagłębieniu, a ramię spoczywa nie za nią, a ponad nią. Lufa wspierana jest przez lewą pięść, pas nośny zawinięty wokół lewego ramienia, policzek snajpera przyklejony płasko do tylnej części kolby, a oko ustawione w poprawnej pozycji do celownika wz. 32. Małą sztuczką stosowaną przy suchej pogodzie było polanie ziemi u wylotu lufy wodą lub położenie przed nią kawałka mokrego materiału, by zapobiec wznieceniu kurzu przy wystrzale, a tym samym nie sprezentować niemieckiemu obserwatorowi wskazówki co do miejsca ukrycia snajpera – z pewnością sprowadziłaby ogień odwetowy i zwiększyła ryzyko śmierci lub obrażeń.

Harry nigdy nie był palaczem, ale bardzo szybko odkrył, że codzienny przydział papierosów może być twardą walutą. Wykorzystywał ja w celu zabezpieczenia rzeczy, których potrzebował lub pragnął, by uczynić swoje życie prostszym. Tego typu handel powodował częste wizyty u żołnierzy obsługujących broń maszynową, którzy w zamian za papierosy pozwalali Harry’emu przeglądać swoje zapasy amunicji. Celem tego zabiegu było zlokalizowanie partii amunicji o tych samych numerach seryjnych. Harry, jak wszyscy snajperzy, wiedział, że amunicja z tej samej partii produkcyjnej ma wyższy poziom spójności wyrobu, co przekładało się na większą celność przy dalszym zasięgu. Było to niezwykle ważne dla snajperów, którzy musieli zwalczać nadarzające się cele, a także strzelać na dalekie odległości, więc w oczach Harry’ego była to świetna wymiana. Dla obsługujących karabiny maszynowe, którzy mieli swoją bronią trafić w dany obszar i zabić jak najwięcej ludzi znajdujących się w strefie rażenia, spójność amunicji

była nieistotna, a nawet przynosiła szkodę; papierosy Harry’ego miały dla nich dużo większą wartość.

Harry bardzo uważał także na to, by nie używać niemieckiego wyposażenia porzuconego ani znalezionego, gdyż w najgorszym scenariuszu, gdyby został pojmany, jego szanse na przetrwanie – nawet gdyby udało mu się ukryć, że jest snajperem – byłyby nikłe, gdyby Niemcy odkryli przy nim swój sprzęt. Mogliby założyć, że Harry ograbił martwych niemieckich żołnierzy, co się przecież zdarzało, a to bez wątpienia rozzłościłoby oprawców i prawdopodobnie skazałoby go na śmierć. Harry rzadko podchodził do swojej ofiary, gdyż nigdy nie był pewien, czy jakiś świadek jego działań nie obserwuje go w oczekiwaniu na możliwość zemsty. Z punktu widzenia Harry’ego potwierdzenie śmierci trafionego celu było daleko mniej istotne od pozostania samemu przy życiu.

Oto historia jednego z odstępstw od tej zasady. Ulokowany daleko przed wypadem aliantów i krążący wokół celów Harry przymierzał się do przekroczenia wiejskiej drogi. Usłyszał coraz głośniejszy hałas silnika, zbliżający się w jego kierunku. Świadomy, że nadjeżdzający pojazd może należeć tylko do Niemców, Harry ukrył się, spoglądając na miejsce, w którym zza linii drzew wyłaniała się droga – to stąd dobiegał hałas silnika. Po krótkiej chwili pojawił się na niej niemiecki kurier na wojskowym motocyklu ze skórzaną torbą na depesze. Harry stanął przed podjęciem decyzji: torba na ramię mogła zawierać istotne informacje, ale nie obserwował terenu wystarczająco długo, aby stwierdzić, że za linią drzew naprzeciw niego nie ukrywają się żadne niemieckie jednostki. Ostrzał mógłby więc zdradzić jego obecne stanowisko. Ostatecznie, przyzwyczajony do podejmowania decyzji w ułamku sekundy, Harry wystrzelił, zrzucając kuriera z motocykla uderzeniem kuli kalibru .303.

Prosta część zadania była wykonana: wróg został czysto zdjęty i leżał na drodze jakieś 300 metrów od kryjówki Harry'ego. Rozpoczęło się oczekiwanie. Harry wiedział, że szybkie podejście do ciała w celu zabezpieczenia torby z jej potencjalnie cenną zawartością może być dla niego wyrokiem śmierci, jeśli ze strony wroga istniał jakiś świadek zdarzenia. Ale dalsze czekanie oznaczało możliwość pojawienia się innego niemieckiego pojazdu, a tym samym prawdopodobieństwo utraty torby. Harry musiał dokonać wyboru pomiędzy swoim życiem a wartością informacji, które mogły być przewożone w torbie – a mogły to przecież być tylko tygodniowe raporty pogodowe. Zaczął się bardzo powoli skradać krętą ścieżką w stronę leżącego, nie gubiąc nieruchomej postaci z zasięgu wzroku.

Po trudnym i czasochłonnym skradaniu Harry znalazł się na krańcu drogi, prawie na wyciągnięcie ręki od martwego ciała, ale nadal musiał się opierać pokusie pójścia na skróty i wykonania nagłego ruchu. Tak więc leżał w ukryciu bez ruchu przez kolejne 30 minut, aż uzyskał całkowitą pewność, że ciało nie jest pod obserwacją wroga. Z bijącym sercem, przekonany, że gdy tylko się podniesie, usłyszy wystrzał pocisków, Harry wyszedł z kryjówki i zbliżył się do ciała, zabierając torbę i pistolet Luger z kabury jeźdźca. Świadomość handlowej wartości takiego przedmiotu oddaliła strach przed przyłapaniem. Później sprzedał pistolet jakiemuś amerykańskiemu żołnierzowi. Torba zwisała teraz wokół jego ciała, a Harry zaczął ukradkiem wycofywać się na własne linie. Chciał oddać torbę oficerowi wywiadu, nie martwiąc się już więcej o to, co w niej jest, i koncentrując się na wykonaniu własnej pracy.

Dla Harry'ego wojna zbliżała się do końca – na peryferiach małej, niemieckiej wioski, gdzie otrzymał rozkaz

powstrzymania się od wszelkich działań i przygotowania do zawieszenia broni. Dowódca Harry’ego rozmieścił go, jak zawsze samotnie, do prowadzenia zwiadu przed wsią i dookoła niej w poszukiwaniu niemieckich wojsk, na wypadek gdyby kazano im wznowić natarcie. Po okrążeniu wioski Harry znalazł sobie kryjówkę niedaleko młodej niemieckiej dziewczyny wieszającej pranie na sznurkach na tyłach swojego domu. Ponieważ Harry był w ciągu ostatnich dni niezwykle zajęty, ominęły go wszystkie posiłki, był więc bardzo głodny. Oszacowawszy ryzyko ujawnienia kryjówki, podszedł do dziewczyny, by poprosić o jedzenie. Jego przeczucie, że dziewczyna nie ucieknie i nie wpadnie w panikę, okazało się słuszne. W ramach szczerej niemieckiej gościnności zaprosiła go do domu, przedstawiła rodzicom, którzy byli w podeszłym wieku, a ci przygotowali mu posiłek ze skromnych racji, jakie mieli. Była to oznaka szacunku, jakim niemieccy obywatele darzyli wszystkich żołnierzy – i własnych, i obcych. Wzruszony hojnością i gościnnością rodziny, nie wspominając już o urodzie dziewczyny, Harry powrócił do dowódcy, zeznał, że w wiosce nie stacjonują żadne jednostki wojskowe, i przystąpił do wymiany wszystkich swoich łupów na herbatę, kawę, cukier i inne produkty spożywcze. Potem zakradł się do lasu i ustrzelił jelenia, a następnie wrócił z nim i z całym wymienionym prowiantem do domu rodziny, która okazała mu życzliwość poprzedniego dnia.

Jednostka Harry’ego faktycznie otrzymała rozkaz zaprzestania wszelkich działań bojowych, a wojna w Europie dobiegła końca. Dla Harry’ego jej koniec oznaczał rozpoczęcie nowego etapu w życiu. Jego związek z młodą niemiecką dziewczyną przerodził się w miłość, która trwa do dziś. Harry, wybitnie uzdolniony brytyjski

snajper, miał spędzić resztę swojego życia z dziewczyną, którą poznał pod koniec wojny.

* * *

Do tego czasu Harry został snajperem sierżantem, a jako miłośnik historii wojskowości dobrze znał losy majora Hesketha-Pricharda, oficera uważanego za ojca brytyjskiego snajperstwa. To jego idee doprowadziły do powstania pierwszej szkoły dla snajperów w czasie pierwszej wojny światowej. Na znanym zdjęciu portretowym Hesketh-Prichard ma szpilkę wpiętą w węzeł krawatu. Było to nieregulaminową praktyką, uważaną za snajperski odpowiednik rozpiętego górnego guzika u pilotów myśliwców RAF. W powojennych publikacjach poświęconych Harry'emu widać, że również nosi on wpiętą w służbowy krawat szpilkę. To bez wątpienia hołd dla majora Hesketha-Pricharda, wielkiego instruktora snajperstwa, i wyraz ogromnej dumy z wykonywanego zawodu.

Mundury i wyposażenie snajperów

Kiedy Harry zszedł z barki desantowej na plażę Juno, on i wszyscy jego snajperzy byli ubrani jak każdy żołnierz piechoty, a rozkazem dziennym wszystkim wydano mundur bojowy, standardowy dla całej brytyjskiej armii. Większość snajperów znalazła wyjście, żeby dodać coś do munduru lub zmodyfikować go tak, by lepiej się sprawdzał podczas wykonywanych przez nich zadaniach. Nie były to już więc tradycyjne mundury i w pewnym sensie wykraczały poza standardy brytyjskiego systemu. Przymykano na to jednak oko, ponieważ indywidualny styl pasował do snajperów, a ponadto coś, co odpowiadało jednemu, nie musiało być wygodne dla innych. W miarę postępowania wojny weszły

w użycie mundury maskujące, a słynne kurtki kamuflujące typu Denison Smock, noszone przez brytyjskich spadochroniarzy, zostały także wydane snajperom – w wersji z wełnianymi ściągaczami doszytymi do mankietów. Dzięki temu były cieplejsze i lepiej chroniły przed mroźną europejską zimą. Wiele kurtek miało w dolnej tylnej części doszyte przez krawców jednostki dodatkowe, szerokie, zapinane na suwak kieszenie, w których snajperzy mogli nosić lunety pułku zwiadowców. Noszenie ich w skórzanym pokrowcu z paskiem przewieszonym przez ramię było niewygodne i hałaśliwe.

Aby zwiększyć stopień kamuflażu, snajperzy farbowali wyposażenie bojowe ciemnozielonym odcieniem blanco, barwnika używanego zazwyczaj do malowania sprzętu na biało do uroczystych ceremonii w czasie pokoju. Farbą samochodową przykrywali z kolei mosiężne części metalowych przyrządów. Snajperzy nosili ze sobą narzędzia do okopywania się lub do wygrzebywania płytkich skrytek na plecak, butelki z wodą i jedzenie. Tak jak dzisiejsi snajperzy, dostawali broń do walki bezpośredniej – był to standardowy brytyjski pistolet kalibru .38, kabura i zapas amunicji, chociaż wielu po wejściu w kontakty z oddziałami amerykańskimi zamieniało go na pistolet automatyczny Colt .45 ze względu na większą pojemność magazynku i większą siłę rażenia kulami kalibru .45.

Snajperzy nosili ze sobą również nóż do walki Fairbairn-Sykes, który był wydawany jednostkom komandosów i spadochroniarzy. Był on zazwyczaj noszony w kieszeni na nóż, specjalnie wszytej w spodnie bojowe, lub zabezpieczony pochwą przywiązaną do podudzia. Choć był przeznaczony do walki i zabijania wartowników, snajperzy wykorzystywali go głównie do poszukiwania min. Snajperzy byli również wyposażeni w kompas pryzmatyczny,

potrzebowali bowiem precyzyjnej nawigacji. Kompas był trzymany przeważnie na pasie bojowym w talii, w specjalnym pokrowcu na pasku, by się przypadkiem nie zgubił. Przydzielone lornetki były często malowane w barwy ochronne i owijane paskami z juty, które maskowały ich kształt (tak jak w przypadku karabinu Lee-Enfield). Przewieszane były przez szyję, lecz dodatkowo mocowane u góry kurtki, żeby się nie przemieszczały i nie utrudniały ruchów.

Kanadyjski snajper w kurtce typu Denison Smock. Jego uzbrojenie obejmuje również zakrzywiony nóż kukri zazwyczaj używany przez Ghurków!

Po poważnym incydencie z moździerzem w Normandii, w którym hełm Harry’ego wygiął się od wielkiego odłamka szrapnela, Harry zawsze nosił hełm, co było dość nietypowe

dla snajpera. Wiele zdjęć z tego okresu pokazuje snajperów w prowizorycznych nakryciach głowy, zwykle łącznie z zasołną twarzy i szalikiem, ale to najlepiej oddaje, jakimi indywidualistami byli snajperzy i jak system pozwalał im zachowywać elastyczność w stroju. Harry stosował siatkę chroniącą twarz, przytwierdzoną na przedzie hełmu i do pasków z juty, które pozwalały na przykrywanie karabinu na pozycji strzeleckiej i niewyróżnianie się z tła, a tym samym udoskonalały kamuflaż.

Kamuflaż twarzy był bardzo istotny i często improwizowany, podobnie jak większość wyposażenia snajpera. Harry malował twarz i ręce w ochronne paski sadzą z garnków do gotowania oraz spalonym korkiem. W czasie szkolenia wykorzystywano makijaż Max-Factor, ale na polu walki nie zdawał egzaminu, więc snajperzy improwizowali. Wielu snajperów nosiło ze sobą worki na piasek wykonane z juty, którymi okręcali kamasze i maskowali wzór podeszwy. W ten sposób nie zostawiali śladów, dzięki którym Niemcy mogliby odkryć, że jakiś snajper porusza się na ich terenie.

W trakcie wojny projektowano coraz więcej sprzętu do zadań specjalnych, używanego przez specjalistyczne oddziały, ze snajperami i z ich ekwipunkiem na czele. Pistolet sten z tłumikiem to jeden z przykładów. Zespół złożony ze snajpera i obserwatora mógł zostać wyposażony w stena z tłumikiem jako broń dla obserwatora, co pozwalało na ciche „zdejmowanie” wartowników lub oddziałów wroga w sytuacji przypadkowego wykrycia. To z kolei umożliwiało snajperskiej parze wycofać się szybko i uniknąć wymiany ognia z przeważającymi siłami wroga. Kolejnym ulepszeniem było zastosowanie pierwszej wiatro-szczelnej kurtki i spodni, sławnych dzięki oddziałowi komandosów, jednostkom powietrznodesantowym i SAS

(Special Air Service). Żołnierze tego rodzaju wojsk używali ich przez wiele następnych lat, a niektórzy do dziś preferują ich niewymyślny wzór kamuflażowy. Harry, nosząc wiatroszczelną kurtkę i spodnie, uważał ten wzór za eksperymentalny w owym czasie, nie wiedząc, że są powszechnie stosowane w jednostkach specjalnych i w całej piechocie 52. Dywizji Lowland. Nie była ona typową jednostką powietrznodesantową, ale przeszła szkolenie i posiadała uzbrojenie umożliwiające jej przewiezienie samolotami.

Europejska zima przełomu lat 1944–1945 była surowa i przyniosła ogromne opady śniegu w dużej części kontynentu. Niemiecka armia, mająca doświadczenie na froncie wschodnim i Alpy za plecami, daleko wyprzedzała aliantów w sztuce zimowego kamuflażu, co okazało się istotne w trakcie bitwy o Ardeny, gdzie wojska amerykańskie przeżywały niezwykle trudne chwile, próbując zlokalizować niemieckich żołnierzy poruszających się w gęsto zalesionym obszarze. Brytyjska armia dostrzegła potrzebę udoskonalenia kamuflażu swoich oddziałów, więc wyprodukowała podstawowy wiatroszczelny ubiór w przygaszonym białym kolorze dla snajperów, pewnej liczby specjalistów oraz oddziałów piechoty. Harry był jednym ze snajperów, którzy otrzymali biały zestaw, ale podjął decyzję o zmodyfikowaniu otrzymanego stroju z wykorzystaniem swej wiedzy o sztuce kamuflażu i obszarze, na którym działał. Harry zdobył trochę zielonej farby do pojazdów i namalował nią kilka pasków oraz innych kształtów, tak aby ubranie lepiej wtapiało się w krajobraz ośnieżonych drzew i wysokiego listowia, w którym miał przebywać. Zmodyfikował też swój karabin i hełm paskami białego materiału i bandażami, które nabył w handlu wymiennym za przydział papierosów.

Sierżant Harry Furness pod koniec wojny.

* * *

Ogólnie rzecz ujmując, brytyjscy snajperzy w trakcie drugiej wojny światowej wypraszali, kradli lub improwizowali potrzebny im sprzęt, by móc osiągać wyznaczone cele. Nie pomagało im w tym niezrozumienie ich roli przez innych żołnierzy. Pomysłowość i zaradność tych mężczyzn opisano później w podręcznikach, a dzięki zbudowanemu na ich podstawie nauczaniu współcześni snajperzy kontynuują tradycje swych mistrzów. Doświadczenie i umiejętności takich ludzi jak Harry Furness uczyniły z dzisiejszych brytyjskich snajperów siłę, z którą wszyscy się liczą.

Przypisy

[1] Phi]lip Jowett i Brent Snodgrass, *Finland at War 1939–1945* (Oxford, 2006), s. 6.
[2] William R. Trotter, *A Frozen Hell* (Chapel Hill, 1991), s. 40.
[3] Zob. np. Robert Edwards, *White Death* (London, 2006), s. 162–167, oraz I. C. B. Dear (red.), *The Oxford Companion to the Second World War* (Oxford, 1995), s. 374.
[4] Zob. Trotter, s. 162–163.
[5] Jowett i Snodgrass, s. 8.
[6] Tapio Saarelainen, *Simo Häyhä – The Sniper* (Tampere, 2008), s. 29.
[7] Ibid., s. 32.
[8] Ibid., s. 30.
[9] Ibid., s. 32 i 64.
[10] Edwards, s. 205–206.
[11] Trotter, s. 130.
[12] Cyt. w: Saarelainen, s. 42.
[13] Cyt. w: P. Hoffmann, *Hitler's Personal Security* (Da Capo Press, 2000), s. 24. Zob. też: R. Diels, *Lucifer ante Portas: Zwischen Severing und Heydrich* (Zurych, 1950).
[14] Notatki Bormanna, południe, 3 maja 1942, *Hitler's Table-Talk* (Oxford University Press, 1988), s. 453.
[15] Cyt. w: Hoffmann, *Hitler's Personal Security*, s. 99. Zob. też Mason-MacFarlane, dokumenty w Imperial War Museum, Londyn.
[16] E. Butler, „I talked of plan to kill Hitler", *The Times*, 6 sierpnia 1969.
[17] Mason-MacFarlane's Berlin report on Sudeten transfer, 11 września 1939, in British National Archives,

WO 106/5421.

[18] Plate 5, *The Principles and Practice of Camouflage*, British Army pamphlet March 1918, Imperial War Museum, 182.7 K.37025. Zob. też Tim Newark, *Camouflage* (Thames & Hudson, 2007), s. 64 i 84–85.

[19] Lt-Col N. A. D. Armstrong, *Fieldcraft, Sniping and Intelligence* (Gale & Polden, wyd. 6, 1944), s. vii.

[20] Ibid., s. 24.

[21] T. Gander, *Allied Infantry Weapons of the Second World War* (Crowood Press, 2000), s. 16.

[22] T. J. Mullin, Testing the *War Weapons* (Paladin Press, 1997), s. 157.

[23] Armstrong, *Fieldcraft*, s. 23–4.

[24] R. Penrose, *Home Guard Manual of Camouflage* (George Routledge & Sons, 1941), s. 98.

[25] H. V. Hesketh-Prichard, *Sniping in France* (Hutchinson, 1920), s. 7.

[26] Ibid., s. 58.

[27] C. Shore, *With British Snipers to the Reich* (Greenhill Books, 1997), s. 141–142.

[28] *Hitler's Table-Talk*, 2–3 stycznia 1942, s. 165.

[29] Operation Foxley, SOE report, British National Archives, HS6/624, s. 60. Zob. też: M. Seaman, *Operation Foxley: The British Plan to Kill Hitler* (Public Record Office, 1998).

[30] Operation Foxley, SOE report, s. 66.

[31] Ibid., s. 114–15.

[32] B. Ross, „The Foxley Report: Plotters against Hitler", strona internetowa BBC History.

[33] Imię i nazwisko fikcyjne. Postać wykorzystano do zilustrowania faktów z okresu drugiej wojny światowej na obszarze działań na południowym Pacyfiku. Według źródeł japońskich przetrwało niewielu japońskich snajperów, jeśli

w ogóle któremuś się to udało. Opowiadanie to jest oparte na faktach zebranych z podanych źródeł i najwierniej, jak to możliwe, opisuje wydarzenia historyczne.

[34] Rottman, s. 30–31.
[35] Rottman, s. 26.
[36] Rottman, s. 27.
[37] Rottman, s. 25 i n.
[38] Rottman, s. 1. Daugherty, s. 21.
[39] Wikipedia, artykuł „Type 38 riffle”, dostęp: styczeń 2011.
[40] Senich, *U.S. Marine Corps Scout-Sniper, World War II and Korea*.
[41] Senich, s. 188–189.
[42] McCoy, *Japanese Army Snipers, World War Two*, rozdz. 5.
[43] *Tactical and Technical Trends, Oct. 1943*, www.lonesentry.com.
[44] Frank, s. 144, 145.
[45] Frank, s. 143.
[46] Frank, s. 146.
[47] Frank, s. 147.
[48] Frank, s. 148.
[49] Frank, s. 149.
[50] Frank, s. 149.
[51] Frank, s. 158.
[52] Frank, s. 156.
[53] Frank, s. 156.
[54] Frank, s. 158.
[55] Frank, s. 203.
[56] Frank, s. 201.
[57] Frank, s. 205.
[58] Frank, s. 213.
[59] Frank, s. 218.

[60] Frank, s. 220.
[61] Frank, s. 224.
[62] Frank, s. 232.
[63] Frank, s. 223.
[64] Frank, s. 231.
[65] Frank, s. 232.
[66] Frank, s. 235.
[67] Frank, s. 241.
[68] Frank, s. 248.
[69] Frank, s. 246.
[70] Frank, s. 269.
[71] Frank, s. 270.
[72] Frank, s. 273.
[73] Frank, s. 275–286.
[74] Frank, s. 287.
[75] Frank, s. 340–341.
[76] Frank, s. 341.
[77] Frank, s. 342.
[78] Frank, s. 349.
[79] Frank, s. 350.
[80] Frank, s. 352.
[81] Frank, s. 355.
[82] Frank, s. 356.
[83] Frank, s. 407.
[84] Frank, s. 532.
[85] Frank, s. 587.
[86] Frank, s. 588.
[87] Frank, s. 588.
[88] Frank, s. 590.
[89] Frank, s. 594.
[90] Frank, s. 596.
[91] Utworzony z amerykańskich oddziałów wojskowych wcześniej stacjonujących w Nowej Kaledonii.

[92] Korzenie nazwiska pochodzą od rosyjskiego słowa „zając”.

[93] Generał Wasilij Czujkow, późniejszy Marszałek Związku Radzieckiego.

[94] Otto Bildmann, *Memoirs of the Eastern Front*. Publikacja prywatna, 1996.

[95] Dużo dyskutuje się na temat rzeczywistych wydarzeń dotyczących tego pojedynku snajperskiego. Nie ma wątpliwości, że Zajcew walczył z doświadczonym snajperem niemieckim, ale tak było w przypadku wszystkich snajperów, którzy walczyli przez długi czas. Nazwisko *König* (co oznacza „król”) mogło po prostu być pseudonimem jakiegoś snajpera funkcjonującym na pewnym odcinku frontu. W związku z tą walką występowało również nazwisko Thorvald, ale taka osoba nie występuje w aktach niemieckich, nie kierowała także Berlińską Szkołą Snajperską.

[96] Pod Stalingradem do niewoli dostało się w sumie 91 000 niemieckich żołnierzy. Tylko 6000 z nich przetrwało do uwolnienia i powrotu do Niemiec w 1955 roku.

[97] Michaił Kalinin (1875–1946), Przewodniczący Rady Najwyższej i tytularny dowodzący ZSRS w latach 1919–1946.

[98] Jego rzeczywisty wynik wynosił 400 trafień, ale tylko trafienia potwierdzone (przez obserwatora) umieszczano w oficjalnych zapisach. Jak się uważa, największą liczbę trafień (500 oficjalnie potwierdzonych) wśród snajperów sowieckich miał Iwan Sidorenko ze 112. Pułku Strzelców.